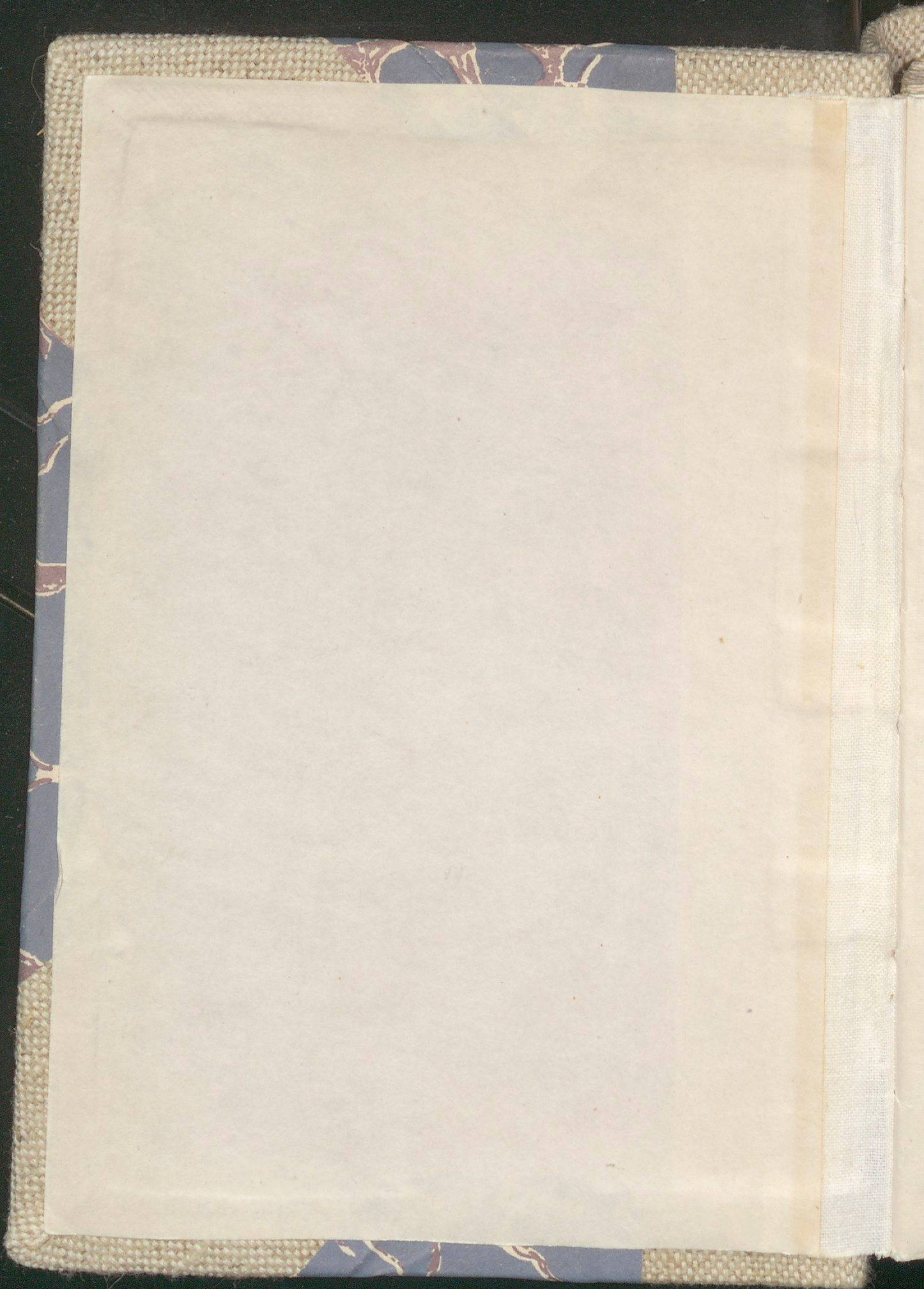
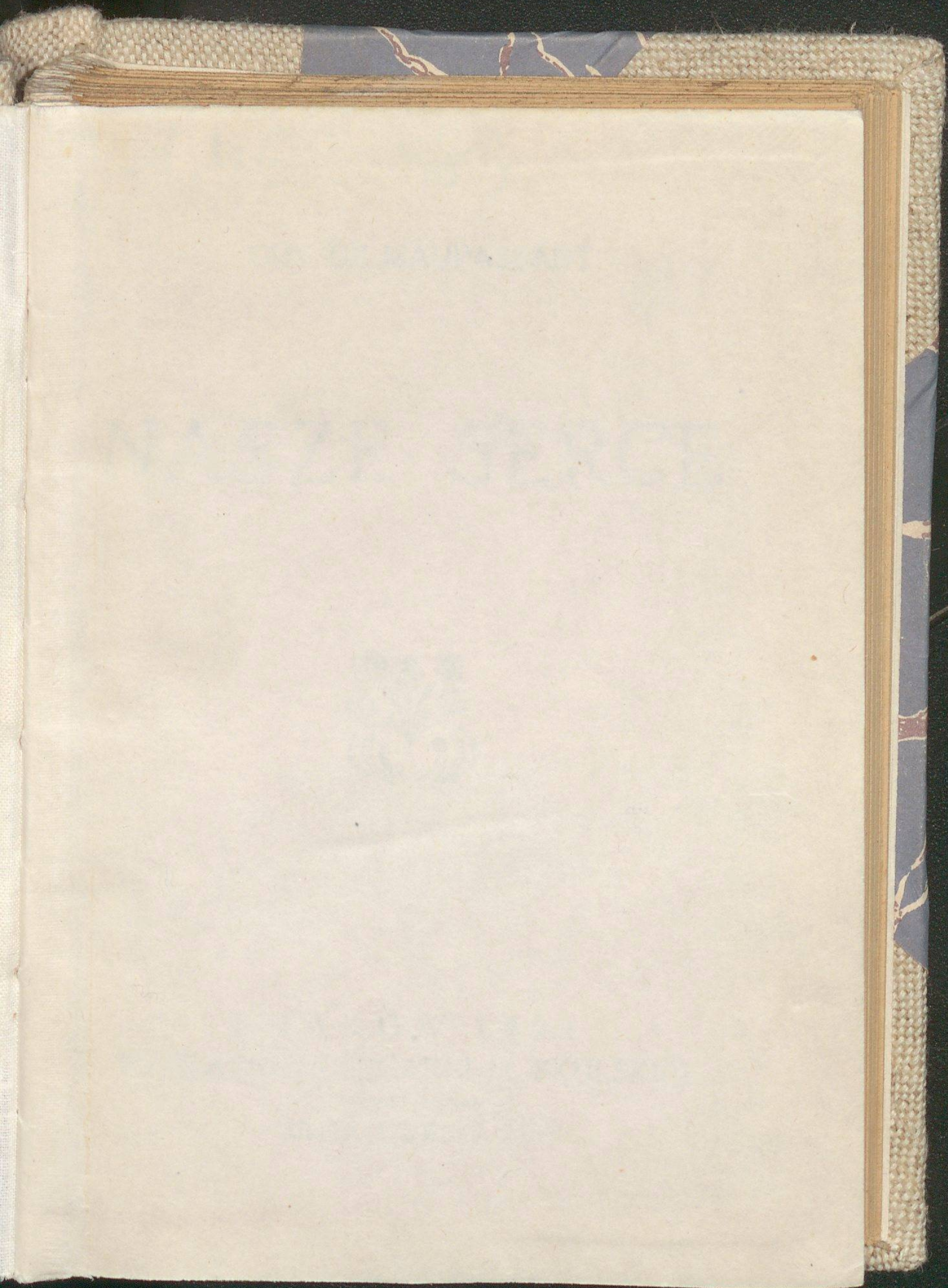
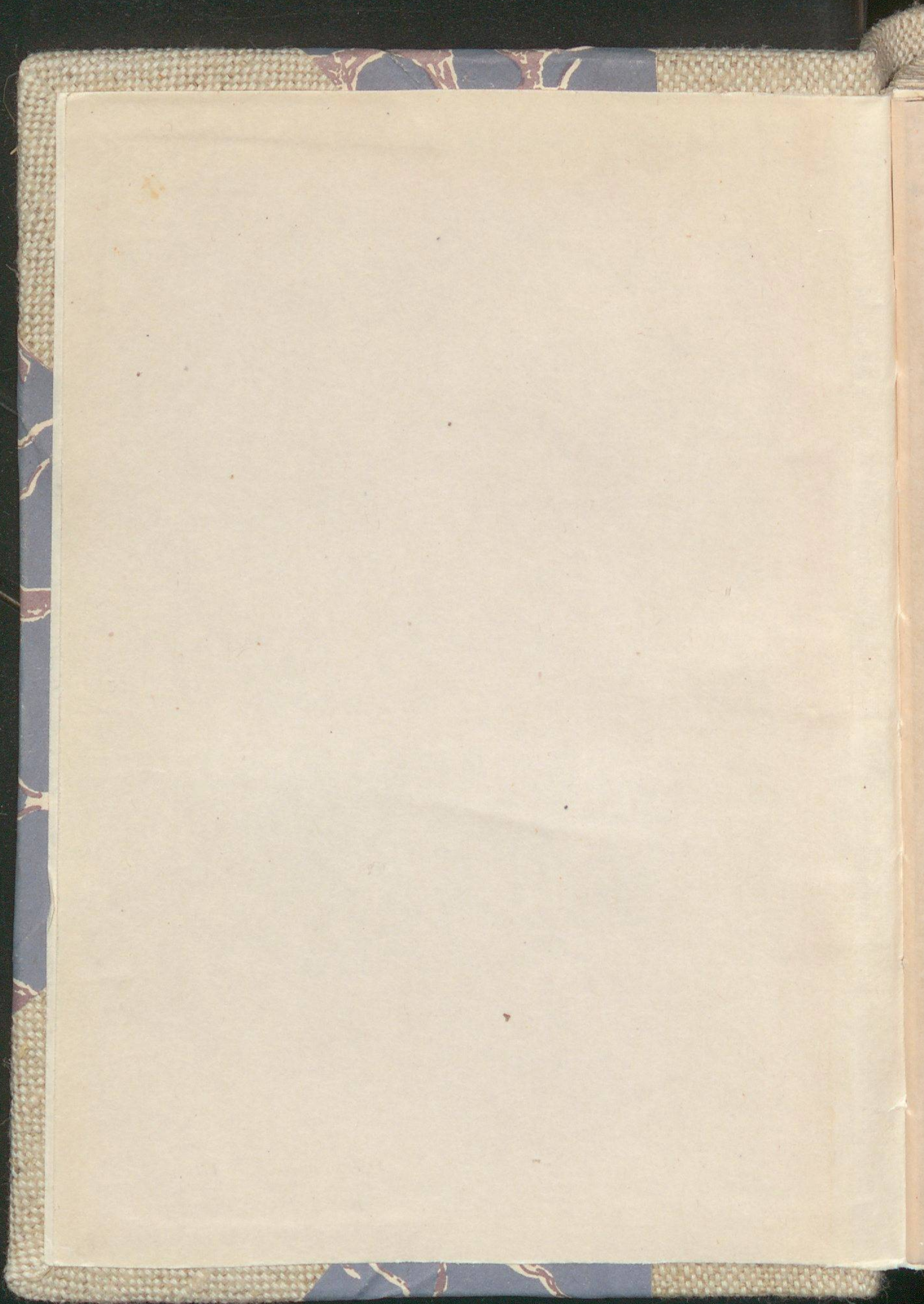


BN

BN







1.462.808

GUY DE MAUPASSANT

NASZE SERCE



KRAKÓW 1921
NAKLĄDEM KSIĘGARNI M. SKULSKIEJ
DAWNIEJ WOJNAR
ULICA SZEWSKA 20

BIBLIOTEKA
BN
ZADOKA

A

I. 1.462.969

Z DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE.

1984 K 1274 / 48

CZEŚĆ I.

I.

Kompozytor Massival, sławny twórca „Rebeki“, już od lat piętnastu noszący miano „młodego i znakomitego mistrza“, zwrócił się pewnego dnia do swego przyjaciela, Andrzeja Mariolle z zapytaniem:

— Dlaczego nie starałeś się dotąd poznać pani Michaliny de Burne? Zapewniam cię, że jest to jedna z najbardziej interesujących kobiet w całym Paryżu.

— Dlatego, że nie czuję się stworzonym do jej salonu.

— Mylisz się, mój drogi. Jest to salon bardzo oryginalny, nowoczesny, ożywiony i artystyczny. Będiesz tam miał doskonałą muzykę i rozmowę równie wytworną, jak w najpierwszych salonach przeszłego stulecia. Poznają się też na tobie, po pierwsze, że świetnie grasz na skrzypcach, po wtóre — że nieraz już tam o tobie mówiono, po trzecie wreszcie — że masz opinię człowieka nie banalnego i nie narzucającego się z częstymi odwiedzinami.

Przekonany już, ale opierając się jeszcze, przypuszczając zresztą, że tak usilne naleganie musiało być wynikiem życzenia młodej kobiety, Mariolle mruknął: — Ba! nie dbam o to!, lecz w głosie jego z poza wzgardy przebijało zezwolenie.

Massival mówił dalej:

— Czy chcesz, abym cię do niej wprowadził któregoś dnia? Znasz ją przecież ze słyszenia od nas wszystkich, bo należąc do poufnych jej przyjaciół, bardzo często o niej mówimy. Jestto przystojna, dwudziestoosmioletnia kobieta, bardzo inteligientna, która trafiwszy nieszczęśliwie po raz pierwszy, nie chce powtórnie wyjść za mąż. Dom jej stanowi punkt zborny wszystkich ludzi przyjemnych. Panów z klubu lub z wielkiego świata zastaniesz tam tylu tylko, ilu ich właśnie potrzeba dla efektu. Będzie zachwycona, gdy cię przyprowadzę.

Mariolle, zwyciężony, odrzekł:

— Dobrze, pójdziemy tam któregoś dnia.

Z początkiem następnego tygodnia, kompozytor wstąpił do przyjaciela i spytał:

— Czy masz czas jutro?

— Mam... a bo co?

— Bo chcę cię zaprowadzić na obiad do pani de Burne. Poleciała mi, abym cię zaprosił. Oto jej bilecik.

Zawahawszy się jeszcze chwilę, jak tego przyzwoitość wymagała, Mariolle odrzekł:

— Zgoda!

Andrzej Mariolle, trzydziestosiedmioletni mężczyzna, kawaler bez stałego zajęcia, dość majątny, aby żyć wygodnie, odbywać podróże, a nawet pozwolić sobie na ładny zbiór nowożytnych obrazów i starożytnych cacek, uchodził za człowieka wykształconego, trochę dziwaka, trochę kapryśnego, dzikiego i wyniosłego, pozującego na mizantropa raczej przez dumę, niż przez nieśmiałość. Dowcipny, bardzo zdolny, lecz niedbały, zdolny do zrozumienia wszystkiego i być może do wykonania wielu rzeczy, zadowolnił się w życiu rolą widza, a raczej amatora. Gdyby był ubogim, bezwątpienia stałby się znany i sławny człowiekiem, mając jednak zapewnioną rentę, czynił sobie ciągle wyrzuty, że nie ma wytkniętego celu. Próbował co prawda swych sił na różnych polach: to na polu literatury, wydawszy przelotnie pamiętnik podróży, napisany żywo i wytwornie; to znów w muzyce, grywając na skrzypcach, i wśród fachowych nawet ludzi ciesząc się sławą utalentowanego amatora; to wreszcie — w dziedzinie rzeźby, sztuki, w której zręczność, oryginalność, dar szkicowania śmiałych i ułudnych postaci zastępuje w oczach profanów wiedzę i pracę. Wykonany przez niego posążek z terrakoty: „Masażysta“, miał nawet pewne powodzenie w przeszłorocznym „Salonie“.

Znakomicie jeżdżąc konno, równie dobrze po-

dobno się fechtował, chociaż nigdy nie popisował się tem publicznie, ulegając zapewne tej samej trwodze, która sprawiała, że unikał sfer światowych z obawy spotkania poważnych współzawodników.

Ale przyjaciele chwalili go jednogłośnie, dlatego może, że niczem ich nie zaćmiewał. W każdym razie uchodził za człowieka miłego i pewnego w stosunkach, o bardzo przyjemnej powierzchowności.

Wysokiego prawie wzrostu, z czarną brodą przystryżoną krótko po bokach i zakończoną śpiczasto, ze szpakowatemi ale pięknie wijącemi się włosami, śmiało podnosił na każdego niedowierzające trochę i surowe spojrzenie jasno piwnych żywych oczu.

Do przyjaciół jego należeli przeważnie artyści: powieściopisarz Gaston de Lamarthe, muzyk Massival, malarze Jobin, Rivollet, de Maudol, którzy unosili się głośno nad jego rozsądkiem, serdecznością, wykształceniem i bystrością sądu nawet, chociaż w głębi ducha — z próżnością nieodłączną od zdobytego powodzenia — uważali go za bardzo miłego i bardzo inteligentnego... dyletanta.

Wyniosły jego chłód zdawał się mówić: „Jestem niczem, bo nie chciałem być czemś“. Obracał się zatem w ciasnym kółeczku, gardząc elegancją wielkich salonów, w których inni błyszczeliby więcej od niego, strąciwszy go do sze-

regu pionków światowych. Bywał w tych tylko domach, w których pewien był, że jego poważne a dyskretne zalety zostaną ocenione; a na zawarciu znajomości z panią Michaliną de Burne dlatego tylko się zgodził, że najserdeczniejsi jego przyjaciele, ci właśnie, którzy głosili wszędzie sławę jego ukrytych zasług, pozostawali z młodą kobietą w stosunkach zażyłości.

Pani de Burne zajmowała śliczne mieszkanie przy ulicy Generała Foy, za kościołem św. Augustyna. Dwa pokoje: jadalny i salon, przeznaczony do przyjmowania wszystkich, wychodziły na ulicę; dwa drugie — miały widok na ładny ogród, należący do właściciela kamienicy. Pierwszy z nich był długim prostokątnym salonem o trzech oknach, do których zaglądały gałęzie drzew z ogrodu — zapelnionym mnóstwem sprzętów i przedmiotów niezmiernie rzadkich o wytwornym czystym rysunku i niepospolitej wartości. Krzeselka, stoły, malutkie szafki i półeczki, obrazy, wachlarze, figurki porcelanowe pod szkłem stojące, wazony, posążki — słowem wszystkie szczegóły tego umeblowania wabiły i przykuwały oko kształtem swym, epoką pochodzenia lub wytwornością. Dla urządzenia tego mieszkanka, z którego była równie dumna jak ze swej osoby, pani de Burne umiała użytkować wykształcenie, przyjaźń i usłużność wszystkich znajomych artystów. Powolni życzeniu kobiety bogatej i dobrze płacącej, zgroma-

dzili oni tutaj wszystkie te drobiazgi posiadające cechę oryginalności, nieuchwytną dla oka przeciętnego amatora: dzięki im pani de Burne posiadała mieszkanie, którego podwoje nie dla każdego się otwierały, a w którym — jej zdaniem — dobrze spędzano czas i wracano chętniej, niż do banalnych mieszkań innych kobiet światowych.

Do jej ulubionych teoryj należało dowodzenie, że odcień obicia na ścianach i meblach, miękkość krzesel, dobór barw i kształtów przyciągają i pieczą oko, zarówno jak wdzięczny uśmiech. Mieszkanie sympatyczne i niesympatyczne, bogato lub ubogo urządzone — mawiała — może zachęcać lub odpychać równie silnie, jak mieszkające w niem istoty. Przyśpiesza ono lub powstrzymuje bicie serca, rozgrzewa lub lodem ścina umysł, zachęca do rozmowy lub do milczenia, wprawia w wesołe lub smutne usposobienie, wreszcie wzbudza w każdym gościu nieprzepartą chęć pozostania lub odejścia.

W pośrodku tej komnaty nieco przyćmionej, pomiędzy dwoma koszami pełnymi kwiatów, duży fortepian zajmował miejsce honorowe, wyglądając niby władca wszystkich drobniejszych sprzętów. Nieco dalej wysokie drzwi prowadziły z salonu do sypialni, poza którą znajdował się jeszcze obszerny, wytwornie urządzone, perskimi makatami obity buduar, gdzie pani de Burne przebywała zwykle, będąc samą.

Wydana młodo za dystyngowanego nicponia, jednego z tych tyranów domowych, przed którymi wszyscy giąć się muszą i korzyć, była z początku bardzo nieszczęśliwą. Przez lat pięć znosiła wymagania, wybuchy zazdrości, brutalności nawet tego nieubłaganego władcy, a przerażona, oniemiała ze zdziwienia, zmiażdżona despotyczną wolą brutalnego samca, którego stała się łupem, nie śmiała podnieść buntu, odkrywszy smutną tajemnicę małżeńskiego pożycia.

Pewnego wieczoru pan de Burne, wracając do domu, skończył nagle na aneurizm serca, a żona ujrzawszy zwłoki męża, nie mogąc uwierzyć w rzeczywistość swego oswobodzenia, patrzyła na nie z głęboką tłumioną radością i z równie głęboką obawą zdradzenia tego uczucia.

Niezależna z natury, wesoła, czasem nawet nadmiernie żywa, miła i pełna wdzięku, z wrodzonym dowcipem, który niewiadomo skąd dostaje się niekiedy do umysłów młodziutkich córek Paryża, oddychających od dzieciństwa pikantną atmosferą bulwarów, wyniosła przecież z pięcioletniej niewoli pewne onieśmienie, dziwnie zlewające się z wrodzoną jej śmiałością, pewną obawę powiedzenia lub zrobienia czegoś zbytecznego, oraz gorącą żądzę niezależności i stanowcze postanowienie zachowania na zawsze swej swobody.

Mąż jej, światowiec, wytresował ją, aby wobec gości zachowywała się jak niema, elegancka,

uprzejma i strojna niewolnica. Pomiedzy przyjaciółmi owego despoty zaajdowało się wielu artystów, których pani de Burne przyjmowała z ciekawością, słuchała bardzo chętnie, nie śmiejąc nigdy okazać, że ich ocenia i rozumie.

Po ukończonym okresie żałoby, zaprosiła kilku z nich na obiad. Dwaj wymówili się; trzech inni, przyjąwszy zaproszenie, ujrzeni się ze zdziwieniem wobec młodej, czarującej kobiety o wrażliwej duszy, która z wdzięcznym uśmiechem, zapewniała ich, z jaką przyjemnością przyjmowała ich niegdyś u siebie.

Tak więc, stopniowo zgromadziwszy kilkuna-
stu dawnych znajomych, którzy jej wpierrw nie doceniali, wdowa ta i kobieta niezależna, lecz pragnąca zostać uczciwą, zaczęła przyjmować u siebie wszystkich prawie wybitniejszych mężczyzn Paryża i kilka tylko kobiet.

Ci, z którymi najdawniejsze łączyły ją stosunki, stali się jej przyjaciółmi, przyciągali innych, nadając domowi jej pozór małego dworu, do którego każdy wnosić musiał bądź wartość osobistą, bądź też nazwisko, bo kilka szumnych tytułów łączyło się tu z tłumem inteligencji.

Ojciec jej, pan de Pradon, mieszkający o piętro niżej, odgrywał rolę opiekuna. Dowcipny, elegancki staruszek, po rycersku nadskakujący córce, prezydował zawsze na czwartkowych obiadach, o których wkrótce mówić zaczęto w całym Paryżu. Prośby o przedstawienie się i uzy-

skanie zaproszenia napływały ze wszystkich stron, podlegały dyskusji i niejednokrotnie bywały odrzucane po głosowaniu najściślejszego kółka. Dowcipne rozmowy tego grona obiegały całe miasto. Aktorowie, artyści i młodzi poeci odbywali tu pierwsze próby, otrzymując niejako chrzest sławy. Natchnieni wieszczami wprowadzeni przez Gastona de Lamarthe, zastępowali przy fortepianie węgierskich skrzypków przedstawionych przez Massivala, a zagraniczne tancerki prezentowały tu swe najwdzięczniejsze pozy przed ukazaniem się na deskach „Edenu“ lub „Folies-Bergères“.

Pani de Burne zazdrośnie strzeżona przez przyjaciół, a pamiętna przykrych wspomnień, jakie wyniosła z epoki władzy mężowskiej, nie starała się wcale o powiększanie grona znajomych. Zadowolona ze swego położenia, a zarazem trwożna o to, co ludzie o niej będą myśleć i mówić, z prawdziwie mieszczańską rozwagą szła za wrodzonymi skłonnościami. Dbała o dobre imię, utrzymywała w korbach swe fantazje, przestrzegając pilnie, aby nikomu nie dać prawa do podejrzywania jej o jakikolwiek stosunek miłosny lub intrygę.

Wszyscy próbowali kolejno zdobyć jej serce, żaden jednak celu nie dopiął. Nie taili się z tem; jeden drugiemu wyznawał to ze zdziwieniem, bo mężczyźni — słusznie poniekąd — nie wierzą w cnotę kobiety niezależnej. Utworzyła się o niej

istna legienda. Opowiadano nawet, że oburzająca brutalność i wygórowane żądania jej męża wyleczyły ją na zawsze z miłości do mężczyzn.

Blizsi znajomi zastanawiali się nieraz nad tem, dochodząc niechybnie do wniosku, że szorstkie i prostacze wyjawienie wymagań małżeńskich musi wywołać bunt w duszy młodego dziewczęcia, wzrosłego w marzeniu o przyszłej miłości, w oczekiwaniu tajemnicy, przejmującej dziwną trwogą lecz także rozkoszą.

Filozof światowy, Jerzy de Maltry, uśmiechał się szyderczo, mówiąc: — Godzina jej nadejście. Dla takich kobiet musi ona nadejść, a im później, tem dla nich gorzej. Zważywszy artystyczne upodobania naszej przyjaciółki, przewiduję, że wcześniej lub później zakocha się w jakimś śpiewaku lub muzyku.

Gaston de Lamarthe innego był zdania. Jako powieściopisarz, obserwator i psycholog, studjący charaktery ludzi światowych, których zresztą odtwarzał ironicznie lecz trafnie, rościł sobie pretensję do tego, iż nikt dorównać mu nie zdoła. Zaliczał on panią de Burne do liczby owych współczesnych wykolejonych kobiet, których typ skreślił w zajmującym utworze p. t. „Jedna z nich“. On pierwszy opisał ten nowo powstały gatunek kobiet histeryczek, trawionych tysiącem sprzecznych pożądań, które nigdy nawet nie skrytalizują się w pragnienie — znużonych wszystkim, niczego nie zakosztowaw-

szy — z winy wypadków, ducha czasu i literatury; kobiet, pozbawionych zapału i uniesienia, łączących zachcianki rozpieszczonego dziecka z oschłością starego sceptyka.

Ale podobnie jak inni, nie zdołał pozyskać jej miłości.

Wszyscy bowiem członkowie małej grupki kochali się kolejno w pani de Burne, zachowując dla niej, po przebytych przełomie, uczucie mniej lub więcej silne. Utworzyli niejako świątynię, której ona była bóstwem: mówili o niej nieustannie między sobą i zdala nawet będąc, pozostawali pod jej urokiem. Wysławiali ją, chwalili, pałali gniewem lub oburzeniem, zależnie od dnia, od urazy, rozdrażnienia lub większej serdeczności, którą jednemu z nich okazała. Zazdrościli sobie wzajemnie, szpiegowali się niekiedy, lecz zawsze zwartym szeregiem bronili przystępu jakimukolwiek groźnemu współzawodnikowi. Siedmiu ich było najgorliwszych: Massival, Gaston de Lamarthe, otyły Fresnel, Jerzy de Maltry, młody filozof, bardzo modny światowiec znany ze swych paradoksów, z wielostronnej wiedzy, niezrozumiałej dla najgorętszych nawet wielbicieli i z ubioru równie oryginalnego jak jego teorie. Obok tych jednostek wybitnych dobrała sobie kilku ludzi światowych, słynących z dowcipu, jak hrabia de Marantin, baron de Gravił i dwóch lub trzech innych.

W przybocznej tej straży największemi przy-



wilejami cieszyli się Lamarthe i Massival, posiadający w najwyższym stopniu dar zabawiania młodej kobiety blagą swą i zręcznem szydzeniem ze wszystkich, a niekiedy nawet i z niej samej, o ile na to pozwalała. Ale prawdziwe czy też udane z jej strony starania, by żadnemu z wielbicieli przez czas dłuższy nie okazywać większej niż innym sympatji, jej zachowanie się pełne figlarnej a swobodnej kokieterji i sprawiedliwy podział łask, utrzymywały między nimi stosunki przyjazne, z drobną przymieszką nieufności, oraz złośliwości, dodającej rozmowie trochę pikanterji.

Od czasu do czasu jeden z nich, chcąc podrażnić innych, przyprowadzał swego przyjaciela. Że jednak nowoprzybyły nie bywał nigdy osobistością zbyt wybitną ani zbyt interesującą, więc sprzysiężeni przeciw niemu, wykluczali go prędzej lub później.

Z kolei zatem Massival wprowadził kolegę swego, Andrzeja Mariolle.

Lokaj w czarnym fraku oznajmił:

— Pan Massival! Pan Mariolle!

Pod różowym obłokiem olbrzymiego abażuru, który przyćmiewał światło lampy, wznoszącej się na wysokiej kolumnie ze złoconego bronzu, widać było jedną głowę kobiecą i trzy męskie pochylone nad albumem, przyniesionym przed chwilą przez Lamarthe'a. Stojąc pośrodku, powieściopisarz odwracał kartki i udzielał objaśnień.

Jedna z osób odwróciła się i Mariolle, podszedłszy bliżej, ujrzał twarz jasną otoczoną wijąciami się nad czołem blond włosami, które zdawały się rzucać ogniste blaski. Cienki i zadarty nosek nadawał tej twarzy wyraz wesołości. Wargi wyraźnie zarysowane, głębokie dołeczki na policzkach, trochę wystająca i rozdwojona broda znamionowała szyderstwo, gdy oczy dziwnym kontrastem, przesłonięte były wyrazem melancholji. Oczy to były niebieskie, barwy wyblakłej, jakby spłowiałej, zniszczonej, a czarne źrenice lśniły pośrodku, okrągłe i rozszerzone. Błyszczące i dziwne spojrzenie zdawało się opowiadać o marzeniach wywołanych morfiną, lub może... było poprostu wynikiem używania belladonny.

Pani de Burne, powstawszy, podała mu rękę, witała i dziękowała serdecznie.

— Oddawna już prosiłam moich przyjaciół, aby mi pana przyprowadzili — mówiła do Andrzeja — ale taką prośbę muszę zawsze powtórzyć kilka razy, zanim zostanie spełnioną.

Wysoka, dystyngowana, trochę powolna w ruchach, obnażona była bardzo dyskretnie, odsłaniając zaledwie brzeżek pięknych ramion, niezrównanych w świetle lampy. Włosy jej nie były rude, lecz tej nieokreślonej barwy, jaką przybierają niektóre liście spalone słońcem jesiennem.

Następnie przedstawiła pana Mariolle swemu ojcu, który skłonił się i podał rękę.

Panowie, podzieleni na trzy grupy, gawędzili

swobodnie, czując się jak u siebie lub w klubie, w którym obecność kobiety nakłada pewną wytworność form.

Otyły Fresnel rozmawiał z hrabią de Marantin. Częste odwiedziny pana Fresnel, oraz wyraźna sympatja, jaką mu okazywała pani de Burne, gniewały nieraz i oburzały jej przyjaciół. Młody jeszcze, ale nadzwyczaj otyły, wiecznie zadyszany i zasapany, prawie bez zarostu, z gęstą czupryną jasnych i kędzierzawych włosów, nudny i pospolity — miał bezwątpienia jedną tylko zasługę, niemiłą dla innych, ale bardzo ważną w oczach młodej kobiety: tę mianowicie, że kochał ją ślepo, głębiej i prawdziwiej niż inni. Nazywano go zazwyczaj „foką”. Żonaty, nie wyraził nigdy życzenia przeprowadzenia tu żony, która — jak mówiono — była bardzo zazdrosną.

Lamarthe'a i Massivala szczególnie oburzała widoczna sympatja ich przyjaciółki do tego „miecha kowalskiego“, ale ilekroć nie mogli powstrzymać się od zarzucania jej tego gustu wulgarne-ego i samolubnego, odpowiadała z uśmiechem:

— Lubię go jak wiernego, przywiązanego pieska.

Jerzy de Maltry rozmawiał z Gastonem de Lamarthe o najnowszym, niestwierdzonym jeszcze odkryciu mikrobjologicznem.

Pan de Maltry rozwijał swą tezę, popierając ją licznymi, subtelnymi argumentami, a Lamarthe

przyjmował ją z zapałem, z łatwością, z jaką literaci przyjmują wszystko, co nowe i oryginalne.

Filozof *high life'u*, o jasnych jak len włosach, szczupły i wysoki, miał na sobie tużurek bardzo obcisły w biodrach. Z białego kołnierzyka wysuwała się cienka szyja i twarz blada, okolona blond włosami, które zdawały się jakoby przyklejone do głowy.

Co się tyczy Gastona de Lamarthe, który dzięki szlacheckiemu nazwisku miał pretensje człowieka dobrze urodzonego i światowca, to był on przede wszystkim literatem — nieubłagany i zawzięty literatem. Uzbrojony w oko, chwytające obrazy, ruchy, postawy, z szybkością i dokładnością przyrządu fotograficznego, obdarzony przytem przenikliwością — owym zmysłem właściwym powieściopisarzom, jak węch bywa właściwy chartom — od rana do wieczora gromadził potrzebne materiały. Przy pomocy obu tych bardzo zresztą prostych zmysłów: dokładnego spostrzegania kształtów i instynktownego odgadywania szczegółów ukrytych, nadawał on koloryt, ton, pozór, życie, dziełom swoim, które, nie zdradzając nigdy zamiarów właściwych pisarzom-psychologom, zawsze jednak czyniły wrażenie fragmentów życia ludzkiego, wyrwanych z rzeczywistości.

Ukazanie się każdego z jego utworów wywoływało w towarzystwie gniew i śmiechy, niepokój i przypuszczenia: poznawano w nich bowiem

wybitniejsze osobistości, za ledwie przesłonięte bardzo przejrzystą maską. Wejście jego do salonu wywoływało ogólne pomieszanie. Przed kilku laty wydał tom wspomnień osobistych, w których pomieścił sylwetki wielu znajomych mężczyzn i kobiet — sylwetki skreślone bez rozmyślnej złośliwości, ale tak wierne i dokładne, że wszyscy uczyli się obrażonymi. Ktoś nazwał to dzieło: „Baczność, przyjaciele“.

Mówiono, że człowiek ten o duszy zagadkowej i sercu nieprzystępnem, kochał niegdyś szalenie i że za doznany zawód mścił się teraz na innych kobietach.

Massival i on rozumieli się doskonale, chociaż muzyk miał naturę nieco odmienną, szczerzą, rozlewniejszą, mniej może wyrafinowaną, ale widoczniej wrażliwą. Odniósłszy dwa wielkie triumfy: — jeden dzięki sztuce granej w Brukseli, a następnie wystawionej z powodzeniem w Opera-Comique, drugi dzięki utworowi, który przyjęto w Wielkiej-Operze, jako zapowiedź niepospolitego talentu — przeszedł w fazę zupełnego zastoj, który niby przedwczesny paraliż, niszczy większość współczesnych artystów. Nie dochodzą do starości okryci sławą jak ich przodkowie, bo już w kwiecie wieku grozi im widmo bezsły. Lamarthe mawiał: „Obecnie mamy we Francji same tylko poronione wielkości“.

W tej chwili Massival zdawał się być szalenie zakochanym w pani de Burne, o czym zresztą

szeptano po cichu; to też wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, gdy z uwielbieniem całował jej rękę.

— Czy spóźniliśmy się? — zapytał.

— Nie — odparła — spodziewam się jeszcze barona de Gravil i margrabiny de Bratiane.

— Ach! i margrabiny! co za szczęście! Więc będziemy mieć muzykę?

— Zapewne.

Spóźniona para weszła do salonu. Margrabina, włoszka z pochodzenia, trochę za niska może, żywa, z czarnymi oczyma, rzęsami, brwiami i z czarnymi także włosami tak bujnemi i gęstemi, że zdawały się wchłaniać całe czoło i zagrażać oczom, miała najpiękniejszy głos ze wszystkich pań wielkiego świata.

Baron, człowiek bardzo dystyngowany, z zapadłą piersią i olbrzymią głową, zdawał się jakby niezupelnym, o ile nie trzymał w ręku wiolonczeli. Namiętny meloman, bywał w tych tylko domach, w których pielęgnowano muzykę.

Podano obiad i pani de Burne, ująwszy pod rękę Andrzeja Mariolle, puściła przodem wszystkich gości. Następnie, gdy we dwoje już tylko zostali w salonie, z ukosa i szybko spojrzała na niego blado-niebieskiemi oczyma, o czarnej źrenicy, a on w spojrzeniu tej kobiety odczuł myśl głębszą i większe zainteresowanie się niżli to, jakie piękne panie okazywać raczą panom, których po raz pierwszy przyjmują u siebie.

Obiad był trochę nudny i monotony. Lamarthe niezwykle tego dnia rozdrażniony, wprawdzie tego nie okazywał, pragnąc uchodzić za dobrze wychowanego człowieka, jednakowoż ów niedostrzegalny prawie zły humor, wiejąc od niego, mroził zapał rozmawiających. Massival, milczący, roztargniony, jadł mało i od czasu do czasu spoglądał ukradkiem na panią domu, która zachowywała się w sposób niezwykły. Roztargniona, odpowiadała uśmiechem, to znów nagle wpadała w zadumę, myśląc widocznie o czymś, co ją niezbyt żywo obchodziło, lecz jednak było dla niej więcej zajmującym od grona gości zebranych przy stole. Podtrzymywała rozmowę z margrabiną i Andrzejem Mariolle, o ile przyzwoitość tego wymagała, ale czyniła to jedynie z obowiązku, z przyzwyczajenia, wybiegając myślą poza progi własnego domu. Fresnel i pan de Maltry spierali się o kierunek nowoczesnej poezji. Fresnel miał o poezji przeciętne wyobrażenie światowca, zaś pan de Maltry — niedostępne dla tłumu poglądy o twórcach subtelniejszych.

Podczas obiadu, Mariolle zauważył kilka razy zwrócone na siebie spojrzenie młodej kobiety, spojrzenie równie badawcze, ale przelotniejsze i mniej ciekawe. Tylko margrabina de Briatane, hrabia de Marantin i baron de Gravil rozmawiali bez przerwy i powiedzieli sobie mnóstwo rzeczy.

Wieczorem Massival, wpadając w coraz głębszą melancholję, usiadł przy fortepianie i wziął kilka akordów. Pani de Burne odżyła nagle i wnet ułożyła program małego koncertu, składającego się z jej najulubieńszych utworów.

Margrabina była tego dnia przy głosie, a podniecona obecnością Massivala śpiewała jak prawdziwa artystka. Mistrz akompanjował jej z wyrazem rozmarzenia, jaki twarz jego przybierała zwykle podczas gry. Długie jego włosy, muskając koniec tużurka, dotykały brody, ufryzowanej, lśniącej i delikatnej. Wiele kobiet szalało za nim dawniej, a i dotąd prześladowały go swemi względami. Pani de Burne siedząc przy fortepianie, cała zasluchana, zdawała się wpatrywać w grającego, a równocześnie go nie widzieć, co wzbudziło zazdrość w Andrzeju de Mariolle. Właściwie mówiąc, nie był on zazdrosnym ani o niego ani o nią, ale wobec tego spojrzenia kobiety, spoczywającego na twarzy człowieka *ślawnego*, czuł się upokorzonym w swej dumie męskiej; wiedział w jaki sposób *one* nas klasyfikują, zależnie od pozyskanej przez nas sławy. Nieraz już w głębi serca cierpiał srodze, zetknąwszy się ze znakomitymi ludźmi w obecności tych istot, których względy stanowią dla wielu mężczyzn najwyższą nagrodę powodzenia.

Okolo dziesiątej przybyła jeszcze hrabina de Frémines, a za nią dwie żydówki, córki bogatych bankierów. Zaczęto rozmawiać o mającem

się wkrótce zawrzeć małżeństwie i o przewidywanym rozwodzie innego.

Mariolle przyglądał się pani de Burne, która siedziała teraz obok marmurowej kolumny, dźwigającej olbrzymią lampę.

Cienki, nieco zadarty nosek, dołeczki na policzkach i delikatna zmarszczka, rozdławająca podbródek, nadawały jej twarzy wyraz dziecięcej figlarności, chociaż zbliżała się już do trzydziestki, a oczy do przekwitającego kwiatu podobne, rzucały na tę twarz niepokojące blaski. Przy świetle lampy pleć jej przybierała odcień jasno złotego aksamitu: włosy zaś przy każdym ruchu głowy, migotały płowym odcieniem.

Poczuwszy utkwione w swej twarzy spojrzenie mężczyzny, który zmierzał do niej z przeciwległego końca salonu, podniosła się i jakby odpowiadając na wezwanie, podeszła ku niemu z uśmiechem.

— Pan się nudzi zapewne! — zagadnęła dyskretnie. — Niepodobna uniknąć nudów, znalazłszy się w obcym towarzystwie.

Zaprzeczył.

Ona przysunawszy krzesło, usiadła obok niego. I natychmiast rozpoczęli rozmowę. Ożywili się oboje tak szybko, jak szybko zapalka jasnym płomieniem wybucha, gdy nią dotkniemy ognia. Zdawało się, że znali już swoje poglądy i wrażenia, że jednakowe usposobienie, wychowanie,

skłonności i upodobania, pozwalały zrozumieć się wzajemnie przy pierwszym zetknięciu.

Być może, że przyczyniła się do tego poniekąd zręczność młodej kobiety, ale Mariolle niezwykle się ożywił spotkawszy kogoś, kto nas słucha, odgaduje i odpowiedziami na rzucone pytania dostarcza materiału do dalszej rozmowy. Uszczęśliwiony zresztą doznaniem przyjęciem, zjednany wyzywającym wdziękiem pani domu i czarem, który umiała rzucać na mężczyzn, starał się rozwinąć w całej pełni swą umysłowość, mglistą trochę, ale indywidualną i subtelną, jedną mu szczerą i prawdziwą życzliwość osób, bliżej go znających.

Nagle pani de Burne oświadczyła:

— Doprawdy, rozmowa z panem jest niezwykle przyjemna. Uprzedzono mnie o tem, co prawda.

Czując, że się rumieni, Mariolle rzekł śmiało:

— Mnie zaś uprzedzano, że pani jest...

— Kokiетką! — przerwała. — Istotnie, jestem nią wobec ludzi, którzy mi się podobają. To wszystkim wiadomo, nie robię z tego tajemnicy, ale przekona się pan, że moja kokiетerja jest bardzo bezstronna, dzięki czemu mogę zatrzymać lub odzyskiwać przyjaciół, nie tracąc ich nigdy, a przykuwając wszystkich do siebie.

W tej chwili miała przebiegłą minkę, zdającą się mówić: „Nie łądz się, nie bądź zarozumia-

łym i zachowaj spokój, bo nie otrzymasz nic więcej niż tamci“.

Mariolle odparł:

— Tu przynajmniej ostrzega się ludzi o grożącym niebezpieczeństwie! Dziękuję pani, lubię taki sposób postępowania.

Utorowała mu drogę do rozpoczęcia rozmowy o niej, z czego też skorzystał. Z początku zrobił kilka komplementów i przekonał się, że je lubi, następnie podniecił jej kobiecą ciekawość powtarzając sądy, jakie o niej słyszał w rozmaitych kółkach znajomych. Siląc się na obojętność, a jednak trochę zaniepokojona, nie umiała ukryć chęci dowiedzenia się, co ludzie myśleć mogą o jej życiu i upodobaniach.

Skreślił więc obraz pochlebny niezależnej, niepospolitej, inteligentnej i pełnej powabu istoty, która zgromadziła dokoła siebie grono znakomitych ludzi, pozostała przecież kobietą światową — w całym tego słowa znaczeniu.

Ona zaprzeczała z figlarnym uśmiechem i zadowolona z szczegółów, które schlebiały jej miłości własnej, a żadna pochlebstw, domagała się ich coraz więcej.

On patrząc na nią, myślał: „W gruncie rzeczy jest to zepsute dziecko *jak wszystkie kobiety*“. I zręcznymi słowami sławił jej miłość dla sztuki — zaletę tak rzadko spotykaną u kobiet.

Wówczas niespodzianie przybrała ton drwiący, stanowiący cechę Francuzów.

Mariolle zadaleko posunął się w pochwałach. Chciała przekonać go, że nie jest ograniczoną.

— Mój Boże! — rzekła — prawdę mówiąc, nie wiem czy kocham sztukę, czy też artystów.

On odparł:

— Jakże można kochać artystów, nie kochając sztuki?

— Ponieważ są nieraz zabawniejsi od innych ludzi.

— Zapewne, ale miewają też bardzo niemiłe wady.

— To prawda.

— Pani zatem nie lubi muzyki?

Spoważniała nagle.

— O przepraszam! namiętnie lubię muzykę. Zdaje mi się, że kocham ją nadewszystko. Massival jednak jest przekonany, że jej wcale nie rozumiem.

— Czy to pani powiedział?

— Nie, ale tak myśli.

— Skądże pani wie o tem?

— O! my, kobiety domyślamy się niemal wszystkiego, czego nie wiemy.

— Zatem Massival sądzi, że pani wcale nie pojmuje muzyki?

— Najniezawodniej. W przekonaniu tem utwierdza mnie sposób, w jaki mi objaśnia znaczenie takiego utworu i podkreśla wszystkie odcienie, myśląc zarazem: „Na nic się to nie przyda: tłómaczę dlatego tylko, że pani taka miła“.

— Mówił mi jednak, że w salonie pani można nieraz słyszeć grę bardziej artystyczną, niż gdziekolwiek w Paryżu.

— Dzięki jemu.

— A literatury pani nie lubi?

— Bardzo; roszczę sobie nawet pretensje do pewnej samodzielności sądu... wbrew zdaniu Lamarthe'a.

— Który także sądzi, że pani nie umie ocenić wartości dzieła?

— Naturalnie!

— Ale on również tego pani nie powiedział?

— Przeciwnie, powiedział mi to całkiem wyraźnie. Jego zdaniem, niektóre kobiety dość trafnie a nawet subtelnie oceniają prawdopodobieństwo występujących postaci i wogóle psychologiczną wartość utworu; żadna jednak nie zdoła ująć wyższych pierwiastków sztuki. Ilekroć wymawia ten wyraz: *sztuka*, mam zawsze ochotę wyrzucić go za drzwi!

Mariolle zapytał z uśmiechem:

— A co pani o tem myśli?

Zamyśliła się chwilę, potem spojrzała na niego badawczo, chcąc się przekonać czy zdolny jest do wysłuchania i zrozumienia tego, co powie.

— Zdaje mi się, że zapomocą uczucia... powtarzam: za pomocą uczucia... kobieta może wszystko przeniknąć... tylko na nieszczęście, zazwyczaj prędko się to ulatnia. Czy pan rozumiał?

— Niezupełnie.

— Otóż twierdzę, że chcąc, abyśmy coś pojęły równie dobrze jak wy, trzeba odwołać się przedewszystkiem do naszej kobiecości, a potem dopiero do rozumu. To, czego mężczyzna nie potrafi nam uczynić sympatycznym, wcale nas nie zajmuje, gdyż patrzymy na świat przez pryzmat uczucia. Nie mówię, *miłości*, nie — *uczucia* tylko, które posiada tysiące kształtów i odcieni i w tysiącnych objawia się postaciach. Uczucie jest czemś, co do nas należy w zupełności, czego wy zrozumieć nie możecie, bo ono was zaślepia, gdy nam przeciwnie wszystko rozjaśnia. Przeczuję, że to co mówię, wvdaje się panu niejasnym — tem gorzej! Jednym słowem, mężczyzna, który nas kocha i jest nam sympatycznym... bo musimy czuć się kochanemi, by zdobyć się na podobny wysiłek... mężczyzna obdarzony przytem wyższym umysłem — może, zadawszy sobie trochę trudu, nauczyć nas wszystko odczuć, dostrzec, przeniknąć... może stopniowo przelać na nas cały zasób swej wiedzy. Och! nieraz wprawdzie wszystko to znika, zacierą się, gaśnie... och, bo my zapominamy prędko, równie prędko jak dźwięk słów rozplywa się w powietrzu! Posiadamy dużo intuicji i zapału, ale jesteśmy zmienne, wrażliwe, ulegamy wpływom wszystkiego, co nas otacza. Gdyby pan wiedział, przez ile różnorodnych faz ja przechodzę, a jak każda z nich czyni ze mnie

zupełnie inną istotę, zależnie od pogody, stanu mego zdrowia, tego co przeczytałam lub usłyszałam w danej chwili. Czasami czuję się wzorową matką rodziny bez dzieci, czasami znów kurtyzaną... bez kochanków!

Pełen zachwytu rzucił pytanie:

— Czy pani sądzi, że wszystkie prawie kobiety inteligentne posiadają umysł równie ruchliwy?

— Tak — odparła. — Tylko niektóre z nich niedołęznieją, a przytem mają zwykle określony cel życia, pociągający je w tę lub w tamtą stronę.

Mariolle spytał jeszcze:

— Więc pani nadewszystko kocha muzykę?

— Tak. Ale to co panu powiedziałam przed chwilą, jest szczerą prawdą! Nie ulega wątpliwości, iż bez pomocy tego anioła, Massivala, nie zachwyciłabym się tak muzyką, nie umiałabym jej tak uwielbiać. I dawniej już lubiłam namiętnie utwory wielkich kompozytorów, ale teraz dopiero, grywając pod jego kierunkiem, odczułam całą ich duszę. Jaka szkoda, że Massival ma żonę!

Ostatnie to zdanie powiedziała z wesołą miną, ale szczerzy żal brzmiący w jej słowach zagłuszył i jej uwielbienie dla sztuki, i teorię o właściwościach umysłu kobiecego.

W istocie, Massival był zonatym. Przed zdobyciem głośnego imienia, zawarł on jeden z tych związków, których ciężar, artysta okryty sławą — dźwigać musi aż do śmierci.

Nigdy zresztą nie wspominał o żonie, sam dużo bywając, nigdzie jej nie wprowadzał i mało kto wiedział, iż jest ojcem trojga dzieci.

Mariolle roześmiał się głośno. Stanowczo, czarująca to kobieta, oryginalna, a przytem bardzo przystojna! I nie mogąc się jej dość napatrzeć, z uporczywością, która nie zdawała się jej wcale onieśmielać, przyglądał się tej twarzy poważnej a tak zarazem wesołej, o nosku wyzywającym, cerze niezwykle świeżej, o odcieniach tak ciepłych i delikatnych, iż zdawało się, że w tym właśnie roku, w tym miesiącu, w tej nawet godzinie, dosięgła całej pełni swego rozkwitu. Zadając sobie w duchu pytanie: „Czy ona się nie maluje?“, bezskutecznie śledził oczyma w gęstwie jej włosów za jakimś jaśniejszym lub ciemniejszym punkcikiem.

Wzdrygnął się nagle i odwrócił głowę, usłyszawszy za sobą stłumiony odgłos kroków, stąpających po dywanie. Dwóch lokai wzniosło stół z zastawą do herbaty. Nad niebieskim płomykiem lampki spirytusowej cicho szemrała woda w dużej, posrebrzanej maszynie, lśniącej i sztucznie urządzonej jak przyrząd fizyczny.

— Można panu służyć szklanką herbaty? — spytała.

Gdy się zgodził, podniosła się i krokiem śmiałym, pewnym, trochę może za sztywnym podszła do stołu, na którym woda szumiała we wnętrzu maszynki, wśród różnobarwnego

klombu ciastek, biszkoptów, osmażonych owoców i cukierków.

Teraz wyraźny cień jej postaci padał na obicie salonu. Mariolle, który przed chwilą zachwycił się szerokimi jej ramionami i pełną kibicią, zauważył teraz jak smukłą była w pasie i szczupłą w biodrach. Jasna powłóczysta suknia spływając na dywan, zdawała się przedłużać jej postać w nieskończoność, co mu nasunęło myśl: „Oto syrena! Jest tem, co zapowiada“.

Zbliżała się kolejno do wszystkich gości, z niewymownym wdziękiem podając ciastka i herbatę.

Mariolle wodził za nią oczyma, gdy nagle zbliżył się do niego Lamarthe, który z filiżanką w ręku chodził po salonie.

— Czy wychodzimy razem?

— Oczywiście.

— Chodźmy więc. Jestem bardzo zmęczony.

— Służę ci. Chodźmy.

Wyszli.

Na ulicy powieściopisarz zapytał:

— Idziesz do domu, czy do klubu?

— Wstąpię na godzinkę do klubu Tambourins.

— Odprowadzę cię, a potem wsiądę do doróżki. Te lokale mnie nudzą. Nigdy tam nie bywam.

Czas jakiś szli w milczeniu w kierunku Saint-Augustin, wreszcie Mariolle zauważył:

— Dziwna kobieta! Co o niej myślisz?

Lamarthe zaczął się nagle śmiać.

— Aha, pierwsze symptomata choroby! Musisz to przebyć, jak my wszyscy: ja jestem już rekonwalescentem. Widzisz, mój drogi, charakterystyczny objaw choroby jej przyjaciół na tem polega, że gdziekolwiek się spotykają, zawsze o niej tylko muszą mówić.

— W każdym razie jestem o tyle usprawiedliwiony, że jej prawie nie znam... Pierwszy raz ją widziałem.

— Mówmy więc o niej. No cóż, zaczynasz się w niej kochać? To istne fatum, nikt mu nie może ujść.

— Czy w istocie ma tyle powabu?

— Tak i nie. Ludzie, którzy lubią kobiety dawniejsze, marzące, sentymentalne, bohaterki dawno przebrzmiałych romansów, odwracają się od niej z nienawiścią i spotwarzają ją poprostu. My jednak, umiając cenić wdzięk nowoczesny, przyznać musimy, że jest to czarująca istota, aby się tylko do niej nie przywiązać. A na nieszczęście każdy popełnia tensam błąd. Co prawda, nie grozi to śmiercią ani nawet bardzo dotkliwym cierpieniem, niemniej człowiek wścieka się na jej obojętność. I ciebie to spotka, jeżeli ona zechce; rzuciła już pierwszy pocisk.

Odpowiedź Mariolle'a była echem najskrytszych jego myśli.

— Och! co znowu? Dla niej jestem zwykłym

śmiertelnikiem, a zdaje mi się, że pani de Burne przywiązuje wagę do wszelkich tytułów.

— Tak, dba o nie poniekąd, ale równocześnie z nich drwi. Zapewniam cię, że najświetniejszy, najznakomitszy, najbardziej dystyngowany nawet człowiek nie powróci tam dziesięć razy, jeżeli nie miał szczęścia jej się podobać, co jej nie przeszkadza przywiązać się do takiego idioty, jak Fresnel lub do takiego ślimaka jak de Maltry. Niewiadomo, za co i dlaczego przywiązuje się do tych głupców — może dlatego, że bawią ją więcej od nas, lub też że szczerzej ją kochają, na co wszystkie bez wyjątku kobiety są jednak najczulsze.

I Lamarthe szeroko rozwodził się o niej, sądząc, analizując, zbijając własne twierdzenia; zapytywany przez Mariolle'a odpowiadał ze szczerym zapalem człowieka, którego przedmiot rozmowy zajmuje, porywa, a nawet wprawia w pewne zakłopotanie, gdyż w umyśle swym nagromadził był mnóstwo spostrzeżeń trafnych i fałszywych.

Wreszcie oświadczył:

— Nie jest ona zresztą wyjątkiem: mógłbym ci wyliczyć kilkadziesiąt kobiet do niej podobnych. Ot np. pani Frémines, którą dziś u niej poznałeś, tem się tylko od niej różni, że mniej dba o pozory i posiada za męża dziwaka, który zamienia swój dom w przytułek najzabawniej-

szych warjatów z całego Paryża. Ja także często bywam w tej speluncie.

Tak rozmawiając, minęli bulwar Malesherbes, ulicę Królewską, pola Elizejskie i zbliżali się do Łuku Triumfalnego, gdy nagle Lamarthe spojrział na zegarek:

— Mój drogi — rzekł — gadamy już o niej godzinę i dziesięć minut; wystarczy na dzisiaj. Odprowadzę cię do klubu innym razem. Teraz idź spać, a ja się także położę.

II.

Był to pokój obszerny i bardzo jasny, obity przepyszными makatami perskimi, które zdobył dla niej przyjaciel-dyplomata. Na tle złotem — niby powleczonem warstwą złotawej śmietany — rysowały się różnobarwne wzory, przedstawiające dziwaczne budowle, w około których biegały lwy w perukach, antylopy z nieskończone długiemi rogami i unosiły się stada rajszych ptaków.

Sprzętów niewiele. Na trzech długich stołach, pokrytych płytami z zielonego marmuru, mieściło się wszystko, co może służyć do toalety kobiecej. Na środkowym — duże kryształowe miednice; na drugim — cała armja słoików, flakonów, pudełek ze srebrnymi wieczkami, opatrzonymi monogramem i koroną. Na trzecim wreszcie, rozliczne a delikatne przybory i narzędzia, stanowiące wymysł nowożytnej kokieterji i do taje-

mniczego służące użytku. Oprócz tych stołów, dwa szezlongi tylko i kilka niziutkich, miękko wysłanych krzesełek służyło do odpoczynku zmęczonym członkom i obnażonemu ciału. Jedną ze ścian zajmowało olbrzymie lustro, do jasnego widnokręgu podobne. Złożone z trzech szyb, z których dwie boczne, obracając się na zawiasach, pozwalały młodej kobiecie widzieć swój obraz jednocześnie z przodu, z profilu i z tyłu — zamykać się niejako w odbiciu własnej postaci. Na prawo, w niszy osłoniętej portjerą, znajdowała się wanna, a raczej głęboki basen z zielonego marmuru, do którego wiodły dwa schodki. Amorek ze złoczonego brązu — dzieło rzeźbiarza Prédolé, siedział na brzegu wanny i bawił się muszelkami, z których tryskała gorąca i zimna woda. W głębi niszy, lustro weneckie, złożone z wielu, pod kątem ustawionych szkieł, biegło ku górze kolistym sklepieniem, ze wszystkich stron zamykając, chroniąc i odbijając wannę oraz kąpiącą się kobietę.

Pod przeciwległą ścianą stało biurko w stylu prostym angielskim zarzucone świstkami papieru, poskładanemi listami i małemi podartemi koperkami, na których błyszczwały złoczone monogramy. Tu bowiem pani de Burne pisywała, tutaj siadywała zwykle, będąc samą. Leżąc na szezlongu, w szlafrocжку z chińskiego jedwabiu, z obnażonemi ramionami, kształtnie i jędrnie wylaniającemi się z fałdów materji — z zaczesanemi do

góry włosami, które ciężarem swym przechylały w tył głowę, młoda kobieta marzyła po kąpieli.

Panna służąca zastukała do drzwi, potem weszła, przynosząc list.

Pani de Burne spojrzała na pismo, rozdarła kopertę i przebiegłszy oczyma kilka pierwszych wierszy, rzekła spokojnie:

— Zadzwoń na ciebie za godzinę.

Po wyjściu służącej, uśmiech triumfu przemknął po jej twarzy. Z pierwszych kilku słów domyśliła się, iż nareszcie ma w ręku wyznanie miłości Mariolle'a. Opierał się jej dłużej niż przypuszczała, bo już od trzech miesięcy, mimo że zużyła dla niego większy zasób wdzięku i czaru, niż dla kogokolwiek. On miał się ciągle na baczności, był nieufny, uprzedzony, wystrzegał się przynęty jej nigdy nienasyconej kokieterji. Iluż to potrzeba było rozmów poufnych, w których rozwijała cały czar swej piękności i dowcipu, iluż wieczorów, gdy jednym wzruszeniem przejęci, stali przy fortepianie, którego struny dźwięczały jeszcze duszą mistrzów, aby w jego oku dostrzec nareszcie to wyznanie odniesionej porażki, tę błagalną prośbę o litość nad uczuciem. Ach! jak dobrze się na tem znała! Wszak tyle już razy z prawdziwie kocią zręcznością i z niewyczerpanem zasobem ciekawości wywoływała błysk tego tajemniczego a dotkliwego cierpienia w oczach wszystkich mężczyzn, których zdołała oczarować! A jak ją to serdecznie bawiło, gdy

nieprzewyciężoną potęgą kobiecości zwyciężała ich, podbijała, stawiała się ich bożyszczem, jedyną i najwyższą władczynią. Owa instyktowna żądza ustawicznych podbojów i łupów rozwinęła się w niej niepostrzeżenie. Może za życia męża jeszcze, pragnienie odwetu kiełkowało w jej sercu; może wtedy już żywiła zamiar odplacenia mężczyznom za wszystko, co od jednego z nich znosić musiała; okazania się kiedyś silniejszą, uginania ich woli, pokonywania oporu i skazywania ich także na cierpienia. Przedewszystkiem jednak urodziła się kokietką; to też odzyskawszy swobodę, poczęła ścigać i poskramiać wielbicieli jak myśliwy, który ściga zwierzynę poto tylko, by ją powalić. W sercu jej nie było owego pragnienia wzruszeń, właściwego tkliwym i uczuciowym kobietom; nie chciała miłości jednego człowieka; nie szukała szczęścia w uczuciu. Chciała tylko powszechnego uwielbienia; chciała, aby na klęczkach składano jej hołdy, aby atmosfera uczucia — niby dym kadzideł — zawsze ją otaczała. Ktokolwiek należał do stałych gości, musiał stać się niewolnikiem jej piękności, a żadna siła nie zdołałaby przywiązać jej na długo do tych, którzy opierali się jej kokieteryj, czy to dlatego, że lekceważyli uczucie, czy też że innej kobiecie serce swe oddali. Trzeba było ją kochać, by zostać jej przyjacielem. Wtedy jednak z niezrównaną uprzejmością, czuła, serdeczna, uprzedzająca, przykuwała do siebie jeńców za-

branych w niewolę. Raz zaciągnawszy się do szeregu jej wielbicieli, należało na mocy prawa silniejszego, pozostać jej własnością na zawsze. Zrećźnie umiała nimi władać, uwzględniając wady, zalety, odcień zazdrości każdego. Zbyt wymagających oddalała od siebie, a gdy przejęci pokorą wracali, przyjmowała ich łaskawie, stawiając warunki bardzo surowe. Perwersna swawolnica, bawiła się kosztem serc ludzkich z takim zamiłowaniem, że z równą przyjemnością doprowadzała do szaleństwa starców, jak młodych ludzi.

Zdawałoby się nawet, że przywiązanie swe mierzyła stopniem wzbudzonego zapału, bo otyły Fresnel, pospolity i ciężki pasażer, należał do jej ulubieńców, dzięki szalonej miłości, jaką wytrwale ku niej pałał.

Nie była też całkiem obojętną na zalety mężczyzn i kilkakrotnie serce jej żywiej zabiło, co dla wszystkich pozostawało tajemnicą; zawsze bowiem umiała zatrzymać się w chwili, gdy poczuła, że grozić jej może niebezpieczeństwo.

Niegdyś każdy nowy gość, wnosząc nowy ton do miłosnej piosnki, każdy zwłaszcza artysta, w którym przeczuwała zdolność odczuwania subtelniejszych, tkliwszych i delikatniejszych wzruszeń — onieśmielał ją, wprawiał w zadumę, budząc przelotne marzenie o wzniosłej i stałej miłości. Ale nieufna, przezorna, chwiejna, dręczona tysiącem obaw, bacznie strzegła swego serca, dopóki nie nauczyła się obojętnie przyj-

mować składane jej hołdy. Obdarzona zresztą sceptycznym spojrzeniem kobiety nowoczesnej, w ciągu kilku tygodni umiała najznakomitszego nawet człowieka krytycznie zanalizować. Skoro tylko zakochawszy się w niej, miotani walką z własnym sercem, zapominali o przybraniu stosownej pozy, dostrzegała wnet, że wszyscy są do siebie podobni — wszyscy bezsilni, obywatelnieni jej potęgą.

Ileż to zalet niepospolitych posiadać musiałby mężczyzna, aby zasłużyć na miłość kobiety tak doskonałej, za jaką uważała siebie!

A jednak się nudziła! Nie lubiąc życia światowego, od którego przesady tylko nie pozwalały jej się uchylać, na balach tłumiała nieraz ziewanie i odpędzała sen klejący powieki, znajdując jedyną przyjemność w chwilowych zachciankach lub w przelotnej ciekawości, jaką wzbudzały w niej pewne osoby lub przedmioty; przywiązując się o tyle tylko, aby nie zniechęcić się zbyt prędko do tego, co wzbudzało przed chwilą jej podziw — za mało jednak, aby znaleźć istotne zadowolenie w danym uczuciu lub upodobaniu; powodowana nerwami nie pragnieniami, nie znając tych trosk i niepokojów, którymi biją serca proste lub pełne zapału — żyła w atmosferze wesołej nudy, bez wiary w szczęście, goniąc za rozrywkami jedynie, opanowana już znudzeniem, pomimo że uważała się za zadowoloną.

Mniemała, że jest zadowolona, uważając się za najbardziej czarującą ze wszystkich kobiet i najhojniej przez przyrodę uposażoną. Dumna ze swego wdzięku, którego siły tylokrotnie dowiodła, rozkochana we własnej piękności tak niezwyklej a pełnej uroku, przeświadczona o bystrości swego umysłu, dzięki któremu odgadywała, przeczuwała, rozumiała tyle rzeczy niewidzialnych dla innych; pyszna ze swego rozumu, którym zachwycało się tylu wykształconych ludzi, a nieświadoma ciasnych granic swej inteligencji, wierzyła, że jest cudowną, wyjątkową istotą — rzadką perłą rzuconą na ten marny świat, który wydawał jej się czczym i bezbarwnym, gdyż nie dorównywał jej wartością.

Ani na chwilę nie przypuszczała, że w niej to właśnie kryć się może przyczyna owej ustawicznie ją dręczącej nudy, lecz oskarżała o to innych, czyniąc ich odpowiedzialnymi za swój smutek. Oczywiście, że nie posiadali prawdziwych zalet, skoro nie umieli jej rozerwać, zabawić, a nawet roznamiętnić w jakimś kierunku. „Nieznośni są ludzie! — mawiała nieraz z uśmiechem. — Pewną wartość mają tylko ci, którzy mi się podobają, jedynie dlatego, że mi się podobają“.

A najniezawodniejszym sposobem podobania jej się było uznanie jej za niezrównaną. Wiedząc, że niczego nie można zdobyć bez trudu, wyteężała wszystkie swe siły w celu ujarzmiania, oczarowywania ludzi i nie znała większej rozkoszy nad

hold rozrzewnionego spojrzenia lub serca — tego potężnego mięśnia, którego ruchy umiała przyspieszyć jednym słowem.

Z początku dziwiła się ogromnie, że z takim trudem zdobywać musi serce Andrzeja Mariolle, gdyż od pierwszego już dnia wiedziała, że mu się podoba. Potem odgadując stopniowo jego charakter posępny, trochę zawistny, bardzo subtelny i skupiony, zaczęła okazywać mu taką życzliwość i tak szczerą sympatję, że ostatecznie i on musiał złożyć broń!...

Od miesiąca szczególniej pewną już była zwycięstwa, widząc, że w jej obecności Mariolle staje się milczącym, niespokojnym i rozgorączkowanym, powstrzymując się jednak z wyznaniem swego uczucia. Ach! te wyznania! Prawdę mówiąc, nie lubiła ich zbytnio, bo nieraz zmuszona była kłaść im tamę, skoro się stawały zbyt wyraźnemi. Parę razy nawet musiała wielbicielom swoim pokazać drzwi. Celem jej zabiegów były delikatniejsze objawy uczucia; lubiła na pół czynione zwierzenia, dyskretne aluzje, prostracje moralne; i trzeba przyznać, że z godnym podziwu taktem, z niezrównaną zręcznością umiała nakazywać wielbicielom ową wstrzemięźliwość w sposobie wyrażania uczuć.

Od miesiąca już z upragnieniem wyczekiwała chwili, kiedy na usta Mariolle'a wybiegną słowa, zależnie od usposobienia jednostki więcej lub mniej wyraźne, — wylew udręczonego serca.

Nie wypowiedział tych słów, ale napisał je wreszcie. Długi list: aż cztery stronice! Trzymała go teraz w rękach, drżących z radości. Położyła się na szezlongu, by jej było wygodniej, pantofelki zrzuciła na dywan i zaczęła czytać. List ten zadziwił ją niezmiernie. Mariolle oświadczał tonem poważnym, że nie chce cierpieć przez nią; że zanadto dobrze ją poznał, aby mógł zaliczać się do rzędu jej ofiar. W grzecznych, pełnych uznania wyrazach, w których przebijało się tłumione uczucie, dawał do zrozumienia, że zna jej sposób postępowania z mężczyznami, że on również uległ czarowi, ale pragnąc wyzwolić się z tej niewoli, postanawia się oddalić. Rozpocznie znów życie tułacze, prowadzone przed laty. Wyjedzie.

Było to pożegnanie wymowne i stanowcze. Bezwątpienia zadziwić się musiała, czytając, odczytując i raz jeszcze przebiegając oczyma te cztery stronice, tchnące takim oburzeniem i tak silnym uczuciem. Podniosła się, wsunęła pantofelki i gorączkowym krokiem chodzić zaczęła po pokoju, nawpół wsunawszy ręce do kieszonek szlafrocza, a w jednej trzymając zmięty list.

Oszołomiona tem niespodziewanem wyznaniem, myślała: „Trzeba przyznać, że pisze bardzo dobrze: prosto, szczerze i z uczuciem. Lepiej od Lamarthe'a, który zawsze trąci powieściopisarzem“.

Zebrała ją ochota na papieros. Zbliżyła się

więc do stołu, na którym obok perfum stała szkatułka z saskiej porcelany, wyjęła z niej papierosa, zapaliła go, poczem podeszła do zwierciadła, w którego trzech lustrach spostrzegła trzy młode kobiety, idące na jej spotkanie. Stanąwszy przed lustrem, skłoniła się samej sobie, z uśmiechem mówiącym: „Bardzo ładna, bardzo ładna“. Przyjrzała się oczom swym, pokazała ząbki, podniosła ramiona, oparła ręce na biodrach, wreszcie przechyliwszy nieco głowę, odwróciła się profilem, aby widzieć dokładnie postać swoją we wszystkich trzech lustrach.

Długo tak stała, lubując się widokiem samej siebie, otoczona potrójnem odbiciem swej postaci, która wydawała się jej urocą; przejęta samolubną i fizyczną radością wobec swej piękności, rozkoszując się nią z takim samym niemal uniesieniem zmysłowem, jak mężczyźni.

Codzień prawie wpatrywała się tak w siebie, to też panna służąca, zastawszy ją kilka razy przy lustrze, mawiała złośliwie:

— Pani tak się ciągle przegląda, że niedługo zużyje wszystkie lustra w domu.

Ale w tej miłości do siebie samej kryła się właśnie tajemnica jej powabu, władzy nad mężczyznami. Przejęta uwielbieniem dla swego ciała, rozkochana w każdym rysie twarzy, ustawicznie szukając wszystkiego, co mogłoby podnieść jej wdzięki, odkrywając niedostrzegalne odcienie, które dodawały czaru jej spojrzeniu, używając

wszelkich środków, zdobiących ją we własnych oczach — musiała oczywiście odgadnąć, co się innym najwięcej podoba.

Stokroć nawet piękniejsza kobieta, ale więcej na własną piękność obojętna, nie zdołałaby nigdy osiąść tego uroku, czyniącego ją wszystkich serc władczynią.

Zmęczona wreszcie długim staniem, rzekła z uśmiechem do swego obrazu (a obraz w potrójnym zwierciadle poruszył ustami, aby powtórzyć te słowa): Zobaczymy, mój panie.

Potem usiadłszy przy biurku, napisała:

„Kochany panie Mariolle! Proszę przyjść do mnie jutro o czwartej. Zastanie mnie pan samą i mam nadzieję, że zdołam uspokoić pańskie obawy co do rzekomego niebezpieczeństwa.

Uważam się za pańską przyjaciółkę i dowiodę, że nią jestem. *Michalina de Burne*“.

W jakże pojedynczej toalecie czekała naza jutrz Andrzeja Mariolle!... Skromna suknia popielatego koloru o liljowym odcieniu i melancholijna jak zmrok wieczorny, zupełnie gładka, ze stojącym kołnierzykiem, z rękawami, które obciskały ręce, ze stanikiem, który obciskał kibić, ze spódnicą, która obciskała biodra i uda.

Zobaczywszy gościa wchodzącego z obliczem nieco posepnem, podeszła na jego spotkanie, wyciągając doń obydwie ręce. Pocałował ją w rękę i usiedli oboje. Rozmyślnie nie wszczyniała rozmowy, chcąc się przekonać o jego zakłopotaniu.

On znów nie wiedział co powiedzieć i czekał aż ona rozpocznie rozmowę.

Zdecydowała się wreszcie:

— No, przystąpmy odrazu do rzeczy. Cóż to się dzieje? Czy pan wie, że list pański był bardzo zuchwały?

On odparł:

— Wiem o tem i serdecznie panią przepraszam. Wobec wszystkich postępowałem i zawsze postępuję z szczerością, graniczącą nawet z rubasznością. Mogłem wyjechać bez tych wyjaśnień, zarówno przykrych jak niestosownych. Zdawało mi się jednak, że postąpię uczciwiej, działając zgodnie ze swą naturą i zdając się zresztą na panią.

Z odcieniem współczucia i zadowolenia w głosie odrzekła:

— Patrzcie! patrzcie! Cóż to za szaleństwo!

On przerwał:

— Wolałbym nie mówić o tem!

— Ależ ja po to pana sprowadziłam — przerwała żywo — i będziemy o tem mówić dopóty, aż się pan przekona, że żadne nie grozi niebezpieczeństwo.

Roześmiała się jak podłotek, a skromna sukienka nadawała jej teraz pozór dziecięcej prawie naiwności.

On wyjąkał:

— Napisałem pani prawdę, szczerą prawdę,

przerazającą prawdę, która mnie przejmuje lękiem.

Przestała się śmiać i poważniej nieco odrzekła:

— Niechże będzie; wszyscy moi przyjaciele przez to przechodzą. Napisał mi pan także, że jestem *straszną* kokietką: nie przeczę temu, ale moja kokieterja nikogo nie uśmierca, a nawet... o ile mi się zdaje... nie rani boleśnie. Lamarthe wprawdzie utrzymuje, że każdy musi przebyć *kryzys*. Teraz kolej na pana... ale to mija prędko, pozostawiając po sobie... jakby to powiedzieć... ot, miłość chroniczną — ogień, który już nie parzy, a który ja podsyacam zwolna w sercach wszystkich moich przyjaciół, aby byli bardzo wierni, bardzo stali i bardzo przywiązani. No, czyż nie jestem szczerą, otwartą i zuchwałą?... Czy zna pan dużo kobiet, które ośmieliłyby się powiedzieć mężczyźnie to, co ja mówię panu?

Miała teraz minkę tak zabawną i stanowczą, tak naiwną i pełną prostoty zarazem, że mimowoli musiał się uśmiechnąć.

— Wszyscy przyjaciele pani — rzekł — są ludźmi, którzy sparzyli się tym ogniem już nieraz, zanim pani wystawiła ich na tę próbę. Opaleni, przywędzeni, mogą bez niebezpieczeństwa stać przy tym ogniu, ale ja nigdy tego nie doświadczałem i przewiduję, że byłoby coś strasznego, gdybym poddał się uczuciu wzrastającemu w mem sereu.

Stała się nagle poufalszą i pochyliwszy się ku niemu, z rękoma skrzyżowanymi na kolanach rzekła:

— Proszę mnie posłuchać: mówię teraz poważnie. Nie mam ochoty tracić przyjaciela, skutkiem obawy, którą uważam za urojoną. Zakochał się pan we mnie... przypuśćmy, że tak jest, ale w naszych czasach mężczyźni nie kochają kobiet tak, aby miłość sprawiała im cierpienie. Wierzaj mi pan, znam ja dobrze jednych i drugie.

Umilkła, potem z dziwnym uśmiechem kobiety, która mówi prawdę, w przeświadczeniu, że kłamie, rzekła:

— Zresztą, nie posiadam tych zalet, które mogą wzbudzić miłość szaloną. Jestem zbyt nowoczesną. A zatem, będę panu przyjaciółką... szczerą i wierną przyjaciółką, dla której wolno panu żywić spokojnie przywiązanie... ale nic więcej... będę nad tem czuwać.

I poważniejszym tonem dodała:

— W każdym razie muszę pana uprzedzić, że ja nie potrafiłabym zakochać się naprawdę, że będę obchodziła się z panem tak jak z innymi, ale nie lepiej... Nienawidzę despotyzmu i zazdrości. Od męża musiałam wszystko znosić w milczeniu; ale przyjacielowi... prawdziwemu przyjacielowi nie pozwoliłabym nigdy na tę okrutną tyranję miłości, która jest plagą serdecznych stosunków. Widzi pan, że staram się być bardzo

względna i mówię do pana jak do przyjaciela i nic nie ukrywam. Czy się pan godzi na moja lojalną propozycję? Gdyby okazała się niewygodna, będzie pan wtedy mógł doprowadzić do skutku zamiar wyjazdu. Co z oczu, to z myśli!

Zwyciężony już głosem jej, ruchami, upajającym czarem całej postaci, Mariolle patrzył na nią w milczeniu. Tonem głębokiej rezygnacji, upojony jej bliskością, szepnął:

— Niechże będzie, a jeżeli zginę, tem lepiej! Warto nawet cierpieć dla pani.

Ona przerwała:

— A teraz nie mówmy już o tem!... I nigdy do tego nie wracajmy!

I swobodnie podjęła obojętny przedmiot rozmowy.

Po upływie godziny, Mariolle wyszedł udęczony, bo ją kochał i pełen radości, bo chciała go zatrzymać, a on przyrzekł pozostać.

III.

Był udęczony, gdyż ją kochał. Niepodobny do przeciętnego kochanka, któremu ubóstwiana kobieta wydaje się zawsze ideałem doskonałości, patrzył na nią jasnowidzącym wzrokiem nieufnego mężczyzny, który nigdy nie zaznał niewoli. Umysł niespokojny, bystry, trochę leniwy, zawsze zajmujący stanowisko odporne, uchronił go dotąd od namiętności. Kilka przelotnych stosunków

zmarłych na nudę, kilka miłostek za pieniądze zdobytych, a zerwanych z obrzydzeniem — oto cała historia jego serca. Utrzymywał zawsze, że kobiety są bardzo użyteczne dla tych, którzy pragną mieć dzieci i dom dobrze prowadzony, oraz przedmiotem względnej przyjemności dla tych, którzy chcą się kochać dla rozrywki.

Wchodząc do domu pani de Burne, był do niej uprzedzony skutkiem zwierzeń jej przyjaciół. To, co o niej wiedział, zajmowało go, zaciekawiało, podobało mu się, lecz równocześnie trochę odpychało. Z zasady nie lubił graczy, którzy nigdy nie przegrywają. W pierwszych dniach znajomości uznał, że jest bardzo zajmująca i posiada pewien specjalny, a dziwnie zaraźliwy urok. Kibić jej wysmukła, szczupła i pełna zarazem, przepyszne ramiona, które zdawały się stworzone po to, aby przyciągać, oplątywać i ścisnąć w objęciach, a nogi przypuszczalnie długie i szczupłe, stworzone do ucieczki, jak nogi gazeli, o drobnych stopach, których stąpanie zdawało się nie pozostawiać śladów, wydawała mu się poniekąd symbolem uludnych nadziei. Przytem rozmowa z nią sprawiała mu przyjemność, której, jak mniemał, niepodobna doznać w rozmowach salonowych. Obdarzona umysłem pełnym wrodzonego zapału, w pieszczotach swych nawet drwiąca i ironiczna, miewała przecież chwilami przyływy uczuciowości, jak gdyby na dnie jej szyderczej wesołości, błakał się jeszcze cień

poetycznej sentymentalności prababek. To właśnie czyniło ją tak czarującą.

Wabiła go rozmyślnie, chcąc go przykuć do siebie jak tamtych, a on przychodził jak mógł najczęściej, niezdolny oprzeć się wciąż wzrastającej żądzy widywania jej coraz częściej. Wychoząc od niej często oburzony tem co uczyniła lub powiedziała, wracał jednak, jakby ulegając jakiejś tajemniczej sile przyciągania — nieprzypartej sile czaru, spojrzenia, słowa, uśmiechu.

Im więcej odczuwał swoją bezsilność wobec magnetycznego wpływu kobiecego, tem lepiej odgadywał i rozumiał jej naturę, tem boleśniej cierpiał, pragnąc zmienić ją zupełnie.

Ale wbrew własnej woli, wbrew głosowi rozsądku, te właśnie ujemne jej strony, czarowały go więcej, aniżeli prawdziwe jej zalety.

Kokieterja, którą bawiła się otwarcie jak wachlarzem, zamykając go i otwierając, zależnie od usposobienia tego lub owego mężczyzny; zwyczaj nie brania niczego poważnie, co go z początku bawiło, a teraz zatrważało; ustawiczna żądza rozrywek i nowości, nienasycona żądza znudzonego ciągle serca — wszystko to doprowadzało go do takiej rozpacz, że nieraz wracając do domu, postanawiał bywać tam coraz rzadziej i stopniowo rozluźnić stosunki ostatecznie.

Ale nazajutrz pod jakimkolwiek pretekstem, znów do niej powracał. Im więcej przywiązywał się do niej, tem jaśniej pojmował, że miłość ta

nie przyniesie mu nic — prócz niezawodnego cierpienia.

O! nie był on wcale zaślepionym: pogrążał się powoli w to morze uczucia, jak człowiek, który nie mogąc dłużej walczyć z falą, tonie ze znużenia, gdyż łódka poszła na dno, a do wybrzeża zadaleko. Poznał ją o tyle, o ile to było możliwem, bo miłość uczyniła go jasnowidzącym, a jednak nie mógł się oprzeć pokusie myślenia o niej ustawicznie. Z niestrudzoną wytrwałością usiłował zanalizować i rozjaśnić tę ciemną głębię duszy kobiecej, tę niezrozumiałą mieszaninę ożywienia i rozczarowania, rozsądku i dziecięcej pustoty, pozorów przywiązania i niestałości — wszystkie te sprzeczne skłonności, które w połączeniu wytworzyły istotę anormalną, czarującą i wiodącą na manowce.

Ale dlaczego go tak czarowała? Rozmyślał nad tem nieustannie i nie mógł dojść do wniosku, bo posiadając naturę refleksyjną, badawczą i pełną spokojnej godności, musiał z konieczności szukać w kobiecie stałości i przywiązania tkliwego — owych cichych zalet, które zdają się mężczyźnie zapewniać szczęście.

Tymczasem miał przed oczyma coś nieoczekiwanego, zjawisko zapowiadające jakoby przekształcenie rodzaju ludzkiego, a nowością swą zachwycające: jedną z tych istot, które dają początek nowemu pokoleniu, różnią się od wszystkiego, cośmy znali dotychczas, a mocą swych

niedoskonałości właśnie rozsiewają dokoła groźny urok budzącego się życia.

Po namiętnych i romantycznych marzycielkach z czasów Restauracji, zjawily się w epoce Cesarstwa kobiety, umiejące się bawić, dla których zabawa stanowiła jedyny cel życia; a oto znów nowa transformacja wiecznej kobiecości w postaci istoty wyrafinowanej, chwiejnej, niestałej, dręczonej nieustannym niepokojem, istoty, która zaznała już prawdopodobnie wszystkich narkotyków, uspakajających nerwy: chloroformu, który usypia, eteru i morfiny, które sprowadzają marzenia, przytępiają zmysły i zagłuszają uczucie.

Ona czyniła na nim wrażenie istoty sztucznej, wprawionej do czarowania mężczyzn.

Była przedmiotem zbytku, rzadkim, ponętym i delikatnym — na którym zatrzymują się nasze spojrzenia, wobec którego bije serce i wzmaga się żądza, podobnie jak widok wykwintnych potraw, widzianych przez szybę, pobudza apetyt przechodniów.

Raz przekonawszy się, że z wolna stacza się w głąb przepaści, rozmyślać począł nad następstwami swego upadku. Co się z nim stanie? Co ona z nim uczyni? To bezwątpienia, co nieraz już przedtem uczyniła z innymi. Doprowadzi go do takiego stanu, w którym mężczyzna słuca ślepo kaprysów kobiety, jak pies idący za panem i zaliczy w poczet swych ulubieńców mniej lub więcej sławnych. Ale czy naprawdę

bawiła się ze wszystkimi? Czyż ani jednego z nich nie kochała szczerze, prawdziwie, bodaj przez miesiąc, przez dzień, przez godzinę w jednym z owych porywów, które wnet tłumić umiała?

Rozmawiał z nimi o niej nieskończenie długo, gdy wychodzili razem podnieceni jej obecnością. Przekonał się, że wszyscy są jeszcze niespokojni, rozdrażnieni, zmieszani, jak ludzie, których pragnienia nie zostały nigdy zaspokojone.

Nie, ona nie kochała żadnego z tych mężczyzn, powszechnie znanych i wzbudzających ogólną ciekawość; ale on, który w porównaniu z nimi był niczem, którego w salonach nie śledzono ciekawym spojrzeniem, który ginął w tłumie lub w salonie, czemże on będzie dla niej? Niczem? — niczem! zwykłym znajomym, jednym z tych panów, którzy dla kobiety światowej są potrzebą konieczną, ale nie mającą żadnych właściwości odrębnych, niby wino zmieszane z wodą.

Gdyby jeszcze był człowiekiem sławnym, przyjąłby może taką rolę w nadziei, że sława uczyni ją mniej poniżającą. Nie będąc nim, nie mógł się na to zgodzić. Napisał więc do niej kilka słów pożegnalnych.

Otrzymawszy krótką odpowiedź uczuł się tak wzruszonym, jak gdyby niespodzianie spadło nań szczęście, a przyrzekłszy pozostać na jej życzenie, odetchnął swobodniej, jak człowiek z ciężkiej niedoli wybawiony.

Kilka dni upłynęło, nie przynosząc żadnej

zmiany w ich stosunku; ale gdy minęło owe ukojenie, które następuje zwykle po wielkich przełomach, uczuł, że w jego sercu wzmaga się paląca żądza. Zakazała mu wprawdzie mówić o swej miłości, ale nie wzbronila pisywać, to też pewnego wieczoru, gdy myśl o niej płoszyła mu sen z powiek, bezwiednie prawie usiadł przy biurku i zaczął przelewać swe uczucie na papier. Nie był to list; raczej luźne zdania, myśli, uwagi, dreszcze cierpienia, przeobrażające się w słowa:

Uspokoiło go to, przyniosło nawet pewną ulgę i położywszy się, zasnął.

Nazajutrz rano odczytał te kilka stronic, uznał za dość wymowne, włożył w kopertę, napisał adres i późnym dopiero wieczorem wrzucił do skrzynki, chcąc, żeby je otrzymała natychmiast po przebudzeniu.

Nie przypuszczał ani na chwilę, aby te ćwiartki mogły ją oburzyć. Najniedostępniejsze nawet kobiety z bezgraniczną pobłażliwością sądzą listy, szczerze mówiące o miłości. Z drugiej strony listy takie, drżącą ręką skreślone, obejmowane oczyma pełnemi miłości, działają na ich serca z siłą nieprzepartą.

Wieczorem poszedł do niej, chcąc się przekonać, jak go przyjmie i co mu powie. Zastał w salonie pana de Pradon, który, paląc cygaro, rozmawiał z córką. Starzec przesiadywał z nią raczej jak z damą, niż z córką. Umiała przywiązaniu jego nadać ten cień miłosnego hołdu,

który samej sobie składała i którego domagała się od wszystkich.

Na widok wchodzącego Mariolle'a, radość zajaśniała na jej twarzy; serdecznie podała mu rękę: uśmiech jej mówił: „Bardzo mi się podobasz“.

Mariolle miał nadzieję, że ojciec wkrótce odejdzie. Ale pan de Pradon nie odchodził. Pomimo, że znał usposobienie córki i oddawna już przestał ją podejrzewać, uważając ją za istotę bezpłciową, czuwał nad nią jednak z pewnym niepokojem, roztaczając mężowską poniekąd opiekę. Teraz pragnął dowiedzieć się, kim jest ten nowy przyjaciel i o ile posiada warunki do zdobycia trwałego powodzenia. Czy będzie to jeden z tych przelotnych gości, czy też stały członek kółka?

Siedział więc, ulokowawszy się wygodnie w fotelu, a Mariolle wnet zrozumiał, że nie pozbędzie się tego świadka. Pogodziwszy się z losem, usiłował go podbić w przekonaniu, że życzliwość lub przynajmniej obojętność, zawsze lepsza od niechęci. Starał się zatem być wesołym, ożywionym, nie pozując na nieszczęśliwego.

Pomyślała z zadowoleniem: „Nie głupi jest i dobrze gra komedję“.

A pan de Pradon myślał: „Bardzo przyjemny człowiek! zdaje mi się, że moja córka nie zawraca mu głowy jak tamtym“.

Uznawszy za stosowne oddalić się wreszcie,

Mariolle wyszedł, zostawiając oboje pod wrażeniem zachwytu.

Sam jednak wychodził znękany. Wobec tej kobiety czuł już przygniatający ciężar włożonego przez nią jarzma; czuł, że daremnieby pukał do jej serca, jak więzień daremnie uderza pięścią w żelazne wrota.

Wiedział, że jest w jej mocy i nie próbował nawet się wyzwolić, ale nie mogąc uniknąć tego losu, postanowił być przebiegłym, cierpliwym, skrytym, zdobyć ją zręcznością, hołdami, których tak była żądną, uwielbieniem, które ją tak upajało, dobrowolnym znoszeniem niewoli.

List się jej podobał. Trzeba pisywać nadal. I pisywał. Co noc prawie, wróciwszy do domu o godzinie, w której umysł podniecony wrażeniami dnia, niby przez szkła powiększające spogląda na wszystko, co go wzrusza lub zajmuje — w rodzaju halucynacji siadał przy biurku i wprawiał się w zachwyt, myśląc o niej. Zarodek poezji, któremu tylu ludzi przez lenistwo zmarnieć pozwala, kielkuje i wzrasta w takim uniesieniu. Ciągłe pisywanie o tym samym przedmiocie, o swej miłości — wcielanie go w coraz to nowe kształty, ustawiczne podniecanie swej namiętności, wzbudzało w nim gorączkowy zapal do tych czułości literackich. Przez cały dzień szukał i znajdował dla niej te nieprzeparte wyrazy, które pod wpływem silnego uczucia tryskają z mózgu jak iskry. Rozdmuchiwał więc

w swem sercu pożar straszliwy, bo listy miłosne prawdziwą tchnące namiętnością, bywają częstokroć niebezpieczniejsze dla piszącego, niż dla odbierającego.

Wprawiając się dobrowolnie w ten stan gorączkowy, rozpalając swą krew słowami i zajmowaniem się jedną myślą wyłącznie, tracił stopniowo trafny sąd o tej kobiecie. Przystawszy ją widzieć taką, jaka mu się z początku wydawała, widział ją teraz jedynie przez pryzmat liryzmu słów własnych, a każde z tych słów, wypisanych w nocy, stawało się w jego sercu nową prawdą. To codzienne idealizowanie jej ukazało mu ją nareszcie taką, jaką widzieć ją pragnął. Przytem, przywiązanie, jakie pani de Burne wyraźnie mu okazywała, łamało powoli dawny jego opór. Nie mówili wprawdzie nigdy o swych uczuciach, widocznem jednak było, że przekładała go teraz nad wszystkich i wyraźnie to okazywała. To też oszalały nadzieją myślał, że może go przecież pokocha.

Istotnie poddawała się urokowi tych listów z dziwnie skomplikowaną i naiwną zarazem radością. Nikt dotąd nie uwielbiał jej i nie kochał w taki sposób, z taką bezbrzeżną dyskrecją. Nikomu nie przyszła nigdy myśl składania jej codzień owego rannego hołdu uczucia, które panna służąca przynosiła na srebrnej tacy i stawiała przy jej łóżku. Najwięcej podobało się jej to, że Mariolle nigdy o tem nie wspominał, że zdawał się

sam o tem nie wiedzieć, że w salonie okazywał się najchłodniejszym ze wszystkich jej przyjaciół, że nigdy nie napomknął nawet o tej wicherze uczucia, którą owiewał ją potajemnie.

Nieraz już otrzymywała od swych wielbicieli listy, ale w innym tonie, mniej wstrzemięźliwe, więcej nalegające i natarczywe. Przez całe trzy miesiące — okres nieuniknionej choroby — Lamarthe poświęcał jej korespondencję powieściopisarza bałamucącego się po literacku. Dotąd chowała w oddzielnej szufladce biurka te czułe, dowcipne i zręczne listy dowcipnie rozkochanego powieściopisarza, który dopóty pieścił ją swem piórem, dopóki nie utracił nadziei zwycięstwa.

Listy Mariolle'a były całkiem inne; świadczyły o takiej koncentracji uczucia, tak silnem przywiązaniu, tak bezwzględnej uległości, że odbierała je, czytywała, rozkoszowała się niemi, jak żadną lekturą dotychczas.

Zadowolenie to oddziaływało na jej przyjaźń do autora listów; a zapraszała go tem chętniej, że nigdy słowem nie zdradzał swej tajemnicy i mówiąc z nią zdawał się zapominać, iż kiedykolwiek wylewał na papier uwielbienie, jakim tchnęły listy. Taka sytuacja wydawała jej się oryginalną, godną mistrzowskiego utworu; czuła się też głęboko zadowoloną w obecności człowieka, który wydawał się niejako subtelnym fluidem uczucia.

Dotąd pomimo próżności swej i kokieterji, we wszystkich zdobytych sercach znajdowała obce jakieś czynniki: nie królowała w nich wszechwładnie, napotykała, widziała w nich liczne inne troski, które zgoła nie dotyczyły jej osoby. Zazdrosna o muzykę w stosunku z Massivalem, o literaturę, w stosunku z Lamarthem, lub o coś innego, niezadowolona z połowicznych dotychczas triumfów, nie mogąc wyrzucić wszystkiego, będącego poza nią z duszy tych ludzi dążących do sławy, rozgłosu — z duszy artystów zwłaszcza, którzy sztukę ukochali i których nic od tej miłości odwieść nie zdoła — poraz pierwszy w życiu napotkała wreszcie człowieka, dla którego była wszystkim. Tak ją przynajmniej zapewniał. Tylko otyły Fresnel kochał ją równie gorąco. Ale Fresnel nie wchodził w rachubę. Odgadywała, że nikogo dotąd nie opanowała tak całkowicie, a samolubna wdzięczność dla człowieka, który jej taki zapewnił triumf, przybierała pozory uczucia. Potrzebną jej była teraz jego obecność, spojrzenie, służalczość i niewolnicze przywiązanie. Jakkolwiek mniej od innych schlebiał jej próżności, więcej jednak schlebiał tym wszechwładnym wymaganiom, które rządzą duszą i ciałem zalotnej kobiety, dumie, dzikiej żądzy panowania oswojonej samicy. Niby zdobytą krainą stopniowo zawładnęła jego życiem, drogą nieznaczących, a z dniem każdym liczniejszych podbojów. Urządzała wycieczki,

teatra amatorskie, obiady w restauracji, aby on brał w nich udział; ciągnęła go za sobą, z satysfakcją zdobywcy; nie mogła już obejść się bez niego, a raczej bez widoku tej bezsilności, do której go doprowadziła.

A on szedł za nią, szczęśliwy z przywilejów, oczarowany spojrzeniem jej, głosem, wszystkimi jej kaprysami, żył w ciągłym uniesieniu żączy i miłości — uniesieniu, trawiącym go jak gorączka.

CZEŚĆ II.

I.

Mariolle przyszedł do niej przed chwilą. Cekał, bo nie zastał jej w domu, jakkolwiek rano otrzymał był niebieski bilecik, wzywający na oznaczoną godzinę.

W salonie tym wszystko mu się podobało; a jednak ilekroć znalazł się tu sam, jakiś ciężar przygniatał mu serce, tchu w piersiach brakło, opanowywało go nieopisane rozdrażnienie, nie pozwalając mu usiąść, dopóki ona się nie ukazała. Chodził, miotany naprzemian to radością oczekiwania, to znów obawą, by jakaś niespodziana przeszkoda nie zatrzymała jej i nie opóźniła spotkania do dnia następnego.

Gdy usłyszał turkot powozu zatrzymującego się przed bramą, nadzieja wstąpiła mu w serce, a na dźwięk dzwonka w przedpokoju, pierzchnęła ostatnia wątpliwość.

Weszła, wbrew swemu zwyczajowi w kapeluszu, zadowolona i podniecona.

— Muszę panu oznajmić nowinę — rzekła.

— Jaką?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Wyjeżdżam na jakiś czas na wieś.

Nagły gwałtowny ból ścisnął mu serce i odbił się na twarzy.

— Oh! I pani mi to oznajmia z zadowoleniem?

— Tak. Niech pan usiądzie, a wszystko wytuszcze szczegółowo.

— Nie wiem, czy panu wiadomo, że brat mojej biednej matki, inżynier Valsaci, posiada w Avranches dobra, gdzie spędza większą część życia z żoną i dziećmi. Odwiedzamy ich co lato. Tego roku nie chciałam jechać, ale wuj się rozgniewał i urządził memu ojcu przykrą scenę. Nawiasem mówiąc, muszę pana uprzedzić, że ojciec jest zazdrosny o pana i robi mi wymówki, że się kompromituję. Musi pan bywać u mnie rzadziej. Ale to nic; znajdę już radę. Otóż ojciec wyprawił mi scenę i wymógł na mnie obietnicę wyjechania do Avranches na dziesięć lub dwanaście dni. Wyjeżdżamy we wtorek rano. Co pan na to?

— Rozpacz mnie ogarnia.

— Nic więcej?

— Cóż pocznę? Wszak nie mam prawa zabronić pani...

— Nie widzi pan żadnego sposobu?

— Nie... nie... a pani?

— Ja mam znakomitą myśl. Avranches leży

niedaleko góry św. Michała. Czy pan zna tę miejscowość?

— Nie, pani.

— Otóż w przyszły piątek przyjdzie panu szczęśliwa myśl zwiedzenia tego cudu przyrody. Zatrzyma się pan w Avranches i w sobotę wieczorem naprzykład o zachodzie słońca będzie się pan przechadzał w publicznym ogrodzie, z którego widać jak na dłoni całą zatokę. Przypadkiem tam się spotkamy. Wprawdzie ojciec zdziwi się bardzo, ale mniejsza o to... Ja proponuję, abyśmy nazajutrz rano zwiedzili wszyscy katedrę. Proszę się zachwycać tym projektem, być uprzejmym... jak pan nim być umie... i zyskać względy mojej ciotki. Następnie zaprosi nas pan na obiad do oberży, zostaniemy tam na noc i tym sposobem rozłączymy się dopiero nazajutrz. Pan powróci przez Sain-Malo, a w tydzień potem będę już w Paryżu. I cóż, dobry projekt? Czy nie jestem uprzejmą?

W uniesieniu wdzięczności szepnął:

— Dla mnie pani jest wszystkim, co mam na świecie najdroższego.

— Cyt! — nakazała.

Przez chwilę patrzyli na siebie. Ona uśmiechała się, przesyłając mu w tym uśmiechu wdzięczność swoją, serdeczne dziękczynienie i zarazem sympatię, szczerą, prawdziwą, niemal tkliwą. On pożerał ją oczyma. Ogarnęła go teraz ochota tarzania się w prochu u jej stóp, dotknięcia

ustami rąbka jej sukni, przedewszystkiem zaś wyrażenia jakimkolwiek sposobem tego uczucia niewypowiedzianego, bolesnego, które owładnęło całą jego istotą — duszą i ciałem, a którego nie umiał ująć w słowa — uczucia miłości strasznej i rozkosznej zarazem.

Ale ona zrozumiała go bez słów — podobnie jak wprawny strzelec odgaduje, że kula uwięzła w samym środku tarczy. Wiedziała, że w tym człowieku niema już nic prócz niej. Należał do niej więcej, niż ona sama do siebie należała. I była zadowolona i zachwycona jego osobą.

Po chwili rzekła wesoło:

— A zatem urządzamy tę wycieczkę.

Głosem drżącym ze wzruszenia wymamrotał:

— Tak, pani.

Po chwilowej pauzie, nie szukając innego usprawiedliwienia, oświadczyła:

— Nie mogę pana zatrzymać dziś dłużej. Wstąpiłam do domu jedynie dlatego, by to panu powiedzieć, bo pojutrze wyjeżdżam. Jutro mam cały dzień zajęty, a i dziś jeszcze muszę być w kilku miejscach przed obiadem.

Powstał natychmiast pod bardzo przykrem wrażeniem, niczego bowiem nie pragnął, prócz nie rozstawania się z nią i całowania jej rąk. Wyszedł z sercem udręczonem wprawdzie, ale pełnem nadziei.

Następne cztery dni były dlań nieskończenie długie. Spędził je w Paryżu, nie widując nikogo,

przenosząc milczenie na odgłosy ludzkie, a samotność nad towarzystwo przyjaciół.

W piątek o ósmej rano wsiadł wreszcie do pospiesznego pociągu. Rozgorączkowany oczekiwaniem podróży, przez całą noc oka nie zmrużył. Cisza ciemnego pokoju, od czasu do czasu przerywana tylko turkotem przejeżdżających dorożek, które podniecały w nim pragnienie wyjazdu, wydawała mu się przygniatającą jak atmosfera więzienna.

Zaledwie pierwszy szarawy, smutny brzask przedarł się przez zapuszczone rolety, Mariolle wyskoczył z łóżka, otworzył okno i spojrzął na niebo, pełen obawy, czy pogoda nie zawiedzie. Słońce wschodziło pięknie. Mgły zwiewne unoszące się nad ziemią, zapowiadały dzień upalny. Ubierał się gorączkowo, o dwie godziny zawcześniej był już gotów do podróży, podniecany niecierpliwością i natychmiast wysłał lokaja po dorożkę, lękając się, że później może jej nie dostać.

Pierwsze wstrząśnienia powozu przejęły go szczęściem, ale dojechawszy do dworca Montparnasse doznał smutnego rozczarowania, bo pięćdziesiąt minut jeszcze dzieliło go od chwili odejścia pociągu.

Chcąc uniknąć towarzystwa i móc swobodnie oddać się marzeniom, zakupił cały przedział wagonu. A gdy pociąg ruszył wreszcie z miejsca szybko unosząc go ku niej, niecierpliwość jego

zamiast się uspokoić, wzmagała się z każdą chwilą i uczuwał dziecinną niedorzeczną chęć popychania rękami z całych sił ścian wagonu, aby przyspieszyć bieg lokomotywy.

Przez czas długi, do południa prawie, nadzieja zobaczenia jej wkrótce zaprzętała całą jego uwagę; stopniowo jednak poniżej Argentan, świeżość krajobrazu normandzkiego przykuła jego oczy.

Pociąg przebywał okolicę pagórkowatą, poprzerzynaną dolinami; dokoła łąk, pastwisk i zagród wieśniaczych stały rzędem wysokie drzewa, których korony liściaste zdawały się połyskiwać w promieniach słońca. Lipiec dobiegał końca, a ziemia — potężna żywicielka, była w okresie największego rozkwitu sił i soków żywotnych. Na wszystkich łąkach, podzielanych od siebie ścianami zieleni, widać było opasłe woły jasnej sierści, krowy z łonem upstrzonym dziwaczными wzorami i rude byki z szerokim czołem i długowłosem podgardlem; dumne i wyzywające, spokojnie lub też z odętymi brzuchami leżały na ziemi, która zdawała się ociekać cydrem i mięsiwem.

Wąskie rzeczulki wiły się u stóp topoli pod delikatną osłoną wierzb: strumyki migotały w trawie i znikały z oczu, by znów wyłonić się w oddali.

Cała wieś skąpana była w bujnej świeżości. A Mariolle, zapominając na chwilę o swej mi-

łości, z zachwytem śledził oczyma ów wspa-
niały szmat zieleni, zamieszkały przez liczne
stada.

Gdy jednak przesiadł się na stacji Folligny,
gorączkowa niecierpliwość znów go ogarnęła
i podczas ostatnich czterdziestu minut jakie dwa-
dzieścia razy wyciągnął zegarek. Wyglądając
ciągle przez okno, dostrzegł wreszcie na dość
wysokiem wzgórzu miasto, gdzie ona go ocze-
kiwała. Pociąg spóźnił się; godzina zaledwie
dzieliła go od chwili, kiedy przypadkowo miał
ją spotkać w ogrodzie.

Omnibus hotelowy, w którym był jedynym
gościem, potoczył się zwolna pod górę do mia-
steczka Avranches, na szczycie wzgórza wyglą-
dającego zdała jak warownia. Zbliżona widziane,
było ładnem starożytnem miastem normandz-
kiem, o małych domostwach, rzędem pousta-
wianych i prawie do siebie podobnych; pię-
trzyły się one jedne nad drugimi pełne dumy
starożytnej i skromnej wygody — nawpół śre-
dniowieczne, nawpół idylliczne.

Zaledwie wniesiono mu kuferek do pokoju,
Mariolle zapytał o drogę do ogrodu botanicz-
nego i jakkolwiek umówiona godzina nie nade-
szła jeszcze, natychmiast ruszył w tę stronę,
spodziewając się, że i ona przybędzie może
wcześniej.

Doszedłszy do bramy, spostrzegł natychmiast,
że ogród był pusty lub niemal pusty. W aleji

przechadzało się tylko trzech starszych ludzi... miejscowych mieszczan widocznie, którzy spędzali tu zapewne wolne chwile; prócz nich rodzina młodych Anglików, chłopców i dziewcząt o suchych łydkach, bawiła się pod dozorem jasnowłosej nauczycielki, na której twarzy malowało się rozmarzenie.

Z bijącym sercem Mariolle szedł przed siebie, bacznie śledząc drogi, aż doszedł do długiej alei wiązków, których żywa zieleń przecinała ogród na dwoje gęstym sklepieniem listkowie; minął ją i nagle zbliżywszy się do tarasu, skąd rozległy roztaczał się widok, oderwał na chwilę myśl od tej, dla której tu przybył.

U stóp wyniosłego wzgórza, na którym stał w tej chwili, ujrzał bezbrzeżną równinę piaszczystą, zlewającą się w dali z morzem i widnokregiem. Rzeka jakaś przerzynała ją swym nurtem, a pod gorącym lazurem nieba lśniły na niej tu i ówdzie sadzawek świetliste plamy, niby otwory w innym niebie, gdzieś we wnętrzu ziemi będącem.

W pośrodku tej żółtej pustyni, wilgotnej jeszcze od odpływu morza, wznosił się o dwanaście do piętnastu kilometrów od brzegu profil sterczącej jak wyniosły pomnik skały, lub fantastyczna piramida uwieńczona katedrą.

Na wydmach tych bez końca, jedną tylko miała sąsiadkę: skałę o suchym, okrągławo nad

ruchliwą wodą wzniesionym grzbiecie: skałę Tombelaine.

Dalej jeszcze na błękitnawej linii ledwie dostrzegalnego stąd morza inne jeszcze wyłaniały się skały, rysując ostre, ciemne swe kształty. Biegając krańcem widnokrzęgu na prawo, poza tę pustynię piaszczystą, oko dostrzegało nareszcie zielone obszary Normandji, tak drzewami porośłe, że cała ta ziemia czyniła wrażenie bezkresnego lasu. Przyroda ukazywała się tutaj w jednym miejscu, odrazu, w całej wielkości swojej i sile, w całej świeżości i wdzięku; a spojrzenie błądziło od lasów do majaczącej jak widziadło granitowej góry, samotnej mieszkanki piasków, na bezbrzeżnych wydmach sterczącej dziwnym, gotyckim kształtem.

Uczucie błogości, którego Mariolle niegdyś tak często doznawał wobec niespodzianek, jakie nieznanne krainy gotują oczom podróżnika, owładnęło nim teraz tak silnie, że nieruchomy, wzruszeniem i rozrzewnieniem przejęty, stał przez chwilę, zapomniawszy o udręce serca. Nagle dźwięk dzwonu zbudził go z zadumy i znów z gorączkową niecierpliwością począł oczekiwać spotkania. Ogród wciąż jeszcze był pusty. Dzieci angielskie znikły mu z oczu i tylko trzech mieszczanie przechadzali się wolnym, miarowym krokiem. Zaczął się również przechadzać.

Za parę minut, za chwilę nadejdzie... Ujrzy ją na skrócie jednej ze ścieżek prowadzących

ku temu malowniczemu tarasowi... Z daleka pozna ją po ruchach i chodzie, potem ujrzy twarz i uśmiech, a wreszcie usłyszy głos. Co za szczęście! co za szczęście! Czuł ją blisko siebie, choć niewidzialną jeszcze, pewny, że i ona także o nim myśli, że za chwilę znów ją zobaczy.

Nagle wydał lekki okrzyk. Błękitna parasolka zamigotała w oddali pod zielonem listowia sklepieniem. To ona! bez wątpienia! Naprzód chłopczyk biegł aleją, bawiąc się obręczą, potem dwie panie — poznał ją natychmiast — potem wreszcie dwóch mężczyzn: ojciec jej i jakiś drugi mężczyzna. Ubrana była całkiem na błękitno, jak niebo wiosenne. Tak, poznał ją, zanim mógł odróżnić rysy jej twarzy, ale nie śmiał podejść w tę stronę, czując, że zmiesza się, zarumieni i wobec podejrzliwego wzroku pana de Pradon nie potrafi wytłómaczyć tak szczęśliwego przypadku.

Szedł jednak na ich spotkanie, nie odejmując od oczu lunety, jak gdyby piękność krajobrazu wyłącznie go pochłaniała. Ona nie zadając sobie nawet trudu udawania zdziwionej, pierwsza się do niego odezwała:

— Dzień dobry, panie Mariolle. Ślicznie tu, nieprawdaż?

Zmieszany tem powitaniem, nie wiedząc co odpowiedzieć, wyjąkał:

— Ach! jakież szczęśliwy traf, że panią tu

spotykam! Chciałem zwiedzić tę cudną miejscowość.

— I wybrałeś się pan wtedy, gdy i ja bawię w tych stronach — przerwała z uśmiechem. — Bardzo ładnie z pańskiej strony. Ale muszę państwa zapoznać... Pan Mariolle... jeden z najserdeczniejszych moich przyjaciół, ciotka moja i wuj Valsaci, budujący tu mosty.

Po przywitaniu pan Pradon podał chłodno rękę młodemu człowiekowi i wszyscy poszli razem.

Umieściła go między sobą a panią Valsaci, rzuciwszy mu ukradkiem znaczące spojrzenie.

— Jak się panu podoba ta okolica? — spytała.

— Nigdy w życiu nie widziałem nic piękniejszego — odrzekł.

— Ach! gdybyś pan spędził tutaj kilka dni jak ja, zrozumiałbyś pan dopiero, jak głęboki wywiera czar. Żadne słowa nie zdołają wyrazić tego wrażenia. Te przyływy i odpływy, które wciąż zatapiają piaszczyste wybrzeża i znów się cofają, ten potężny ruch, który nigdy nie ustaje i dwa razy dziennie zalewa brzegi z taką szybkością, że koń galopem pędzący umknąćby nie zdołał, to niezwykle widowisko, jakim niebo wspaniałomyślnie darzyć nas raczy bezpłatnie, przysięgam, że mnie całkiem wytrąca z równowagi. Sama się nie poznaję. Nieprawdaż, ciotciu?

Pani Valsaci, niemłoda już i siwa kobieta, dystyngowana parafjanka i szanowna małżonka urzędnika, odznaczającego się nieposzlakowaną ścisłością w pełnieniu obowiązków, przyznała, że nigdy nie widziała swej siostrzenicy w stanie takiego entuzjazmu. Po chwili namysłu dodała:

— Zresztą nic w tem dziwnego; wszak dotąd nie widziała i nie podziwiała nic, prócz dekoracyj teatralnych.

— Ależ co roku jeżdżę przecież do Dieppe lub Trouville.

Stara pani się roześmiała:

— Do Dieppe i Trouville jedzicie tylko po to, aby spotykać znajomych. Przecież i morze służy tam tylko do schadzek.

Powiedziała to z prostotą, może bez złośliwości.

Wracali teraz ku tarasowi, wabiącemu ku sobie nieprzeparcie. Wszyscy przechadzający się po ogrodzie zmierzali tutaj machinalnie, niby kule staczające się z pochyłości. Chylące się ku zachodowi słońce rozsnuwało złocistą tkaninę, lekką a przezroczystą poza wieżycami katedry, która stawała się coraz czarniejszą, podobna do olbrzymiego jakby tronu za lśniąca zasłoną. Ale Mariolle nie widział teraz nic, prócz jasnowłosej ukochanej postaci, która szła obok niego osłonięta błękitnym obłoczkiem. Nigdy nie wydawała mu się tak czarującą. Zdawało mu się,

że cała jej istota uległa niespodzianie jakiejś przemianie, odświeżona świeżością tego krajobrazu, sklepienia niebios, jasnością słońca i zielenią obejmującą jej ciało, oczy, włosy, a nawet duszę i serce. Nigdy nie znał jej takiej i nie kochał tak gorąco.

Szedł obok niej, nie mając nic do powiedzenia; a szelest jej sukni, miękkie ramienia jej dotknięcie i wymowne spojrzenie oczu zdawały się go unicestwiać, zabijając w nim niejako poczucie własnej osobowości. Czuł, że zetknięcie z tą kobietą odbiera mu samoistność, że pochłonięty przez nią staje się niczem, pragnieniem tylko, żądzą i uwielbieniem. Pochłaniała całą jego istotę, jak płomień ćwiartkę papieru.

Widziała i rozumiała, jak bezwzględne odniosła zwycięstwo, a rozrzewniona niemi, przytem podniecona świeżem wiejskim powietrzem, rzekła, nie podnosząc nań oczu:

— Tak mi miło pana widzieć!

I natychmiast dodała:

— Jak długo tu pan zabawisz?

— Dwa dni, jeżeli te parę godzin dzisiejszych można liczyć za dzień — odrzekł, poczem zwracając się do pani Valsaci: — Czy zechce pani mnie zaszczyścić, przybywając z mężem jutro do St. Michel?

Pani de Burne odpowiedziała za ciotkę:

— Nie pozwolę cioci odmówić, skoro będziemy mogli zobaczyć się z panem.

A żona inżyniera dodała:

— Bardzo chętnie przyjmuję pańskie zaproszenie pod warunkiem, że pan zechce być u nas dzisiaj na obiedzie.

Mariolle skłonił się w milczeniu.

Nagle owładnęła nim niewypowiedziana radość, uczucie, jakiego doznajemy, otrzymawszy wreszcie wiadomość upragnioną. Cóż właściwie otrzymał? co nowego zaszło w jego życiu? Nic, a jednak dziwne, nieokreślone przecucie wprawiało go w stan upojenia.

Długo przechadzali się razem po tarasie, czekając zachodu słońca, chcąc nacieszyć się jeszcze widokiem czarnej, wyzębionej góry, rysującej się na płomiennym horyzoncie.

Rozmawiali teraz obojętnie, mówiąc o tem, o czem wobec nieznanym można i od czasu do czasu patrząc na siebie.

Następnie wrócili do willi położonej na skraju miasteczka, wpośród pięknego ogrodu, z którego rozciągał się widok na całą zatokę.

Nie chcąc być natrętnym, a przytem zmieszany trochę chłodnem, niechętnem prawie zachowaniem się pana Pradon, Mariolle oddalił się wcześniej. Gdy na pożegnanie przyciskał do ust drobną rączkę pani de Burne, dwukrotnie powtórzyła mu znacząco:

— Do jutra! do jutra!

Po jego odejściu państwo Valsaci, przywykł-

szy od lat do wiejskiego trybu życia, objawili chęć udania się na spoczynek.

— Ja pójdę jeszcze do ogrodu — oświadczyła pani de Burne.

— Ja także — dodał jej ojciec.

Otuliwszy się szalem, podała rękę ojcu i oboje przechadzać się zaczęli po wysypanych piaskiem ścieżynach, które w blaskach księżyca wyglądały jak srebrne strumyki wijące się wpośród drzew i trawników.

Po długim milczeniu pan de Pradon rzekł szeptem prawie:

— Moje drogie dziecko, musisz mi przyznać, że nigdy nie udzielałem ci żadnych rad.

Czując zbliżającą się walkę, śmiało podjęła wyzwanie:

— Przepraszam, ojczy; udzieliłeś mi co najmniej jednej.

— Ja?

— Tak, tak!

— Rady, tyczącej się... twego życia?

— Tak i bardzo złej; to też postanowiłam nie słuchać rad twoich.

— Ja poradziłem ci co złego?

— Tak, namówiłeś mnie ojczy do poślubienia pana de Burne. Tem dałeś dowód nietrafności sądu, braku jasnowidzenia i znajomości ludzi w ogólności, a mnie w szczególności.

Zdziwiony i zmieszany nieco, milczał chwilę, wreszcie odparł:

— Tak, tym razem się zawiodłem. Teraz jednak jestem głęboko przekonany o słuszności rady, której jako ojciec winienem ci udzielić.

— Słucham — nie przyrzekając z góry, czy posłucham.

— Muszę cię ostrzec, że zaczynasz się kompromitować.

Zacząła się śmiać, trochę forsownie i uzupełniając myśl ojca, rzekła:

— Z panem Mariolle zapewne?

— Z panem Mariolle...

— Zapominasz, ojczulku, że kompromitowałam się z Jerzym de Maltry, z panem Massival, z Gastonem de Lamarthe i z dziesięcioma innymi, bo skoro tylko poznam przyjemnego i przywiązanego do siebie człowieka, wnet cała straż przyboczna wojnę mu wypowiada przez zazdrość, a ojculek zwykle na czele jako szlachetny ojciec i opiekun.

— Nie, nie — żywo zaprzeczył — dotąd nie kompromitowałam się z żadnym z tych panów. Przeciwnie, w stosunku z twymi przyjaciółmi masz bardzo wiele taktu.

— Mój drogi ojciec — odrzekła, odrazu przystępując do rzeczy — nie jestem już dzieckiem i mogę cię zapewnić, że nie skompromituję się z panem Mariolle. Proszę się nie obawiać. Przyznaję jednak, że namówiłam go, aby tu przyjechał. Bardzo mi się podoba, bo jest inteligentniejszy od tamtych i mniej samolubny.

Wszak byłeś tego samego zdania, dopóki nie zaczęłaś przypuszczać, że obdarzam go szczególniejszemi względami. O! bo ojczulek jest bardzo domyślny! Ja cię również znam doskonale. Otóż pan Mariolle podoba mi się i dlatego pomyślałam, że miłoby było odbyć razem z nim tę wycieczkę i że popełniłabym głupstwo, wyrzekając się przyjemności, która mi nie grozi żadnem niebezpieczeństwem. Zresztą, cóżby mi mogło grozić, skoro jestem pod twoją opieką?

Smiała się teraz szczerze, wesoło, wiedząc, że każde słowo dosięga celu, że rzuciwszy podejrzenie o zazdrość, zmusi go do złożenia broni i cieszyła się tem odkryciem z tajoną a zuchwałą kokieterją.

On milczał zmieszany, niezadowolony, rozdrażniony, rozumiejąc także, że ona odgadła tę troskliwość ojcowskiej tajoną urazę, do której przed samym sobą przyznać się nie chciał.

Po chwili milczenia dodała:

— Proszę się niczego nie obawiać. Przecież to całkiem naturalne, że w tej porze roku odbędę wycieczkę do Saint Michel z wujem, z ciotką, z ojcem i z przyjacielem? Zresztą nikt się o tem nie dowie. A gdyby się nawet dowiedziano, to niktby się temu nie dziwił. Po powrocie do Paryża każę panu Mariolle stanąć w jednym szeregu ze wszystkimi moimi przyjaciółmi.

— Zgoda — odparł ojciec. — Zapomnij o moich słowach.

Przeszli znowu kilka kroków w milczeniu. Pan de Pradon zapytał:

— Może wrócilibyśmy do domu? Jestem zmęczony i chciałbym się położyć.

— O nie! — odrzekła — ja przejdę się jeszcze. Noc taka cudna.

— Nie odchodź daleko — szepnął jeszcze na odchodnem. — Na wsi nie można nigdy przewidzieć, kogo się spotka.

— O! będę chodziła koło domu.

— Dobranoc ci, moje dziecko.

Pocałował ją w czoło i wrócił ku domowi. Ona usiadła trochę dalej na darniowej ławeczce wspartej o pień dębu. Noc była ciepła; aromatyczna woń pól i morskich wyziewów unosiła się w powietrzu jasnym a mglistym, bo gdy księżyc wypłynął na niebo, opary zasłoniły zatokę.

Pełzały w dal jak dymy białawe, kryjąc przed oczyma wydme, którą za chwilę zakryć miał przyływ morza.

Skrzyżowawszy ręce na kolanach, z oczyma w dal utkwionemi, pani de Burne usiłowała sięgnąć wzrokiem w głąb własnej duszy, którą podobnie jak ową wydme piaszczystą osłaniały gęste, nieprzeniknione mgły.

Ileż to razy w Paryżu, siedząc w swym gabinecie przed lustrem, zadawała sobie pytanie:

Cóżem ja ukochała? czego pragnę? czego się spodziewam? czem jestem w istocie?

Oprócz zadowolenia ze swej piękności i głębokiej potrzeby podobania się, co dawało jej prawdziwą rozkosz, nie czuła w sercu nic prócz przelotnej ciekawości, trwającej zaledwie chwil kilka. Znała się bardzo dobrze; przywykłszy bowiem wpatrywać się w twarz swoją, nie mogła też zaniedbać obserwacji nad własną duszą. Dotychczas nie dziwiła się nawet, że wszystko, co innych wzruszeniem przejmuje, ją zdoła co najwyżej rozerwać, nie budząc w niej uczuć trwałszych.

A jednak, ilekroć czuła rodzące się przywiązanie do kogoś, ilekroć inna współzawodniczka usiłując odebrać jej mężczyznę, o którego dbała, podniecała w niej instynkta kobiece, zawsze te rzekome miłości porywy przejmowały ją wzruszeniem znacznie żywszem, niżeli niem być mogło zadowolenie z odniesionego triumfu. Nigdy jednak nie trwało to długo. Dlaczego? Bo mężczyła się, zniechęcała, a może też zbyt trzeźwo patrzyła na rzeczy. Wszystko, co podobało jej się w mężczyźnie, co ją ożywiało chwilowo, podniecało, wzruszało i pociągało ku niemu, zaczynało wnet wydawać jej się banalnem, bezbarwnem i spowszedniałem. Zanadto byli do siebie podobni, nie będąc nigdy jednakowymi; zresztą nie spotkała dotąd człowieka obdarzonego taką naturą i zaletami, które mogłyby dłużej ją in-

interesować lub wzbudzić w jej sercu uczucie miłości.

Czemu to? Ich-że to wina, czy jej? Czy oni nie posiadali tego, co znaleźć w nich pragnęła, czy też jej brak było zdolności kochania? Czy kochamy dlatego, że spotkaliśmy wreszcie istotę stworzoną dla siebie, czy też poprostu dlatego, że mamy wrodzoną zdolność kochania? Niekiedy przychodziło jej na myśl, że serce każdego człowieka posiada ramiona, ramiona czułe do obejmowania i tulenia w gorącym uścisku... jej tylko serce było bezrękiem... Nie posiadało nic, prócz daru widzenia...

Wszak nieraz ludzie niepospolitej wartości, kochają się szalenie w kobietach ich niegodnych, ograniczonych, nawet brzydkich. Dlaczego?... Jakim sposobem? Jaka się kryła w tem tajemnica?... A zatem ów przełom wewnętrzny następuje nietylko skutkiem przypadkowego spotkania dwóch istot dla siebie stworzonych, ale stanowi jakoby zarodek, który w człowieku się mieści i nagle kiełkować poczyna. Słuchała licznych zwierzeń, wiele tajemnic odgadła, na własne oczy nawet widziała niejednokrotnie owo przeobrażenie wynikające z upojenia duszy i często o niem myślała.

W pośród ustawicznego wiru życia światowego, salonowej gadaniny i czczych rozrywek, stanowiących jedynie zajęcie próżniaczego życia bogaczy — ileż to razy ze zdziwieniem, z zaz-

drością, z niedowierzaniem prawie patrzyła na mężczyzn lub na kobiety, w których nagle niepojęta jakaś dokonywała się zmiana. Nie były to objawy wyraźne i bijące w oczy, ale ona bystrym swym instynktem umiała je zawsze przeczuć i odgadnąć. Na obliczach tych ludzi, w uśmiechu ich, w oczach zwłaszcza malowało się coś, nie dającego się wyrazić, zachwyty jakiś, szczęście, błogość niewypowiedziana rozlewała się po całym ciele, rozświeclając całą ich istotę.

I nie wiedząc czemu czuła do nich żal. Widok zakochanej pary zawsze ją gniewał i wzbudzał w niej głuche rozdrażnienie, które sama uważała za godne pogardy. Zdawało jej się, że od pierwszego rzutu oka przenikliwością wyjątkową zawsze i wszędzie poznać ich potrafi. Istotnie, zdołała zwęszyć miłosny stosunek, który niczyjego jeszcze nie wzbudzał podejrzania.

Myśląc o tym szale, w jaki wprawić nas może pożycie z ukochaną istotą, oczy jej, myśli i słowa... o tem uczuciu, które przenika nas do głębi, uważała się do niego niezdolną. A jednak ileż to razy znudzona wszystkim, marząc o jakichś nieokreślonych pragnieniach, dręczona ustawicznym pożądaniem zmiany, czegoś nieznanego, które było może tylko nieświadomą gonitwą za uczuciem — ileż to razy ze wstydem, tajemnym upokorzona w swej dumie, pragnęła spotkać człowieka, który bodajby na kilka miesięcy tylko, na pewien czas wprawił ją w ten czarodziejski

stan podniecenia duszy i ciała; bo w podobnych okresach zupełnego oddania się, życie posiadać musiało odrębny czar zachwytu i upojenia.

I nie tylko pragnęła takiego spotkania, ale nawet go czasami szukała z tą coprawda połowiczną energją, która nie pozwalała jej nigdy zatrzymać się dłużej nad czemkolwiek.

I zawsze po pierwszej fazie sympatji do ludzi, których wyższość olśniewała ją przez kilka tygodni, zwodniczy poryw jej serca zamierał w rozczarowaniu. Przeceniała ich wartość, naturę, charakter, delikatność, zalety. Stosunek każdy doprowadzał ją do stwierdzenia, że wady znakomitych tych mężów są częstokroć wybitniejsze od ich zalet, że talent jest darem odrębnym, podobnie jak bystry wzrok lub zdrowy żołądek — darem ujawniającym się tylko w ich pracowni, a nie mającym nic wspólnego z całokształtem osobistych przymiotów, które życiu towarzyskiemu nadają urok.

Ale odkąd poznała Mariolle'a, coś innego pociągało ją ku niemu. Czy go jednak kochała, czy kochała go miłością?... Nie posiadający rozgłosu ni sławy, zdobył ją siłą swego przywiązania, serdeczności, inteligencji, wszystkich tych prostych zalet osobistych jakie posiadał. Zdobył ją, bo myślała o nim ustawicznie, tęskniła za nim, bo nikt w świecie nie był jej miłszym, sympatyczniejszym i bardziej pożądanym. Byłaż to miłość?

W sercu jej nie gorzał wprawdzie ów ogień, o którym się zwykle mówi jako o miłości, ale po raz pierwszy w życiu pragnęła szczerze stać się dla tego człowieka czemś więcej, nizeli czarującą przyjaciółką. Czy go kochała? Czy aby pokochać, trzeba koniecznie widzieć wybraną istotę w aureoli niezwykłej, wyróżnić ją z pośród wszystkich ludzi w świecie żyjących, czy też wystarcza, by nam się ktoś podobał tak dalece, byśmy się nie mogli niemal obejść bez niego?

W takim razie ona go kochała, a przynajmniej była bliską kochania. Zastanowiwszy się nad tem głęboko, rzekła sobie w duchu: „Tak, kocham go, ale nie jestem zdolną do porywów miłości: to już właściwość mojej natury“.

A jednak coś podobnego do takiego porywu uczuła przed chwilą, ujrawszy go zbliżającego się do tarasu. Po raz pierwszy doznała tego uczucia nieokreślonego, które nas pcha i rzuca w czyjeś objęcia: doznała wielkiej przyjemności idąc obok niego, czując go przy sobie, gdy palając miłością, patrzył na tarczę słoneczną, niby wizja z legendy znikającą za górą. Czyż zresztą miłość sama nie jest poniekąd legendą dusz, w którą jedni wierzą instynktownie, drudzy zaś wierzyć zaczynają skutkiem ustawicznego rozmyślenia o niej? Może i ona kiedyś w nią uwierzy?... Ogarnęło ją wtedy dziwne pragnienie, oparcia głowy na ramieniu tego człowieka, zbliżenia się do niego, owego oddania całkowitego, które jest

niemożliwym, przyniesienia mu w darze tego, co napróżno ofiarujemy, bo ofiarować nie zdołamy: najtajniejszej głębi własnej istoty.

Tak! i teraz nawet czuła w sercu taki poryw. Kto wie, czy uległszy mu, nie zapłonęłaby namiętnością. Zbyt silnie się opierała, za dużo rozumuje, zwalcza urok, jaki ludzie na nią wywierają. Czyż nie byłoby rozkoszą przechadzać się z nim w podobny wieczór nad brzegami rzeki i w zamian za jego uczucie ofiarować mu od czasu do czasu swe usta?

Ktoś otworzył okno. Odwróciła głowę. To pan Pradon szukał jej widocznie.

— Nie śpisz jeszcze ojczy?

— Zaziębisz się moje dziecko — odrzekł. — Noc bardzo chłodna.

Powstała z ławki i podążyła ku domowi. Wróciwszy do swego pokoju, podniosła jeszcze roletę i długo śledziła wzrokiem unoszące się nad zatoką mgły, coraz bielsze w blaskach księżyca. Zdawało się jej, że w sercu także zaczyna kiełkować uczucie, rozwiewające mgły wątpliwości.

Wkrótce jednak zasnęła tak mocno, że panna służąca obudzić ją musiała, bo trzeba było wyjechać wcześniej, aby zdążyć na śniadanie do Mont.

Duży „break“ zajechał przed dom. Usłyszawszy przed gankiem turkot kół toczących się po piasku, podbiegła szybko do okna i spostrzegła

Andrzeja Mariolle, który szukał jej oczyma. Serce jej żywiej zabiło. Ze zdumieniem stwierdziła, że doznaje dziwnego a nieznanego jej do-
tąd wrażenia, jakie sprawia silniejszy przyływ krwi do mięśnia sercowego, spowodowany widokiem pewnej osoby. I podobnie jak poprzedniego wieczoru zadała sobie teraz pytanie: „Czyż go kocham?”

Gdy zaś stanęła wobec niego i odgadła, że jest wprost chory z miłości, ogarnęła ją chęć wyciągnięcia doń ramion i ofiarowania mu ust. Zamienili tylko spojrzenie, pod którym on zbladł ze szczęścia.

Konie ruszyły z miejsca. Poranek był prześliczny, pełen śpiewu ptaków i młodości przyrody. Zjechawszy ze wzgórza, przebyli rzekę, minęli kilka wiosek, jadąc po wąskiej, a tak kamienistej drożynie, że co chwila podskakiwali na wąskich ławeczkach „breaku”. Po długim milczeniu, pani de Burne zaczęła żartobliwie doku-
czać wujowi oplakany stanem tej drogi, skutkiem czego lody prysły wreszcie i wesołość udzieliła się też podróżnym.

Nagle, tuż za jedną z wioseczek, oczom ich ukazała się zatoka nie żółta jak poprzedniego wieczoru, ale połyskująca srebrzystą taflą wody, która zalała piaski, łąki i, jak twierdził woźnica, nieco dalej — także drogę.

Trzeba było godzinę przeszło jechać krok

w krok, aby doczekać się odpływu, który umożliwił przeprawę.

Olbrzymi pas wiązów i dębów okalających zagrody wieśniacze, zasłaniał oczom podróżnych coraz bardziej olbrzymiejący profil klasztoru, sterczącego na skale ze wszech stron wodą teraz oblanej. Chwilami znów wyłaniał się nagle coraz to bliższy, coraz to więcej godny podziwu. Słońce rudawemi promieniami oblewało wyębiony z granitu gmach kościoła, wspartego na skalnej podstawie.

Michalina de Burne i Andrzej Mariolle przypatrywali się krajobrazowi, to znów spoglądali na siebie, a uczucie wzbierające w ich sercach zlewało się z zachwytem nad pięknnością przyrody w ów cudny ranek lipcowy.

Rozmowa toczyła się poufna, przyjacielska. Pani Valsaci opowiadała tragiczne wypadki o ludziach żywcem pogrzebanych w wilgotnym i grzęzkim piasku. Pan Valsaci bronił istnienia tamy, która zdaniem artystów szpeciła okolicę; wykazywał jej doniosłość ze względu na utrzymanie stałej komunikacji z Saint-Michel, oraz możliwość zużytkowania wydm piaszczystych na razie jako pastwisk, później jako gruntów ornych.

Nagle „break“ stanął. Morze zalewało drożynę. Nic groźnego; woda sączyła się zaledwie pomiędzy kamieniami, ale woźnica przeczuwał, że tu lub ówdzie mogą być dziury i wyboje, z któ-

rych niepodobna byłoby wybrnąć. — Trzeba było czekać odpływu.

— O! to wnet minie! — zapewniał pan Valsaci, wskazując ręką drogę, z której znikła już powłoka wody wsiąkając w ziemię lub zdając się uciekać przed jakąś siłą potężną a tajemniczą.

Wszyscy wysiedli, chcąc przyjrzeć się z bliska spokojnej a szybkiej ucieczce morza, które z pod stóp ich uciekało. Gdzieś na zalanych wodą pastwiskach ukazywały się już zielone plamy, które powiększając się i zaokrąglając, przeobrażały się w wysepki. Wysepki te przybierały stopniowo wygląd lądów pooddzielanych od siebie maleńkimi oceanami; wreszcie na całej powierzchni zatoki nastąpił raptowny odpływ morza. Zsunął się nagle z ziemi długi srebrzysty welon pełen dziur i strzępów, obnażając rozległe łąki bujną trawą porosłe, lecz osłaniając jeszcze ławę jasnych piasków.

Wsiadłszy znów do „breaku“, wszyscy stanęli, aby lepiej obserwować to zjawisko. Droga stała się suchszą, konie ruszyły zatem, ale stępa. Skutkiem nierówności drogi, tracili często równowagę, i nagle Andrzej Mariolle poczuł, że ręka pani de Burne spoczywała na jego ramieniu. W pierwszej chwili pomyślał, że zetknięcie to jest przypadkowym skutkiem doznanego wstrząśnienia, gdy jednak pozostała w tej pozycji, silny dreszcz wstrząsnął jego ciałem i serce żywiej zabiło. Nie śmiał spojrzeć na młodą ko-

bietę, gdyż szczęście niespodziane wprawiło go w stan odrętwienia i tylko jak człowiek winem upojony, myślał bezładnie: Czy to możliwe? Byłoby możliwem? Czyż oboje już tracimy głowy?

Gdy konie ruszyły prędzej, wszyscy usiedli na ławeczkach. Wtedy Mariolle poczuł nagłą nieprzewartą chęć okazania się uprzejmym dla pana de Pradon i otoczył go niezwykłą troskliwością. Ojciec, zarówno jak córka wrażliwy na komplimenta, odzyskał dobry humor.

Dojechawszy wreszcie do tamy, podążyli pieszo ku górze sterczącej na skraju tej drogi, wijącej się wśród piasków. Na lewo podnóże jej oblewała rzeka Pontorson; z prawej, łąki bujną trawą porosłe ustąpiły miejsca piaszczystej ławie, wilgotnej jeszcze i wyziewami morza przesiąkłej.

A gmach wyniosły olbrzymiał na tle lazuru niebios; coraz wyraźniej rysując się we wszystkich swych szczegółach, zakończony dzwonniami i wieżyczkami — najeżony ohydnymi potworami, któremi wiara naszych ojców wieńczyła gotyckie świątynie.

Dochodziła już pierwsza, gdy przybyli do oberży, w której zamówiono śniadanie. Przewrotna oberżystka nie poczyniła jeszcze ostatecznych przygotowań; trzeba więc było czekać. Zasiedli do stołu bardzo późno i zgłodnieli. Szampan wkrótce rozweselił umysły.

Całe towarzystwo było zadowolone, a dwa

serca omal że czuły się szczęśliwemi. Przy deserze, gdy ożywienie wywołane winem i wesołą rozmową rozbudziło w nich ową rozkosz życia, którą czujemy nieraz przy końcu dobrej uczyty, a która czyni nas pobłażliwymi i chętnymi do wszystkiego, Mariolle zapytał:

— Możebyśmy zostali do jutra? Przy świetle księżyca musi to wyglądać prześlicznie, a przytem mielibyśmy przyjemność zjedzenia razem obiadu.

Pani de Burne przystała natychmiast na tę propozycję, a panowie również się zgodzili. Pani Valsaci tylko wahała się jeszcze przez wzgląd na synka, którego zostawiła w domu; mąż jednak przypomniał jej, że nieraz go już zostawiała w domu. Chcąc do reszty uspokoić jej obawy, wyprawił niezwłocznie telegram do guwernantki. Andrzej Mariolle zdołał go już oczarować zapewnieniem, iż tama nie szpeci widoku tak dalece, jak powszechnie utrzymywano.

Po śniadaniu, poszli zwiedzić starą budowlę. Ruszono przez wały. Miasto stanowiące stos średniowiecznych domostw, piętrzących się jedne nad drugimi na olbrzymim złomie granitu, na szczycie którego wznosi się klasztor, oddzielone jest od łąwicy piasków wysokim murem. Mur ten opasujący miasto tworzy mnóstwo załomów, kątów, tarasów, wieżyczek, które sprawiają tysiące niespodzianek oku turysty, odkrywającego

na każdym zakręcie, olbrzymie bezkresne horyzonty.

Wszyscy milczeli, odpoczywając trochę po śniadaniu i przyglądając się ze zdziwieniem gmachowi, który kolejno to znikał z oczu, to znów się ukazywał. A wysoko ponad ich głowami bajeczna mieszanina granitowych kwiatów, łuków i strzał wiązała się we wspaniałą, przejrzystą, na lazurówym tle utkaną koronkę, z której wzbijał się ku wyżynom groźny i fantastyczny zastęp wież o głowach potworów. Pomiedzy morzem a klasztorem, na północnym stoku góry wyłaniała się z oddali ciemno-zielona plama na jednostajnie żółtej płaszczyźnie — pochyłość porosła starodrzewiem, stąd nazwana — borem. Wyprzedziwszy resztę towarzystwa, pani de Burne i Andrzej Mariolle przystanęli na chwilę. Ona opierała się na jego ramieniu, przejęta rozkosznym uczuciem, jakiego nigdy dotąd nie doznawała. Lekkim krokiem wspinała się pod górę, gotowa iść z nim coraz wyżej, coraz wyżej, ku tej bajecznej budowli, a może jeszcze ku czemuś innemu. W głębi serca pragnęła, by ta droga nigdy się nie skończyła, bo po raz pierwszy w życiu czuła się bezwzględnie szczęśliwą.

— Boże! jakże tu pięknie! — szepnęła.

— Ja nie widzę nic, prócz pani! — odparł patrząc na nią z uwielbieniem.

— Nie jestem wcale poetyczna, ale to jest tak piękne, że wzrusza mnie istotnie.

— Kocham panią jak szaleniec — wymamrotał. Uczuł, że ręka jej opiera się silniej na jego ramieniu. Ruszyli dalej.

Stróż czekał pod drzwiami kościoła i wprowadził ich na wspaniałe schody, między dwiema olbrzymimi wieżycami. Przechodzili razem wszystkie kaplice, nawy, dziedzińce, słuchając, patrząc z podziwem na potężne filary podtrzymujące cały chór górnego kościoła, zachwycając się całokształtem trzech pięter gmachów gotyckich, które wznosząc się jeden na drugim, stanowią najbardziej oryginalne arcydzieło klasztornej i wojennej sztuki budownictwa wieków średnich.

Następnie przybyli do klasztoru. Oniemieli ze zdziwienia, stanąwszy przed rozległym czworobokiem, w około którego ciągnie się najlżejsza, najwdzięczniejsza kolumnada, jakiej nie posiada żaden inny klasztor na świecie. Dwoma szeregami stojące wysmukłe słupy, uwieńczone kapitelami, wzdłuż czterech galerji, dźwigają na swych szczytach girlandę ornamentów i kwiatów gotyckich, o zdumiewającej różnaitości pomysłów — wiekopomny zabytek wytwornej, a pełnej prostoty fantazji naiwnych mistrzów średniowiecznych, których wyobraźnia i myśl drażyły kamienie.

Michalina de Burne i Andrzej Mariolle wolnym krokiem obeszlili klasztor wokoło, trzymając się pod rękę, gdy tamci, zmęczeni nieco, podzi-

wiali gmach z dala, stojąc przy furcie wchodowej.

— Ach! jakie to piękne! — zawołała, zatrzymując się.

On odrzekł:

— Ja nie wiem już, gdzie jestem, gdzie żyję, co widzę. Czuję tylko, że pani jest przy mnie.

Wtedy spojrzała mu prosto w oczy i z uśmiechem szepnęła:

— Andrzej!

Zrozumiał, że się mu oddaje. W milczeniu poszli dalej.

Zwiedzając inne części gmachu, na nic już prawie nie patrzyli.

Na chwilę przykuły znów ich uwagę schody objęte łukiem, który strzelając ku górze, zdawał się wieść w obłoki. Zdumieniem przejęła ich też tak zwana Droga Szaleńców, zawrotna, w skale wykuta ścieżyna, okalająca szczyt najwyższej wieży.

— Czy wolno tam wejść? — spytała.

— Wzbronione, proszę pani — odparł przewodnik.

Pokazała mu dwudziestofrankówkę. Zawahał się. Cała rodzina oszołomiona już samym widokiem przepaści, sprzeciwiała się temu szaleństwu.

— Pójdzie pan ze mną? — zwróciła się do Mariolle'a.

— Przebyłem większe niebezpieczeństwa — odparł z uśmiechem.

I nie troszcząc się o resztę towarzystwa, weszli na wieżę.

On szedł przodem po wąskiej ścieżynie tuż nad brzegiem przepaści, a ona za nim, opierając się o mur, z oczyma spuszczone, aby nie widzieć otchłani u stóp jej ziejącej; wzruszeniem przejęta, nawpół omdlała z przęstrachu, konwulsyjnie ścisnęła rękę towarzysza, a czując jego siłę, spokój i pewność siebie, myślała z radością: „To prawdziwy mężczyzna!” Sami byli w przestrzeni, na wyżynach, gdzie tylko ptaki morskie krążyły, żółtymi oczkami obejmując dalekie przestwory.

Czując, że ręka jej drży coraz silniej, Mariolle spytał:

— Czy pani ma zawrót głowy?

— Tak — odparła cicho — ale z panem nie boję się niczego.

Wtedy zbliżywszy się do niej, objął ją wpół ramieniem, a ona w silnem objęciu czuła się tak bezpieczną, że śmiało podniosła głowę, by spojrzeć w dół.

Niósł ją prawie: a ona się nie broniła, dumna, że pod tą silną opieką wznosi się ku niebu. Wdzięczną mu była, romantyczną wdzięcznością kobiet, że pocałunkiem nie zepsuł tej napowietrznej wędrówki.

Gdy połączyli się z resztą towarzystwa, ocze-

kującą ich w najwyższym niepokoju, pan de Pradon wykrzyknął:

— Ach! Boże! jak mogłaś popełnić podobne szaleństwo!

Tonem głębokiego przeświadczenia odparła:

— Szaleństwem jest tylko to, co się nie udaje.

Pan de Pradon wzruszył ramionami. Zeszli teraz na dół; zatrzymawszy się chwilę u portjera, by kupić parę fotografii, powrócili do oberży, gdy właśnie dochodziła pora obiadowa. Oberżystka podsunęła im myśl odbycia jeszcze przechadzki po piasku, skąd najwspanialszy rozstaczał się widok na górę.

Pomimo zmęczenia, ruszyli znów w drogę, zapuszczając się nieco dalej, w głąb wilgocią przesyconej wydmy, gdzie stopa postawiona na żółtym, a twardym napozór kobiercu, zapadała po kostkę w zwodnicze, złociste wgłębienia.

Katedra, tracąc nagle pozór świątyni morskiej, jakie czyniła zdala, teraz jakby grożąc Oceanowi wyglądała raczej na średniowieczne zamczysko feudalne o średniowiecznych murach tu i ówdzie malowniczo poprzebijanych strzelnicami, wspartych na olbrzymich słupach, które zdawały się wykute ręką cyklopa. Ale widok ten nie zajmował już ani Michaliny de Burne, ani Andrzeja Mariolle. Oni myśleli teraz tylko o sobie, oplątani siecią, w którą uwikłali się wzajemnie, zamknięci w więzieniu, w którym traci się świado-

mość wszystkiego, nie widząc nic, prócz jednej tylko istoty.

Dopiero usiadłszy do obiadu, przy jasnym świetle lamp, ocknęli się jakby ze snu i zauważyli nawet, że są głodni.

Obiad przeciągnął się długo, a towarzystwo ożywioną rozmową zajęte, zapomniało o księżycu. Nikt zresztą nie miał ochoty do przechadzki. Napróżno pełnia księżycy poetycznym blaskiem oświetlała wąski skrawek wezbranego przyplływem morza, które prześlizgiwało się już po piaskach z niedosłyszalnym prawie, a jednak groźnym szmerem; napróżno rzucała snopy światła na wał wijący się wężykowato u stóp góry, na romantyczne cienie, na wieżę i wieżyczki; nikt już nie pragnął pięknych widoków.

Dochodziła dziesiąta, gdy pani Valsaci, oddawna już walcząc ze snem, zaproponowała, by się udano na spoczynek. Jednogłośnie przyjęto tę propozycję. Po serdecznem pożegnaniu powstali i każdy udał się do swego pokoju.

Czując, że nie zaśnie tej nocy, Andrzej Mariolle zapalił dwie świece stojące na kominku i usiadł przy otwartem oknie.

Ciało jego omdlewało pod katuszą próżnej nadziei. Ona jest tutaj tak blisko, dwojgiem drzwi zaledwie oddzielona, a przecież dostęp do niej w tej chwili zarówno jest niemożliwy, jak wstrzymanie fal morskich zalewających już teraz całą okolicę... Chwilami miał w gardle krzyk

zdławiony, a każdym nerwem czuł taką mękę próżnego wyczekiwania, że zadawał sobie pytanie, co począć, nie mogąc dłużej znieść samotności w ów wieczór jałowego szczęścia.

Głęboka cisza zapadała stopniowo w oberży i w jedynej ożywionej ulicy miasteczka. Mariolle siedział jeszcze z ręką na oknie opartą, wiedząc tylko, że czas upływa, patrząc na srebrzystą tafłę fal morskich i odraczając nieustannie chwilę udania się na spoczynek. Spodziewał się czegoś niezwykłego, jak gdyby przeczuciem wiedziony.

Nagle wydało mu się, że ktoś ostrożnie porusza klamką. Dreszcz go przebiegł. Drzwi uchylały się stopniowo. Weszła kobieta, osłonięta białym szalem i cała spowita powłóczystym białym szlafrocikiem, który zdawał się utkanym ze śniegu, puchu i jedwabiu. Cichutko zamknęła drzwi za sobą, poczem — jak gdyby nie widząc mężczyzny, który stał przy oknie jakby skamieniały ze szczęścia, podeszła wprost do kominka i zdmuchnęła obie świece.

II.

Nazajutrz rano zobaczyli się, by się pożegnać przed drzwiami hotelu. Wyszędłszy wcześniej z pokoju, Andrzej Mariolle czekał na nią, z radością i niepokojem. Co teraz uczyni?... Co mu powie?... Co się z nimi stanie?... Zacznie się dlań szczęście, czy udręka?... Mogła nim rozpo-

rzadzać dowoli — uczynić zeń męczennika lub człowieka nieświadomego swej woli, podobnego do palacza opium... Postanowił iść pieszo obok powozu do chwili rozstania; oni powracali do Avranches, on do Saint-Malo, zmuszony wytrwać w swem kłamstwie.

Kiedyż ją znowu zobaczy? Czy skróci pobyt u krewnych, czy też opóźni chwilę powrotu do Paryża? Zdjęty niewypowiedzianą trwogą, lękał się pierwszego jej spojrzenia, pierwszych słów; nie widział jej bowiem wcale i prawie sobie nic nie powiedzieli podczas krótkiej pieszczoty nocnej. Oddała mu się dobrowolnie, ale ze skromną wstrzeźliwością; nie lubując się jego pieszczotami, odeszła lekkim krokiem, powiedziawszy tylko: „Do jutra mój przyjacielu!”

Krótkie to dziwaczne zetknięcie sprawiło Andrzejowi Mariolle zawód, ów nieuchwytny zawód mężczyzny, który nie zdołał zebrać całego plonu dojrzałej już miłości; zarazem jednak odniesione zwycięstwo wprawiało go w stan upojenia, dając niechybną nadzieję powetowania sobie reszty.

Silny dreszcz wstrząsnął jego ciałem, na dźwięk jej głosu. Mówiła głośno, jak gdyby zirytowana jakimś żądaniem ojca, a gdy zeszła ze schodów, zaciśnięte jej usta zdradzały gniew i rozdrażnienie.

Mariolle podszedł o dwa kroki; zobaczyła go i uśmiechnęła się. W oczach jej przemknął ł

godniejszy blask i rozświetlił całą twarz. Serdeczny uścisk dłoni zdawał się niemem potwierdzeniem, że z własnej woli i bez żalu oddała mu się w posiadanie.

— Rozstajemy się zatem? — spytała.

— Niestety! nie potrafiłbym wypowiedzieć, jak bardzo mi przykro.

— Wszak nie na długo — szepnęła.

Widząc, że pan de Pradon nadchodzi, dodała przyciszonym głosem:

— Niech pan powie, że wyjeżdża na dziesięć dni do Bretanji; naturalnie pan tego nie uczyni.

W tejże chwili nadbiegła pani Valsaci mocno wzburzona.

— Co słyszę? Ojciec twój powiada, że chcesz wyjechać pojutrze? Wszak przyrzekłaś pozostać przynajmniej do przyszłego poniedziałku.

Trochę zachmurzona odparła:

— Mój ojciec nie nauczy się nigdy, że czasami nie wypada mówić wszystkiego. Ciocia wie, że newralgja dokucza mi zawsze nad morzem, a chcąc zapobiec w tym roku dłuższej kuracji, wspomniałam o przyspieszeniu naszego wyjazdu. Zresztą pomówimy o tem później.

Woźnica kilkakrotnie już przypomniał Andrzejowi, iż czas jechać, by się nie spóźnić na pociąg do Pontorson.

— Kiedy pan wraca do Paryża? — spytała pani de Burne.

Mariolle zawahał się na chwilę.

— Nie wiem jeszcze. Chciałbym zwiedzić Saint Malo, Brest, Douarnenez, zatokę Trépassés, wyżynę Raz, Audierne, Penmarch, słowem cały ten piękny zakątek Bretanji. Sądzę, że podróż ta zajmie mi...

Po chwilowem obliczaniu w myśli dodał:

— Czternaście do dwudziestu dni.

— To długo! — zawołała, śmiejąc się. — Ja zaś wyjadę stąd za dwa dni najdalej, jeżeli będę tak rozstrojoną jak tej nocy.

Nie posiadając się z radości, miał ochotę krzyknąć głośno: „Dziękuję“. Opamiętał się jednak i poprzestał na namiętne ucałowaniu jej ręki, którą podała mu po raz ostatni.

Po tysięcznych uściskach, podziękowaniach i zapewnieniach sympatji, pożegnał państwa Valscaci i pana de Pradon, uspokojonego trochę wiadomością o tej podróży i wsiadłszy do powozu odjechał, ciągle się za nią oglądając.

Wrócił wprost do Paryża, nic po drodze nie widząc. Przez noc całą uwięziony w wagonie, z przymkniętymi oczyma, z założonemi rękoma, rozpamiętywał wciąż chwilę urzeczywistnienia swych marzeń. Zaledwie przestąpił próg swego mieszkania i wszedł do zacisznej biblijoteki, w której siadywał zazwyczaj, pisywał i prawie zawsze czuł się spokojnym w miłym towarzystwie książek, skrzypiec i fortepianu — ogarnęła go wnet owa męczarnia oczekiwania, trawiąca gorączką nienasyconą serca niespokojne.

Nie pojmując dlaczego nic go nie bawi, ani zajmuje, dlaczego czytanie, muzyka oraz inne zajęcia, którym zwykle się oddawał nie mają dziś dla niego najmniejszego powabu, zadawał sobie pytanie, co począć, aby uśmierzyć ten nowy niepokój. I nagle poczuł nieprzepartą, niczem niewytłómaczoną potrzebę wyjścia z domu, przechadzki, ruchu -- potrzebę, która właściwie jest tylko wynikiem oddziaływania umysłu na ciało oraz instynktownem, nieprzepartem pragnieniem szukania i znalezienia osoby, zajmującej nasze myśli.

Zarzucił palto, wziął kapelusz, otworzył drzwi i schodząc ze schodów, zadawał sobie pytanie: „Gdzie ja idę?“. Teraz dopiero przyszła mu myśl, nad którą się dotąd nie zastanawiał, że chcąc ją spotykać nadal, musi mieć zaciszne, ładne mieszkanko na ustroniu.

Szukał więc, chodził, przebiegał ulice, następnie aleje, nakoniec bulwary, wypytyując uprzejmie uśmiechnięte stróżowe i podejrzanie wyglądające panie, które odnajmowały umeblowane pokoje, dość wątpliwej jakości i wieczorem powrócił do domu zniechęcony. Nazajutrz od dziewiątej rano rozpoczął znów poszukiwania, aż wreszcie nad wieczorem w głębi jednego z ogrodów przy ulicy d'Auteuil znalazł niewielki pawilon, który w przeciągu dwóch dni miał być urządzony przez mieszkającego w sąsiedztwie tapicera. Mariolle zajął się osobiście wyborem

materiałów; zamówiwszy bardzo proste meble z drzewa pomalowanego na zielono i puszyste dywany. Ogrodem miał się zająć piekarz, mieszkający w pobliżu, a żona podjęła się usługiwać i sprzątać pokoje. Ogrodnik z tejże dzielnicy otrzymał polecenie upiększenia ogródka klombami kwiatów.

Wydawszy wszystkie rozporządzenia Mariolle koło ósmej powrócił do domu, gdzie na biurku zastał telegram. Z bijącym sercem przeczytał:

„Będę w domu wieczorem. Bliższych wyjaśnień udzieli

Michalina“.

Mariolle nie pisał do niej dotąd z obawy, aby list nie wpadł w cudze ręce, wobec tego, że miała wyjechać z Avranches. Teraz dopiero, usiadłszy przy biurku, wylał na papier uczucia przepełniające mu duszę. Trud to był ciężki, gdyż wszystkie wyrażenia, zdania, myśli nawet wydawały mu się zbyt śmieszne, słabe i bezbarwne, do odtworzenia tak gorącego, a subtelnego aktu dziękczynienia.

List otrzymany od niej nazajutrz, potwierdzał wiadomość jej powrotu i zawierał prośbę, aby przez kilka dni następnych nie pokazywał się nikomu, a temsamem uprawdopodobnił swój wyjazd. Zapraszała go też, aby następnego dnia około dziesiątej rano przechadzał się w ogrodzie Tuillerów po tarasie, z którego rozciąga się widok na Sekwanę.

Przyszedł tam o godzinę zawczasie i błąkał się długo po ogrodzie, po którym przesuwały się tylko ludzie wczesnie wstający, rzemieślnicy, nauczyciele, szwaczki, urzędnicy dążący do biur położonych po lewym brzegu rzeki — słowem wszelkiego rodzaju pracownicy. Z rozkoszą przyglądał się tym ludziom, których troska o chleb powszedni zmuszała do ogłupiającej pracy, a porównując się z nimi — w chwili, gdy oczekiwał kochanki, jednej z władczyń świata, czuł się tak szczęśliwym, uprzywilejowanym, wolnym od walki o byt, że mimowoli z wdzięcznością podnosił oczy ku niebiosom, gdyż opatrność była dlań równoznaczną z kolejnym następstwem błękitu i deszczu — z przypadkiem, rządzącym ludźmi i czasem.

Na parę minut przed dziesiątą wszedł na szczyt tarasu, niecierpliwie oczekując jej przybycia.

„Spóźni się! pomyślał. Zaledwie jednak zegar pobliski zaczął wydzwaniać godzinę, zdawało mu się, że dostrzega ją zdaleka, idącą śpiesznym krokiem panny z magazynu. „Czyżby ona?“ Nie dowierzał własnym oczom. Poznawał wprawdzie jej chód, ale wydała mu się tak inną w skromnej ciemnej sukience! Zmierzała jednak wprost ku schodom prowadzącym na taras, jak gdyby często tędy chodziła.

„Lubi widocznie to miejsce i nieraz zapewne się tu przechadza“ — myślał Mariolle. Uniósłszy suknię, weszła na pierwszy stopień kamienny,

potem szybko wchodziła coraz wyżej, a gdy Mariolle zbliżył się, aby ją prędzej powitać, rzekła z przyjaznym uśmiechem, zdradzającym jednak niepokój:

— Co za nieostrożność! Nie można się tak pokazywać! Widzę pana już od ulicy Rivoli. Chodźmy trochę dalej, na ławkę za oranżerją. Na przyszły raz będzie mnie pan tu oczekiwał.

Mariolle nie mógł się oprzeć pokusie zapytania:

— Czy pani bywa tu często?

— Lubię bardzo to miejsce, a ponieważ przechadzam się rano, więc przychodzę od czasu do czasu, aby się nacieszyć przepysznym widokiem. A przytem nie spotyka się tu nikogo, gdy Lasek staje się niemożliwym. Tylko niech pan nie zdradzi tej tajemnicy.

— Będę milczał. — z uśmiechem odrzekł Mariolle. Ostrożnie ujął jej rączkę, ukrytą w fałdach sukni i westchnął: Jakże ja panią kocham. Chory jestem z oczekiwania. Czy pani otrzymała mój list?

— Tak. Dziękuję panu. Wzruszył mnie do głębi.

— Więc się pani nie gniewa?

— Ja?... Zaczoby?... Przecież pan bardzo uprzejmy.

Szukał w myśli słów gorących, tchnących uczuciem i wdzięcznością. Zbyt był jednak wzruszony, więc tylko raz po raz powtarzał:

— Kocham!... Kocham panią.

Ona rzekła:

— Chciałam, abys pan przyszedł tutaj, gdyż mamy także wodę i łódki. Tam było wprawdzie ładniej, ale i tutaj widok miły.

Usiedli oboje na ławce koło kamiennej balustrady ciągnącej się wzdłuż wybrzeża rzeki, sami prawie niewidzialni. Oprócz nich nikogo nie było na tarasie, z wyjątkiem dwóch ogrodników i trzech piastunek czuwających nad dziećmi.

Po bulwarze toczyły się powozy, których nie widzieli. Odgłos kroków przechodniów dolatywał tuż z pobliza. Nie wiedząc jak rozpocząć rozmowę, przyglądał się pięknemu krajobrazowi paryskiemu, od wyspy św. Ludwika i wieżycy Notre dame, aż do wzgórz Meudon. Ona powtarzała od czasu do czasu:

— Jak tu ślicznie!

On jednak opanowany wspomnieniem czarującej wspólnej wędrówki podniebnej, trawiony tęsknotą za minioną chwilą szczęścia, zawołał:

— Ach! czy pani pamięta nasz wzlot drogą Szaleńców?

— Tak, ale dotąd czuję lęk, myśląc o tej chwili. Boże! jakżeby mi się w głowie kręciło, gdybym tam poszła po raz drugi! Byłam dziwnie podnieconą: powietrze, słońce i morze odurzyły mnie poprostu. Spojrz, przyjacielu, jak śliczny widok. Ja szalenie lubię Paryż.

Spojrzał na nią w nagłym przeczuciu, że zni-

knęło już to, co w niej zabłysło na chwilę, tam — na wsi. Szepnął tylko:

— Co mnie obchodzi przyroda, skoro pani jest przy mnie!

Nic nie odpowiedział, uścisnęła mu rękę. Uścisk ten uszczęśliwił go bardziej niżby to mogło uczynić wyznanie; ciężar niepokoju spadł mu z serca i nareszcie mógł znaleźć odpowiednie słowa.

Zwolna, uroczyście niemal składał jej u stóp całe życie, aby niem do woli rozporządzać zechciała.

Przejęta wdzięcznością, a jednak nieodrodna córka stulecia wątpliwego, odrzekła z ironicznym uśmiechem:

— Proszę się nie zobowiązywać tak bezwzględnie!

Przysunął się do niej i patrząc w jej oczy głęboko spojrzeniem niemal dotykalem, powtórzył swe zapewnienia z większym jeszcze zapałem i poezją. Wszystko, co kiedykolwiek w egzaltowanych swych listach napisał, wypowiedział w tej chwili z taką siłą przekonania, że uczuła się jakby wśród woni kadzideł. Wszystkimi fibrami kobiety czuła pieczętę tego hymnu, jakiego nigdy jeszcze na jej cześć nie wyśpiewano.

Gdy umilkł wreszcie, odparła z prostotą:

— Ja także kocham pana serdecznie.

Trzymając się za ręce jak uczniaki, przechadzający się po wsi parami, patrzyli teraz błę-

dnym wzrokiem na statki sunące po rzece. Otoczeni wokół zgiełkiem Paryża, w mieście tem ogniskującym życie całego świata, czuli się więcej odosobnieni niżeli na szczycie wieżycy, strzelającej w obłoki. I na chwilę zapomnieli istotnie, że cokolwiek prócz nich istnieje na ziemi.

Ona pierwsza odzyskała świadomość rzeczywistości i czasu.

— Może jutro znów się tutaj spotkamy? — spytała.

On zamyślił się chwilę, zakłopotany tem, czego nie śmiał otwarcie wypowiedzieć.

— I owszem... i owszem... — jąkał się. — Ale czyż nie spotkamy się nigdy gdzieindziej?... Jesteśmy tu sami, to prawda... ale lada chwila może ktoś nadejść.

— To prawda — odparła z pewnem wahaniem. — A jednak przez dwa tygodnie przynajmniej nie powinieneś się pan pokazywać, aby uwierzono, że pana niema w Paryżu. To tak ślicznie i tajemniczo, że o spotkaniach naszych nikt nie będzie wiedział. Skutkiem tego nie mogę teraz przyjmować pana u siebie. Nie widzę zatem...

Czując, że się rumieni, przerwał Mariolle:

— Ja także nie mogę prosić pani o przyjście do mnie. Czy nie możnaby jednak obmyśleć innego sposobu, innego miejsca?...

Nie zdziwiła się ani oburzyła, będąc kobietą

praktycznego rozsądku, logicznie myślącą i nieznającą fałszywego wstydu.

— Zapewne — odrzekła. — Ale trzebaby czasu, aby znaleźć coś stosownego.

— Ja już znalazłem.

— Już?

— Czy pani zna ulicę des Vieux-Champs w Auteuil?

— Nie.

— Łączy się ona z ulicą Tournemine i Jean de Saulge.

— I cóż dalej?

— W ulicy tej, a raczej w uliczce jest ogród, a w głębi tego ogrodu domek, mający wyjście na obydwie te ulice.

— I cóż dalej?

— Pawilon ten czeka przybycia pani.

Zamyśliła się znowu, poczem bez zakłopotania zadała dwa czy trzy pytania, świadczące o kobiecej przezorności.

Widocznie odpowiedział zadawalniająco, bo wysłuchawszy go uważnie, szepnęła:

— Dobrze, przyjdę jutro.

— O której godzinie?

— O trzeciej.

— Czekać panią będę w bramie Nr. 7. Proszę nie zapomnieć. Przechodząc, zastuka pani tylko.

— Dobrze, mój przyjacielu. Do widzenia.

— Do widzenia! Dziękuję. Uwielbiam panią!

Wstali oboje.

— Niech mnie pan nie odprowadza — dodała jeszcze — proszę zostać tu z dziesięć minut, a potem wrócić do domu bulwarem.

— Do widzenia!

— Do widzenia!

Oddaliła się szybkim krokiem, z miną tak skromną, dyskretną i poważną, że w istocie można było wziąć ją za jedną z tych pracowitych dziewcząt, co wczesnym rankiem biegną ulicami Paryża do uczciwego zajęcia.

Pojechał do Auteuil, niespokojny, czy mieszkanie będzie gotowe na dzień następny.

Zastał tu mnóstwo rzemieślników. Ściany były już obite, dywany rozłożone, wbijano gwoździe, ustawiano meble i czyszczono. W ogrodzie dość rozległym, a stanowiącym szczątek dużego angielskiego parku, znajdowało się kilka starych rozłożystych drzew; małe gaiki wyglądały niby laski, dwa zielone gazony, przecięte były ścieżynami. Przed oknami domku ogrodnik poustawiał w ziemi doniczki: róż, gwoździków, geranium, rezedy, oraz kilkunastu innych roślin, których chwilę rozkwitu można dobrowolnie przyspieszyć lub opóźnić i w przeciągu jednego dnia zamienić puste pole w ogród pełen kwiecia i woni.

Mariolle doznał takiej radości, jak gdyby nowe nad nią odniósł zwycięstwo i zobowiązawszy tapicera przysięgą, że wszystkie meble będą poustawiane nazajutrz przed południem zaozaj

biegać po sklepach, szukając cacek, któremi przyozdobić chciał także wnętrze tego mieszkania. Do rozwieszenia na ścianach wybrał kilka cudnych reprodukcji najznakomitszych obrazów; do ustawienia na stołach i kominkach najodpowiedniejszymi wydały mu się fajanse Decka i inne te drobne graciki, które kobiety lubią mieć zawsze pod ręką.

W przeciągu jednego dnia wydał dochód dwumiesięczny, a czynił to z prawdziwą rozkoszą, myśląc, że od dziesięciu lat wciąż robił oszczędności — nie przez oszczędność, lecz skutkiem braku potrzeb, dzięki czemu mógł teraz rozporządzać pieniędzmi po wielkopańsku.

Nazajutrz wczesnym rankiem był już w Auteuil: osobiście pilnował ustawiania mebli, własnoręcznie zawieszał obrazy, układał fałdy portjer, wchodził na drabinki, perfumami zlewał firanki i dywany. Zdawało mu się, że nigdy w życiu nie spełniał równie przyjemnego i rozkosznego zajęcia. Co minuta spoglądał na zegar, liczył ile czasu dzieli go jeszcze od chwili jej przybycia, naglił robotników do pośpiechu, poprawiał i przestawiał wszystko, aby było najgustowniej i najlepiej.

Przez ostrożność, oddalił około drugiej wszystkich robotników, a wtedy, gdy wskazówki po raz ostatni krążyły po tarczy zegara, wśród ciszy zalegającej cały domek, w którym marzenia jego urzeczywistnić się miały, sam na sam z my-

ślami swemi, przechadzając się po pokojach, mówiąc głośno do siebie, snując w wyobraźni rozkoszne obrazy — zaznał najwyższego szczęścia, jakie dać może upojenie miłosne.

Następnie wyszedł do ogrodu. Słońce przędzierając się przez gęstwę liści, oświetlało przelicznie zwłaszcza klomb róż. Nawet niebo zdawało się przyczyniać do upiększenia chwili tego spotkania. Wreszcie stanął w bramie i od czasu do czasu uchylał drzwi z obawy, czy się nie pomyli.

Trzecia wybiła godzina, powtórzona przez dziesięć zegarów innych fabryk i kościołów tej dzielnicy. Czekał teraz z zegarkiem w ręku i nagle zadrżał z radości, usłyszawszy delikatne stuknięcie do bramy, do której przyłożył był ucho, gdyż nie słyszał kroków w ulicy.

Otworzył drzwi: to ona! Spojrzała najpierw zdumiona, potem rzuciła niespokojne spojrzenie na sąsiednie domy, lecz uspokoiła się rychło, przekonana, że była zupełnie nieznaną ubogim mieszkańcom przedmieścia. Następnie przyglądając się ogrodowi, nareszcie zdjęwszy rękawiczki, wdzięcznym ruchem podała kochankowi obie ręce do pocałowania i ujęła jego ramię.

— Boże! jak tu ślicznie! jak cudownie!... Ile niespodzianek na każdym kroku!

Nagle, spostrzegłszy przepyszny klomb róż w blaskach słońca skąpany, zawołała:

— Ależ to istne cuda, mój drogi przyjacielu!

Zerwała jedną z róż, przycisnęła do ust i przypięła do stanika. Gdy weszli wreszcie do domku, była tak radosna, że młody człowiek miał ochotę paść przed nią na kolana, chociaż czuł w głębi serca, że powinnaby więcej może zwracać uwagi na jego osobę niż na otoczenie. Przyglądała się wszystkiemu ciekawie, jak mała dziewczynka nowej zabawce, nie doznając żadnych przykrych uczuć w pięknym tym grobowcu cnoty kobiecej; oceniała wytworność urządzenia z zadowoleniem znawcy, którego upodobaniem uczyniono zadość. Przychodząc tutaj, lękała się banalnego mieszkania, wyblakłych mebli, skalanych tysiącem innych schadzek. Tymczasem zastaje wszystko nowe, świeże, rozmyślnie dla niej przygotowane. On jest istotnie całkiem doskonałym.

Zwracając się do niego, czarującym ruchem przyzywającym zarzuciła mu ręce na szyję; oboje zamknęli oczy i usta ich złączyły się jednym z tych pocałunków, dających dziwne a podwójne wrażenie szczęścia i nicości zarazem.

W niczem niezamąconej ciszy tego ustronia, twarz przy twarzy, ciało przy ciele, usta przy ustach, sam na sam spędzili trzy godziny, których rozkosz wprowadziła Andrzeja w stan upojenia zmysłów i duszy.

Przed rozstaniem poszli raz jeszcze do ogrodu i usiedli w zielonej altanie, ukryci przed oczami ludzi. On przejęty zachwytem, przemawiał do niej jak do bogini, która na chwilę raczyła zstą-

pić ze swego piedestału; ona słuchała w milczeniu, jakby opędzając się znużeniu, które tak często wyrazem nudy przejawiało się w jej oczach po zbyt długich odwiedzinach osób, nie sprawiających jej przyjemności. Patrzyła nań jednak przyjaźnie, z czułym choć nieco wymuszonym uśmiechem i ściskając mu rękę raczej odruchowo, niżeli świadomie.

Widocznie nie słuchała tego co mówił, bo nagle nie dając mu skończyć rozpoczętego zdania, przerwała:

— Muszę już odejść. Przyrzekłam być o szóstej u margrabiny de Bratiane, a nie chciałabym się spóźnić.

Odprowadził ją do bramy, którą tu przybyła. Uścisnęli się po raz ostatni i ona odeszła, rzucawszy wpierw badawcze spojrzenie wokół domku.

Zostawszy sam, Mariolle poczuł nagle w sercu tę pustkę, jaką zostawia po sobie ukochana kobieta, poczuł to osamotnienie, jakie nas ogarnia, gdy słyszymy zamierający w oddali odgłos jej kroków.

W smutnej pograżony zadumie, przechadzał się długo po wysypanych piaskiem ścieżynach, rozmyślając nad wiekuistym kontrastem, pomiędzy nadzieją a urzeczywistnieniem.

Parę godzin pozostał jeszcze w pawiloniku, odzyskując powoli spokój i zespalał się z nią w myśli goręcej i niepodzielniej, niżeli ona z nim w namiętnych uściskach miłosnych... Wróciwszy

wreszcie do domu, zjadł obiad, nie wiedząc, co je i zaczął do niej pisać.

Dzień następny wydał mu się długim, a wieczór nieskończenie nudnym. Napisał do niej po raz drugi. Dlaczego milczy, dlaczego nie odpowie ani słówkiem? Nazajutrz dopiero otrzymał krótki bilecik z obietnicą stawienia się w umówionem miejscu, następnego dnia o zwykłej godzinie. Niebieski ten świstek uśmierzył wreszcie ogarniającą go gorączkę oczekiwania.

Zjawiła się nazajutrz o oznaczonej godzinie, serdeczna i uśmiechnięta; a drugie to spotkanie w Auteuil nie różniło się niczem od pierwszego. Andrzej Mariolle zdziwiony był w pierwszej chwili, dlaczego w sercach ich nie rodzi się namiętność granicząca z ekstazą; lecz coraz więcej zakochany zmysłowo, zapominał marzeń o posiadaniu spodziewanem — w szczęściu otrzymanego. Przywiązywał się do niej pieszczotami, tym węzłem najsilniejszym i najgroźniejszym, jedynym, z którego otrząsnąć się niepodobna, jeżeli mocno zaciśnięty wpije się aż do krwi w ciało mężczyzny.

Dwadzieścia dni minęło, tak słodkich i lekkich! Zdawało mu się, że tak trwać będzie wiecznie, że pozostanie tutaj na zawsze, oddalony od wszystkich, żyjąc jedynie dla niej; i w bezpłodnym umyśle tego artysty, trawionego ustawicznie żądzą oczekiwania, zrodziło się szalone marzenie życia w ukryciu, tajemniczego, błogiego.

Ona przychodziła co trzy dni, bez oporu, pociągana może urokiem tych schadzek, małego domku, który stał się cieplarnią rzadkich egzotycznych roślin i nowością miłosnego stosunku, nie narażającego ją na niebezpieczeństwa, a nęcącego bałwochwalczem uwielbieniem coraz to więcej rozkochanego Mariolla.

Pewnego dnia oświadczyła:

— Teraz musisz już powrócić do świata. Przyjdź do mnie jutro po obiedzie. Oznajmiłam wszystkim, że przyjechałeś już do Paryża.

Głosem, w którym przebijała się prawdziwa boleść, spytał:

— Och, czemu tak rychło?

— Gdyby dowiedziano się przypadkiem, że jesteś w mieście, dałoby to pole do rozmaitych domysłów.

Uznawszy słuszność tej uwagi, Mariolle przyrzekł przyjść do niej nazajutrz. Po chwili milczenia zapytał jeszcze:

— Czy spodziewasz się gości?

— Tak — odparła. — Będzie nawet pewna uroczystość.

— Co to znaczy? — zapytał Mariolle, nie-mile dotknięty jej słowami.

Ona rozśmiała się wesoło.

— Po wielu zabiegach, wcale niełatwych, udało mi się skłonić Massivala do odegrania u mnie jutro „Dydony“, której nikt dotąd nie zna. Jest to poemat starożytnej miłości. Pani de Bratiane,

która uważała się dotąd za jedyną władczynię Massivala, jest oburzona... I ona będzie zresztą jutro, gdyż śpiewa. Czyż nie jestem silna?

— Czy wiele będzie osób?

— O nie, zaprosiłam tylko najbliższe kółko przyjaciół. Znasz przecież wszystkich.

— Czy ja nie mógłbym być uwolniony? Jestem szczęśliw w samotności...

— Nie, nie przyjacielu! Wszak wiesz, że najwięcej zależy mi na tobie.

Serce zabiło mu gwałtownie.

— Dziękuję — odparł — przyjdę.

III.

— Witam drogiego pana.

Mariolle spostrzegł z przykrością, że nie jest już „drogim przyjacielem“ jak w Auteuil, a uścisk dłoni był krótki, roztargniony — uścisk kobiety zajętej spełnianiem obowiązków światowych. Wszedł do salonu, ona zaś witała piękną panią Le Prieur, którą nie bez pewnej ironji przezwano „boginią“, za przesadne nieco obnażanie ramion i pretensji do posagowych kształtów. Mąż jej był członkiem akademji.

— Ach! Mariolle! — zawołał Lamarthe — skąd się tu bierzesz? Myślałem, żeś się już pożegnał z tym światem.

— Wracam z wycieczki do Finistère — od-

parł — i zaczął opowiadać swe wrażenia z podróży.

— Czy znasz baronową de Frémines? — przerwał powieściopisarz.

— Z widzenia tylko, ale dużo o niej słyszałem. Podobno bardzo interesująca?

— Najdoskonalszy typ kobiety nowoczesnej, o ogromnym jednak wdzięku. Chodź, przedstawię cię jej.

I wzięwszy Mariolle'a pod rękę, zbliżył się z nim do młodej kobiety, którą powszechnie przyrównywano do lalki, bladej, czarującej laleczki, stworzonej przez samego diabła na pokusę i zatracenie wielkich dzieciaków brodatych. Miała oczy niebieskie podłużne, głębokie, nieco ukośnie zwrócone ku skroniom jak u chinek; spojrzenie jej błękitno-emaliowe zdawało się przeslizgiwać między powiekami, które rzadko kiedy rozchylały się zupełnie, jakby stworzone do osłaniania tajemniczości dziwnej tej istoty.

Jasno blond jedwabiste włosy połyskiwały srebrzystym odcieniem; małe, wąziutkie usteczka jakby przez miniaturzystę narysowane, a następnie wycięte lekką ręką rzeźbiarza. W głosie jej brzmiały metaliczne dźwięki a oryginalne, złośliwe niekiedy i dowcipne powiedzenia, chłodna i niszczyielska kokieterja, dziwna zawilość natury nerwowej, wzbudzały w jej otoczeniu silne namiętności i gwałtowne niepokoje. W całym Paryżu uchodziła ona za najekscentryczniej-

szą i zarazem najdowcipniejszą z pań wielkiego świata, lecz nikt nie wiedział dokładnie, jaką jest w istocie, co myśli i czuje. Na mężczyzn wywierała urok nieprzeparty. Mąż jej był także osobistością zagadkową. Zawsze jednakowo grzeczny i wielkopański, zdawał się nic nie widzieć. Był to zaślepienie, oślepienie, obojętność, czy pobłażliwość? A może w postępowaniu jej nie było nic zdrożnego prócz oryginalności, która bezwątpienia bawiła też i jego? Wogóle wydawano o nim najrozmaitsze sądy. Krążyły nawet bardzo złośliwe pogłoski, że ciągnie zyski z tajemnych występków żony.

Pomiędzy panią de Burne a nią dziwny istniał stosunek: sympatji, połączonej z obopólną zazdrością, co sprawiało, że po okresach przyjaźni następowały chwile niczem nieprzejednanej nienawiści. Podobały się sobie wzajem i szukały swego towarzystwa jak dwaj zapaleni pojedynkowicze, z których każdy, oceniając zalety przeciwnika, pragnie go jednak uśmiercić.

W tej chwili pani Frémines nie posiadała się z radości z powodu wielkiego zaszczytnego zwycięstwa; zdobyła Lamarthe'a, odebrała go współzawodnicze, przyciągnęła do siebie po to, by zaciągnąć do szeregu pokornych, obłaskawionych wielbicieli. Powieściopisarz, zaciekawiony i zdziwiony oryginalną tą kobietą, nie mógł się powstrzymać od wypowiedzania głośno swego za-

chwytu nad nią, co zaczynało już zwracać publiczną uwagę.

W chwili, gdy przedstawiał jej Andrzeja Mariolle, pani de Burne, siedząca w przeciwległym rogu salonu, rzuciła na nich przelotne spojrzenie, a on uśmiechając się pod wąsem szepnął przyjacielowi:

— Widzę, że nasza władczyni niezadowolona.

Andrzej podniósł oczy, ale pani de Burne rozmawiała już z Massivalem, który w tej chwili ukazał się między portjerami drzwi.

Tuż za nim weszła margrabina de Bratiane, wobec czego Lamarthe nie mógł się powstrzymać od uwagi:

— Widzę, że pierwsze przedstawienie „Dydony“ odbyło się już w powozie margrabiny.

A pani de Frémines dodała:

— Istotnie, pani de Burne traci stopniowo najkosztowniejsze klejnoty ze swej kolekcji.

Mariolle uczuł rodzaj nienawiści ku tej kobiecie; porwał go nagły gniew na wszystkich tych ludzi, ich poglądy, upodobania, motyle skłonności i lekkomyślne igraszki. To też korzystając z chwili, gdy Lamarthe rozpoczął szepciem rozmowę z młodą kobietą, odwrócił się i odszedł.

O parę kroków dalej piękna pani Le Prieur siedziała sama. Zbliżył się do niej. Zdaniem Lamarthe'a, była to jedyna przedstawicielka starej tradycji w towarzystwie stanowiącem poniekąd

przednią straż. Młoda, wysoka, przystojna, z twarzą o bardzo regularnych rysach, o ciemno kasztanowatych włosach o cudownych odcieniach, czarująca spokojnym wdziękiem i wytworną kokieterją, oraz chęcią podobania się, ukrywaną pod pozorami życzliwości, pani Le Prieur posiadała liczny zastęp stronników, których przezornie strzegła od niebezpiecznych współzawodniczek. W domu jej zbierało się tylko kółko bliższych znajomych, którzy zresztą jednogłośnie śpiewali hymn na cześć jej męża.

Pani Le Prieur i Mariolle rozpoczęli ożywioną rozmowę. Ona ceniła wysoko tego rozumnego, skupionego człowieka, o którym mało wprawdzie mówiono, lecz który bezwątpienia wielu innych przewyższał wartością.

Ostatni goście wchodzili teraz do salonu otyły Fresnel, zasapany, obcierając chustką czoło wiecznie spocone i świecące; filozof światowy Jerzy de Maltry, następnie baron de Gravil i hrabia de Marantin. Obowiązki gospodarza domu spełniał wraz z córką pan de Pradon. Dla Mariolle'a był niezwykle uprzedzającym. Ale on ze ściśniętym sercem patrzył na nią tylko, rozmawiającą z gośćmi, zajmującą się wszystkimi więcej niżeli nim. Dwa razy wprawdzie rzuciła mu spojrzenie, które zdawało się mówić „myślę o tobie“, ale spojrzenie to było tak przelotne, nie był pewien, czy nie pojął go fałszywie. A przytem nie mogło ujść jego uwadze rozdrażnienie

pani de Burne, spowodowane grzecznością Larmarthe'a dla pani de Frémines. „Oto zazdrość kokiety, utracającej kosztowne cacko“ — myślał. A jednak cierpiał szczerze, cierpiał zwłaszcza dlatego, że pani de Burne, spoglądając co chwila ukradkiem na tamtych dwoje ludzi, wcale się nie niepokoiła, że on siedział obok pani Le Prieur. „Dlatego prawdopodobnie — myślał — że pewną jest mojej niewolniczej uległości, gdy tamten jej się wymyka. Czemże więc jest dla niej ta miłość, wczoraj zaledwie zrodzona, a która u mnie wzięła już przewagę nad wszystkimi myślami i uczuciami?“

Pan de Pradon dał znak i Massival otworzył fortepian, zaś pani de Briatane, która miała odśpiewać „Dydonę“, zdejmowała rękawiczki, gdy drzwi salonu otworzyły się raz jeszcze i na progu stanął młody człowiek, ku któremu zwróciły się wszystkie spojrzenia. Wysoki, szczupły, z fryzowanymi bokobrodami, o jasnych, krótko ostrzyżonych włosach, wyglądał bardzo arystokratycznie. Nawet pani Le Prieur zdawała się podniecona jego przybyciem.

— Kto to taki? — zapytał Mariolle.

— Jakto, pan go nie zna?

— Nie.

— To hrabia Rudolf von Bernhaus.

— Ach! ten, który się pojedynkował z Zygmuntem Fabre.

— Tak.

Była to głośna swego czasu historia. Hrabia von Bernhaus, członek ambasady austriackiej, dyplomata z wielką przyszłością, „Bismark salonów“ wyzwał i trupem położył sławnego fechtmistrza, który podczas oficjalnego przyjęcia odezwał się lekceważąco o cesarzowej austriackiej. Dzięki temu hrabia de Bernhaus stał się w ciągu kilku dni znakomitością w rodzaju Sary Bernhardt z tą wszakże różnicą, że nazwisko jego było otoczone aureolą poetycznej rycerskości. Pozatem był bardzo miłym w towarzystwie i niezwykle dystygowanym. Lamarthe mawiał o nim: „Oto pogromca naszych pięknych tyranek“.

Hrabia z wytworną dystynkcją zbliżył się do pani de Burne, a Massival usiadł przy fortepianie i z cicha uderzył w klawisze.

Całe prawie towarzystwo zmieniło miejsca, skupiając się koło fortepianu, aby móc lepiej słyszeć, a zarazem widzieć śpiewaczkę.

Nastąpiła chwila oczekiwania i zbożnego skupienia uwagi, poczem kompozytor rozpoczął szeregiem cichych powolnych tonów, sprawiających wrażenie opowieści muzycznej. Po pauzach następowały kolejno krótkie frazy, to tęskne, to znów nerwowe, jakby niepokoju pełne, ale niezwykle oryginalne. Mariolle marzył. Oczyma wyobraźni widział w pełni sił i kraszy wdzięków dojrzałych kobietę, królową Kartaginy, przechadzającą się wolnym krokiem nad wybrzeżem morza. Zgadywał, że ona cierpi, że w duszy ma

ciężki ból i badawczo przypatrywał się pani de Bratiane.

Nieruchoma, blada, z czarnemi jak noc włosami, z oczyma utkwionemi przed siebie, czekała. W energicznej, surowej prawie jej twarzy, na której oczy i brwi znaczyły się jakby czarnemi plamami, w całej jej postaci zdradzającej siłę i namiętność uczuć, było coś groźnego, niby zapowiedź burzy, przeczuwanej w chmurnych niebiosach.

Przechylając nieco głowę o długich włosach, Massival roztaczał dalej bolesną opowieść, głębokimi tonami klawiszy.

Nagle dreszcz silny wstrząsnął postacią śpiewaczki; z nawpół otwartych ust wydarła się rozdzierająca skarga. Nie był to ów okrzyk tragicznej rozpacz, który artyści z dramatycznymi gestami tak często wydają na scenie, ani też jeden z tych pięknych jęków zawiedzionej miłości, wywołujących oklaski rzesiste — lecz krzyk nieokreślony, wydzierający się z ciała nie z duszy, niby wycie zranionego zwierza — krzyk zdradzonej samicy. Umilkła; a Massival opowiadał dalej pełne kłującego bólu, udręki, dzieje niešťczęsnej królowej, którą człowiek ukochany porzucił.

Ponownie rozległ się głos kobiety. Mówiła teraz o nieznośnej męczarni samotności, o niczem nieugaszonym pragnieniu pieśczot minio-

nych bezpowrotnie, i rozpaczy płynącej z przeświadczenia, że odjechał na zawsze.

Jej ciepły, uczuciem drżący głos poruszył wszystkie serca. Śniada ta włoszka o czarnej fali włosów, zdawała się odczuwać owo cierpienie, kochać lub przynajmniej być zdolną do miłości równie bezgranicznej. Umilkła, mając oczy pełne łez, które powoli otarła chusteczką. Lamarthe, przejęty artystycznym zachwytem, pochylił się ku Mariolle'owi i szepnął:

— Boże! jakież ona piękna w tej chwili! Prawdziwa kobieta! jedyna z pośród wszystkich obecnych.

Zamyślił się chwilę, poczem dodał:

— Kto wie zresztą? Może to tylko złudzenie wywołane muzyką... bo na świecie niema przecież nic prócz złudzeń!... Ale nie jestże sztuką najwyższą wywoływać złudzenie?

Nastąpiła przerwa między pierwszą a drugą częścią muzycznego poematu, wszyscy winszowali gorąco kompozytorowi i śpiewaczce. Lamarthe zwłaszcza gorące wypowiadał pochwały a czynił to zupełnie szczerze, posiadając dar odczuwania i rozumienia wszystkich przejawów piękna. Pani de Bratiane zarumieniła się lekko, co wywołało ogólną zazdrość pośród pań. Bezwątpienia Lamarthe zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie wywarły jego słowa. Wracając na swoje miejsce spostrzegł, że hrabia Rudolf von Bernhaus siada obok pani de Frémines.

Ona czyniła mu widocznie jakieś zwierzenia, a oboje uśmiechali się, jak gdyby poufna ta rozmowa zarówno ich zachwycała. Mariolle coraz bardziej posępny usunął się we framugę drzwi. Powieściopisarz przyłączył się do niego. Otyły Fresnel, Jerzy de Maltry, baron de Gravil i hrabia de Marantin otaczali panią de Burne, która stojąc, podawała gościom herbatę. Zdawała się okoloną wieńcem wielbicieli. — Taką przynajmniej ironiczną uwagę uczynił Lamarthe, dodając:

— Korona, bez drogich kamieni coprawda, i jestem pewien, że oddałaby chętnie wszystkie te fałszywe szkiełka za jeden brylant, którego jej brak.

— Jaki brylant? — zapytał Mariolle.

— Bernhaus, piękny, czarujący, niedościgniony Bernhaus, na którego cześć wydano dzisiejszy wieczór i dokazano cudu namówienia Massivala, aby pozwolił odśpiewać tutaj swoją „Dydonę“, florentyjską.

Mariolle nie dowierzając słowom przyjaciela, uczuł jednak bolesny skurcz serca.

— Czy go zna oddawna? — zapytał.

— O nie! od dziesięciu dni dopiero. Ale w ciągu tej krótkiej kampanji poniosła nie mało trudów i złożyła dowody świetnej taktyki wojennej. Gdybyś tu był, uśmiełbyś się serdecznie.

— Dlaczego?

— Spotkała go po raz pierwszy u pani de

Frémines. Ja również byłem wtedy obecny. Bernhaus bywa tam bardzo często, o czym się łatwo przekonać, patrząc nań w tej chwili... Otóż natychmiast po powitaniu, nasza piękna przyjaciółka przedsięwzięła wyprawę na podbicie jedynego austriaka. Udaje jej się to dotąd i uda niezawodnie, chociaż pani de Frémines przewyższa ją chytrą, chłodem i być może przewrotnością także. Ale pani de Burne posiada więcej kokieterji, więcej kobiecości; jest w całym znaczeniu tego wyrazu kobietą nowoczesną, pociągającą sztucznym urokiem, który zastępuje teraz dawny wdzięk wrodzony. Właściwie jest to nie sztuczność lecz estetyka, głębokie poczucie estetyki kobiecej. Cała jej siła na tem polega. Zna się doskonale, gdyż ceni się nadewszystko — i nie myli się nigdy w wyborze broni najlepszej, zapomocą której najłatwiej nas podbije.

— Wpadasz w przesadę, mój drogi; — ze mną postępowała zawsze z wielką prostotą.

— Ponieważ prostota najsilniej na ciebie oddziaływa. Zresztą nie chcę jej obmawiać; uważam ją nawet za wyższą od wielu innych. Ale bądź co bądź, nie są to kobiety.

Akordy Massivala przerwały dalszą rozmowę. Pani de Bratiane odśpiewała drugą część poematu jak prawdziwa Dydona, miotana fizyczną miłością i rozpaczą po jej utracie.

Lamarthe nie spuszczał jednak z oka pani de

Frémines, rozmawiającej szeptem z hrabią von Bernhaus.

Gdy ostatnie dźwięki fortepianu przebrzmiały wśród oklasków, podjął znów tonem gniewnym, jak gdyby w dalszym toku dyskusji odpierał zarzuty przeciwnika:

— Nie, to nie są kobiety. Najuczciwsze z nich to bezwiedne kabotynki. Im więcej je poznaję, tem mniej odczuwam owo rozkoszne upojenie, którem powinna nas przejmować prawdziwa kobiecość. I one upajają także, ale oddziaływując jedynie na nerwy. Bardzo to zresztą przyjemne, ale nie da się równać z prawdziwym winem dawnych czasów. Co do mnie, to jestem zdania: celem życia kobiety jest kochać i mieć dzieci. Wtedy tylko najszlachetniejsze, najwznioślejsze pierwiastki jej charakteru rozwinąć się mogą w całej pełni. Podzielam najzupełniej poglądy Prudhomme'a. Otóż nasze kobiety nie umieją kochać i nie chcą mieć dzieci, jeżeli zaś która przez brak ostrożności... zostanie matką, uważa to za nieszczęście i ciężar. Doprawdy, że to potwory!

Zdziwiony gwałtownem uniesieniem powieściopisarza i oburzeniem malującym się w jego oczach, Mariolle zapytał:

— Dlaczego więc spędzasz połowę życia koło spodniczek?

— Dlaczego? — żywo odparł Lamarthe. — Dlaczego? Dlatego, że mnie to zajmuje. A zresztą

czy można wzbronić lekarzowi wstępu do szpitala, gdzie czyni obserwacje na chorymi? Kobiety — to moja klinika!

Refleksja ta uspokoiła go widocznie. Po chwili dodał łagodniej:

— A przytem podobają mi się dlatego, że są tak bardzo nowoczesne. W gruncie rzeczy ja także nie jestem mężczyzną, podobnie jak one nie są kobietami. Przywiązawszy się mniej lub więcej do jednej z nich, bawię się odkrywaniem i rozważaniem wszystkich przyczyn, które stopniowo rodzą we mnie obojętność, a czynię to z ciekawością chemika zażywającego różne trucizny, dla eksperymentu.

Po chwili milczenia podjął znowu:

— Dzięki temu, jestem pewny, że żadnej nie dam się złapać. Jestem równie dobrym graczem jak one... lepszym nawet, bo zużytkowuję to w moich utworach, im zaś cała ta komedia na nic się nie zda. Jakież one głupie! Jeżeli która z tych czarujących kabotynek kocha po swojemu, to umiera ze zgrzyoty, lub starzeje się przedwcześnie.

Słuchając tych słów, Mariolle czuł, że ogarnia go smutek niewypowiedziany, podobny do szarej melancholji dżdżystych dni. Wiedział, że powieściopisarz miał poniekąd słuszność, nie chciał jednak przyznać, aby zdanie jego w zupełności było prawdziwem.

Podrażniony nieco, rozpoczął dyskusję, nietyle

w obronie kobiet, ile dla wykazania, że we współczesnej literaturze kryje się źródło ich zmienności i rozczarowania.

— W epoce, gdy powieściopisarze i poeci rozniecali w nich egzaltację, kobiety instynktownie szukały w życiu równoważnika tego, co ich serce odkrywało w literaturze. Dziś dokładacie wszelkich usiłowań, by zniweczyć wszystko, co miało pozór poezji lub uroku, stawiając przed oczy nagą tylko rzeczywistość. Otóż mój drogi: niema miłości w książkach, i niema jej w życiu. Tworzyliście ideały — one wierzyły waszym mrzonkom. Obecnie jesteście odtwórcami rzeczywistości, a one, idąc za waszym przykładem, wierzą, że wszystko jest pospolitem i powszedniem.

Lamarthe, którego dyskusje literackie wprawiały zawsze w dobry humor, chciał odeprzeć ten zarzut, gdy pani de Burne zbliżyła się do nich.

Miała jeden ze swych pięknych dni, ubrana czarująco, o wyrazie hardym, wyzywającym, wywołanym poczuciem walki. Usiadła obok nich.

— Oto co lubię; zaskoczyć znienacka dwóch mężczyzn, rozmawiających z sobą! Zresztą wy jesteście tu dziś jedyni interesujący ludzie. O cóż się spieracie?

Lamarthe całkiem swobodnie wtajemniczył ją w przedmiot dyskusji, poczem tonem żartobliwej galanterji, z zapalem podwojonym chęcią

popisu, jaką obecność kobiety wzbudza we wszystkich ludziach żądnych sławy, coraz to nowe przytaczał argumenta.

Kwestja ta żywo ją zajęła i z wielkim dowcipem i finezią, stanęła w obronie kobiety nowoczesnej. Kilka wyrzeczonych przez nią, a niezrozumiałych dla powieściopisarza zdań o stałości uczuć, do której mogą być zdolnemi najzmienniejsze nawet kobiety, przyspieszyło tętno w sercu Mariolle'a. To też gdy odeszła, aby usiąść obok pani de Frémines, której hrabia von Bernhaus nie odstąpił dotąd ani na chwilę, Lamarthe i Mariolle jednogłośnie uznali ją za niezrównaną.

— Spójrz na nią teraz! — rzekł powieściopisarz. — Odbywał się wielki pojedynek. O czem one rozmawiały obydwie z hrabią von Bernhaus? Pani de Burne nadeszła w chwili, w której najprzyjemniejsza nawet rozmowa sam na sam zaczyna wreszcie nużyć; przerwała ją więc, opowiadając z udawanem oburzeniem to, co słyszała z ust Lamarthe'a. Wszystkie te zarzuty można było skierować do pani de Frémines; wszystko to stanowiło wynik świeżo przez nią odniesionego zwycięstwa, wszystko zostało powtórzone wobec człowieka bardzo subtelnego, który doskonale wszystko rozumiał. Wszczęła się znów dyskusja o nigdy niewyczerpanej kwestji miłości i pani domu zawezwała do siebie Lamarthea i Mariolle'a. Gdy spór stawał się coraz gorętszym, wszyscy goście zapragnęli wziąć w nim udział.

Nastąpiła teraz ogólna dyskusja, w której każdy miał coś do powiedzenia, a pani de Burne, piękniejsza niż kiedykolwiek i niezwykle ożywiona, zdołała oczarować wszystkich wesołością i dowcipem, z jakim wypowiadała bardzo zabawne... choć być może, niezupełnie szczere poglądy o ludzkich uczuciach.

IV.

Gdy Andrzej Mariolle pożegnał panią de Burne, gdy odurzający czar jej obecności przestał działać, uczuł w sobie samym i w otoczeniu, w duszy, ciele i całej atmosferze świata nagłe zniknięcie owej rozkoszy życia, która podtrzymywała go i ożywiała od pewnego czasu.

Co się stało? Nic, nic prawie! Pod koniec wieczoru była dlań czarująca, mówiąc mu kilkakrotnie spojrzeniem: „Dla mnie niema tu nikogo, oprócz ciebie“. A jednak czuł, że dzisiejszego wieczoru odsłoniła przed nim tajemnice, o których pragnąłby nie dowiedzieć się nigdy. I to także było niczem... niczem prawie, a przecież ogarnęło go takie przerażenie, jakiego doznałby człowiek, odkrywszy czyn haniebny swego ojca lub matki. Dowiedział się, że podczas tych dwudziestu dni, gdy on każdą minutę poświęcał jej — ich nowo zrodzonemu uczuciu — ona wiodła dawne życie, oddawała wizyty, układała plany na przyszłość, toczyła owe wstrętne walki salo-

nowe, pokonywała współzawodniczki, podbijała serca mężczyzn, słuchała łaskawie pochwał, ubiegała się o triumfy, roztaczała tak samo swe wdzięki przed innymi jak przed nim.

Jakto, już? W tak krótkim czasie? O, nie dziwiłby się wcale, gdyby to nastąpiło było później. Znajac świat, kobiety i uczucia, będąc dość wykształconym, aby wszystko rozumieć, nie stawiałby wygórowanych żądań, ani też dręczył się urojonym niepokojem. Była piękna, urodzona do przyjmowania i słuchania hymnów pochwalnych. Wybrała go z pośród wszystkich, oddała mu się śmiało, dobrowolnie, po królewsku. Czuł, że na zawsze pozostać musi niewolnikiem wdzięcznym i biernym. A jednak nieokreślony ból jakiś tkwił w tej ciemnej pieczarze, gdzie kryją się uczucia najsubtelniejsze.

Mylił się bezwątpienia i odkąd mógł sięgnąć pamięcią, zawsze ten sam błąd popełniał. Szedł przez życie zbyt analizując wszelkie uczucia. Naskórek jego duszy był zbyt delikatny, powodując owo osamotnienie, w którym zamykał się z obawy bliższego zetknięcia z ludźmi i rozczarowania. Mylił się, bo przykrości takie stąd przeważnie pochodzą, że nie chcemy zrozumieć u drugich natury wręcz przeciwnej. Mariolle wiedział o tem z obserwacji życiowej, nie mógł jednak do gruntu przeistoczyć własnej osoby.

Właściwie nie miał on nic do zarzucenia pani de Burne: jeżeli bowiem trzymała go zdala od

swego salonu, podczas owych dni pełnych niewypowiedzianej szczęśliwości, to dlatego jedynie, aby odwrócić uwagę publiczną i zabezpieczyć łączące ich węzły. Skąd więc ten głęboki smutek, który wkradł mu się do serca? Skąd? Ach! Stąd jedynie, iż łudził się dotychczas, że ona w zupełności do niego należy, a teraz nagle odgadł, że nigdy nie zdoła objąć w wyłączne posiadanie kobiety, należącej do całego świata.

Wiedział zresztą dobrze, że całe życie jest mniej więcej takie i dotąd się z tem godził, ukrywając niezadowolenie z połowicznego zaspokojenia pragnień płynące, pod dobrowolnem odcinaniem się od świata. Tym razem jednak mniemał, że posiadzie wreszcie ową „pełnię“, która na tym świecie nie istnieje.

Wieczór miał melancholijny; starał się jednak rozmyślaniami nad przyczyną smutku osłabić tłoczący go ciężar.

Przywykły do zdawania sobie sprawy z natury wszystkich stanów psychicznych, usiłował wysledzić przyczynę tego nowego smutku, co tylko wzmagalo jego niepokoje. Rozwiewaly się i znów wracały, niby podmuchy wiatru mroźnego, przejmując go uczuciem bólu, zrazu słabego, nieznanego ale złowróźbnego, jak owe bóle newralgiczne, spowodowane niejednokrotnie przeciągiem, a zapowiadające gwałtowne ataki nerwowe.

Zrozumiał, że staje się zazdrosnym, nie jak egzaltowany kochanek, lecz jak samiec żądny

wyłącznego posiadania. Dopóki nie widział jej w otoczeniu innych mężczyzn, nie zdawał sobie sprawy z tej namiętności, a nawet przewidując ją poniekąd, mniemał, iż ujawni się ona w sposób całkiem inny. Teraz jednak dowiedziawszy się, że w ciągu tych kilku dni tajemnych schadek i pierwszych uścisków — okresu, który powinien był wzbudzić w niej chęć odosobnienia i płomiennych wzruszeń — więcej nawet niż przedtem bawiła się płochą kokieterją, tem szafowaniem samą sobą na korzyść pierwszego lepszego, uczuł, że zazdrość pali mu ciało raczej niż duszę — nie ta zazdrość nieokreślona, niby trawiąca gorączka, lecz całkiem konkretna nieufność do niej.

Z początku była to nieufność mimowiedna, niewiara tkwiąca raczej we krwi niż w umyśle, fizyczne niemal niezadowolenie człowieka, wątpiącego o wierności towarzyszki. Po wątpieniach nastąpiły podejrzenia.

W gruncie rzeczy kimże on był dla niej? Pierwszym czy też dziesiątym kochankiem? Następcą bezpośrednim pana de Burne? czy też Lamarthe'a, Massivala, Jerzego de Maltry? lub może poprzednikiem hrabiego von Bernhaus?... Co wiedział o niej? Że jest prześliczna, elegant-sza od innych, inteligentna, dowcipna, ale zmienna, niestała, zniechęcająca się szybko, zajęta nadewszystko sobą i niepowściągliwa kokietka. Miałaż przed nim jednego, a może kilku kochanków?

Gdyby ich nie była miała, czy byłaby się mu oddała niemal dobrowolnie? Czy miałyby odwagę otworzyć w hotelu drzwi jego pokoju? A następnie czy przystałaby tak chętnie na projekt spotkania się w Auteuil? Wszak przed przybyciem zadała mu tylko kilka pytań jako doświadczona i przezorna kobieta, poczem zgodziła się natychmiast, uspokojona zapewne wspomnieniami poprzednich miłostek.

Jak dyskretnie zapukała do bramy, w której on czekał niespokojny z bijącym sercem! Jak spokojnie weszła tam, troszcząc się o to jedynie, czy z sąsiednich domów nikt nie może jej poznać. Jak swobodną czuła się od pierwszej chwili w podejrzanem tem mieszkaniu, wynajętem i urządzonem jedynie dla schadzek. Najśmielsza nawet kobieta, gardząca wszelkimi przesądami, wyższa nad konwenansową moralność, czy zdołałaby zachować taki spokój, przybywając po raz pierwszy w życiu na schadzkę z kochankiem?

Czy nie doznałaby mimowolnego niepokoju, instynktownego zawahania się stóp, nie wiedzących, dokąd idą, gdyby nabyte już doświadczenie nie zatarło w niej wstydlivosti wrodzonej kobietom?

Rozgorączkowany cierpieniem moralnem potęgującym się jeszcze w gorącym łóżku, Mariolle przewracał się z boku na bok, jak człowiek staczający się z pochyłości, szarpany łańcuchem przypuszczeń. Chwilami usiłował przerwać ów

łańcuch, usiłował wynaleźć okoliczności łagodzące, odnajdywał je i rozkoszował się niemi; nic jednak nie zdołało powstrzymać rozwoju tego zarodka obawy, który w sercu jego zaczął kiełkować!

Bezstronnie sądząc, cóż jej miał do zarzucenia? Nic ponad to, że nie była podobną do niego, że inaczej zapatrywała się na życie, że nie posiadała w sercu uczuciowości na ten sam ton nastrojonej co jego.

Obudziwszy się nazajutrz, uczuł nieprzepartą chęć zobaczenia jej, wzmocnienia jej widokiem dawnej ufności. Z gorączkowym niepokojem równającym się męce głodu, oczekiwał chwili stosownej do złożenia oficjalnej wizyty. Wszedłszy do saloniku, zastał ją samą, zajętą pisaniem listów. Wyciągnęła doń obydwie dłonie.

— Jak się masz, mój drogi przyjacielu! — zawołała z radością tak szczerą i widoczną, że wszystkie ohydne przypuszczenia, których cień dotąd go zasępiał, pierzchły teraz bez śladu.

Usiadł przy niej i zaraz począł jej mówić o swej miłości: o zmianie zaszłej w jego uczuciach. Z czułością tłumaczył jej, że istnieją na ziemi dwa rodzaje kochanków: takich, którzy pożądają jak szaleńcy, a których zapal stygnie nazajutrz po odniesionem zwycięstwie, i takich, których fizyczne posiadanie przykuwa i zniewala, u których skojarzenie miłości zmysłowej z czysto

duchową, nieokreśloną tęsknotą serca, wytwarza wielką niewolę miłosną, bezwzględna i dręcząca.

Tak, bezwątpienia dręcząca, mimo szczęścia z niej płynącego, gdyż w najwyższym nawet miłości uniesieniu nic nie zdoła uśmierzyć tego pragnienia, rozbudzonego miłością do kobiety.

Pani de Burne słuchała z wdzięcznością, z zachwytem, z takim wzruszeniem, jakiego doznaje się w teatrze, gdy aktor po mistrzowsku odtwarza rolę, która wydaje nam się echem naszego własnego życia. W istocie było to echo szczerego, głębokiego uczucia, ale nie jej to serce biło takim uczuciem. Pomimo to jednak czuła głębokie zadowolenie, że zdołała wzbudzić podobne uczucia w człowieku, który tak dobrze umiał swą miłość wyrażać, który naprawdę bardzo się jej podobał, do którego przywiązała się szczerze, który stawał się coraz niezbędniejszym nie jej ciału, ale tej tajemniczej naturze kobiecej, żądnej miłości, hołdów i królowania... Czuła się tak zadowolona, iż ogarniała ją chęć uściskania go, podania mu ust, oddania mu się nawet całkowitego, aby tylko w dalszym ciągu śpiewał jej hymn uwielbienia.

Odpowiedziała mu bez prudencji i udawania, z niezrównaną zręcznością, niektórym kobietom właściwą dowodząc, że i on czyni w jej sercu postępy. Przypadkowo żaden gość nieproszony nie przerwał im rozmowy; siedzieli więc sam na sam do zmroku, wciąż mówiąc o tem samem,

pieszcząc się słowami, które dla każdego z nich inne miały znaczenie.

Zaledwie wniesiono lampę, weszła pani de Bratiane. Mariolle pożegnał się, a gdy pani de Burne odprowadziła go do pierwszego salonu, zapytał:

— Kiedyż cię tam zobaczę?

— Możeby w piątek?

— Dobrze. O której godzinie?

— Jak zawsze, o trzeciej.

— Do piątku zatem. Ubóstwiam cię.

Podczas następnych dwóch dni dzielących go od naznaczonej schadzki, Mariolle czuł w około siebie straszną, przerażającą pustkę, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał.

Brak mu było kobiety, a poza nią nic już dlań nie istniało. Że zaś kobieta ta była blisko, że mógł ją widzieć, a tylko względy konwenansu nie pozwalały mu pobiedz do niej na zawsze, więc uczucie osamotnienia w nieskończenie wlokących się chwilach, do szalu go doprowadzało, nie pozwalając mu się pogodzić z absolutną niemożliwością rzeczy tak łatwej.

W piątek przybył na schadzkę o trzy godziny zawcześniej, ale czekanie na nią tu, gdzie miała nadejść, uspakajało jego niepokój, po cierpieniu wyczekiwania jej tam, gdzie przybyć nie mogła.

Stał w bramie długo przed uderzeniem trzeciej, a gdy wreszcie wybiła, zaczął drżeć z niecierpliwości... Wybił kwadrans. Ostrożnie uchyliwszy bramę, wysunął głowę i zapuścił wzrok w głąb

uliczki. Była pusta. Minuta każda wydawała mu się torturą. Co chwila spoglądał na zegarek, a gdy wskazówki dobiegały już do pół do czwartej, doznał uczucia, jak gdyby tu czekał od wieków. Nagle odgłos lekkich kroków po bruku a potem delikatne stukanie do bramy położyło kres jego rozpaczy, ustępującej miejsca niewymownej wdzięczności.

— Czy bardzo się spóźniłam? — spytała nieco zadyszana.

— O, nie!

— Wyobraź sobie, myślałam, że wcale już nie przyjdę. Mnóstwo gości zeszło się niespodzianie i nie wiedziałam w jaki sposób się ich pozbyć. Powiedz, czy nająłeś to mieszkanie pod prawdziwym nazwiskiem?

— Nie. Dlaczego o to pytasz?

— Abym mogła cię zawiadomić w razie, gdyby zaszła jakaś nieprzewidziana przeszkoda.

— Nazywam się tutaj Nicolle.

— Dobrze. Zapamiętam. Boże! jak tu ślicznie w tym ogródku!

Kwiaty starannie utrzymywane i wciąż odnawiane przez ogrodnika, który widział, że Mariolle płaci bez wahania, zdobiły trawnik pięcioma wspaniałymi klombami.

Zatrzymawszy się przed ławką obok grządki heljotropów, rzekła:

— Usiądźmy tutaj — muszę ci opowiedzieć coś bardzo zabawnego.

I opowiedziała mu zdarzenie, które ją widocznie mocno zajmowało. Zona Massivala, a dawna jego kochanka, nie mogąc dłużej pohamować swej zazdrości, wpadła niespodzianie pewnego wieczoru do pani de Bratiane. Zastawszy męża akompaniującego margrabinie, wyprawiała mu okropną scenę ku najwyższemu oburzeniu włoszki, a radości gości.

Ochłonawszy z przerażenia, Massival usiłował uspokoić i wyprowadzić żonę, ta jednak biła go po twarzy, kąsała, ciągnęła za brodę i wąsy, szarpała na nim ubranie. Przyczepiła się do niego jak kleszcz i dopiero Lamarthe z pomocą dwóch służących wyzwolił nieszczęśliwego ze szponów tej furji. Spokój przywróconym został dopiero po oddaleniu się małżonków. Muzyk stał się odtąd niewidzialnym, ale powieściopisarz, naoczny świadek tej sceny, opowiada ją wszystkim w sposób bardzo zabawny i dowcipny.

Zdarzenie to zaprzętało umysł pani de Burne do tego stopnia, że ani na chwilę nie mogła o niem zapomnieć. Co chwila powtarzała nazwisko Massivala i Lamarthe'a, co niewymownie drażniło Mariolle'a.

— Teraz się o tem dowiedziałaś? — zapytał.

— Przed godziną niespełna.

„Rozumiem teraz, dlaczego się spóźniłaś“ — z goryczą pomyślał Mariolle.

— Może wejdziemy do mieszkania?

— I owszem — odparła z roztargnieniem.

A gdy usprawiedliwiając się brakiem czasu w godzinę potem odeszła, Mariolle powrócił sam do pustego domku i opadł na taburet. Całą jego istotę ogarnęło teraz takie wrażenie, jak gdyby mu się wcale nie była oddała, jakby tu nawet nie była. Zapuszczając wzrok w głąb własnego serca, dostrzegł tam czarną, bezdenną przepaść. Rozmyślał, zastanawiał się i nic zrozumieć nie mógł. Jeśli poddawała się jego pocałunkom, to skutkiem braku woli całkowitego oddania się, nie poddawała się jego uczuciom. Nie stawiała oporu, nie wzbraniała mu pieścizot; zdawało się jednak, że serce jej błąkało się daleko, zajęte błahostkami.

Teraz dopiero zrozumiał, że kocha ją zmysłami zarówno jak sercem, a może nawet więcej. Zawód, z pieścizot nieodwzajemnianych płynący, budził w nim nieprzepartą chęć pójścia za nią, sprowadzenia ją poraz drugi i pochwycenia znów w ramiona. Ale po co? w jakim celu, skoro ruchliwa fala jej myśli płynęła dziś w innym kierunku! Należało czekać cierpliwie chwili i godziny, gdy wśród innych kaprysów zmienna władczyni uczuje kaprys podzielenia jego zapałów miłosnych.

Wracał do domu wolnym, ociążałym krokiem, z głową pochyloną ku ziemi, znużony życiem. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że nie umówili się co do następnej schadzki, ani w jej domu ani gdzieindziej.

V.

Niemal do zimy stawiała się wiernie na każdą schadzkę. Wiernie — ale nie o ściśle oznaczonej porze.

Podczas trzech pierwszych miesięcy opóźnienia te wahały się od trzech kwadransy do dwóch godzin. Zmuszony z powodu słońc jesiennych do wyczekiwania jej pod parasolem u furtki ogrodu, grzął w błocie, do szpiku kości przejęty chłodem. Mariolle, nie chcąc nabawiać się kataru za każdym spotkaniem, kazał zbudować rodzaj kiosku a raczej krytego korytarza. Drzewa utraciły już zieloną szatę. Zamiast róż słały się teraz na grządkach białe, różowe, fioletowe, purpurowe i żółte chryzantemy, wielkie, szlachetne kwiaty kończącego się sezonu — napelniając balsamiczną lecz ostrą nieco i smutną wonią powietrze, przesycone melancholją konających wilgotnych liści. Przed drzwiami domku rzadkie gatunki kwiatów sztuką wyhodowane, tworzyły krzyż maltański o delikatnych, mieniących się odcieniach. Pomysł to był ogrodnika, a Mariolle przechodząc koło tego klombu, na którym rozkwitły nowe zachwycające odmiany, nie mógł się oprzeć bolesnej myśli, że ten krzyż z kwiatów wznosi się nad grobowcem ich miłości.

Ileż to czasu spędzał teraz samotnie w kiosku koło furtki! Krople deszczu spadały na strzechę dachu, ściekały zwolna po ścianach z desek, a on

za każdą nową bytnością w tej świątyni oczekiwania te same snuł refleksje, te same podejmował rozumowania, doznawał tych samych nadziei, obaw i rozczarowań.

Była to dla niego walka niespodziana a ustawiczna — walka moralna, zacięta, wyczerpująca, z czemś nieuchwytnem a być może wcale nieistniejącem; z uczuciem tej kobiety. Jakże dziwne były teraz ich schadzki.

Niekiedy przybywała ożywiona, uśmiechnięta, siadała nie zdejmując kapelusza ani rękawiczek, nie podnosząc woalki, nie uściskawszy go nawet. W takich dniach nie myślała nawet o pieśczołach, umysł jej zaprzętało tysiące spraw ważniejszych niżeli chęć podania ust kochankowi, którego palił żar namiętnego pożądania. Mariolle siadał obok niej z sercem przepełnionem gorącemi wyrazy, nie mogącemi mu wybiedz na usta; słuchał, odpowiadał i udając pozorne zajęcie rozmową, którą ona podawała mu jakby bezwiednie, chłodno, po przyjacielsku.

Niekiedy znów wydawała mu się czulszą, więcej mu oddaną: ale on patrząc na nią niepokojnem, badawczem okiem kochanka, czuł, że nigdy nie będzie w zupełności panem jej serca, rozumiał, odgadywał, iż względna jej serdeczność stąd jedynie wynika, że nikt, ani nic, nie zaprzętało w danej chwili jej umysłu.

Zresztą te ciągle jej spaźniania się wymownie przekonywały Mariolle'a, że nie przywiązywała

wiele wagi do tych spotkań. Spieszymy ku temu, co kochamy, co nas pociąga; przeciwnie zaś sądzimy, iż nigdy nie spóźnimy się tam, gdzie nic nas nie pociąga, i pod najbliższym pozorem odwlekamy przykrą ową chwilę. Mimowoli nasuwało mu się porównanie: w lecie, pragnąc ochłody, ubierał się jak najprędzej i biegł do kąpieli, aby orzeźwić się zimną wodą; w zimie zaś znajdował tysiące błahych zajęć, które zatrzymywały go w domu i nieraz wychodził o godzinę później. Dla niej schadzki w Auteuil równie były niemiłymi, jak zimny tusz podczas mrozów.

Od pewnego czasu zresztą odkładała coraz częściej te schadzki do dnia następnego; w ostatniej chwili zawiadamiała go, że nie przyjdzie, zdawała się wyszukiwać przeszkody, które podług niej były zawsze uzasadnione, jego zaś wprawiały w stan fizycznego rozdrażnienia i moralnego niepokoju.

Gdyby okazała jakieś zobojętnienie lub znużenie tem uczuciem, które u niego z dniem każdym rosło i potężniało, byłby się może w pierwszej chwili oburzył, następnie zniechęcił, wreszcie ochłonał i uspokoił. Ale ona przeciwnie zdawała się dbać o jego miłość coraz więcej i być coraz więcej doń przywiązaną, nie dając mu w zamian nic, prócz dowodów przyjaźni, które zaczynały wzbudzać zazdrość w innych jej wielbicielach.

U siebie pragnęła go widywać coraz częściej; bilecik tłumaczący niemożność przybycia do Au-

teuil, zawierał zazwyczaj zaproszenie na obiad lub na wieczór. Z początku sądził, iż zaproszenia te stanowią jakoby odszkodowanie za nieprzybycie do Auteuil; wkrótce jednak zrozumiał, że ona w istocie pragnęła jego widoku, jego hołdów, czułych spojrzeń i dyskretnej pieśczoły; podobnie jak posąg, aby stać się bogiem, potrzebuje wiary i modlitwy. W pustej kaplicy jest on tylko kawałkiem rzeźbionego drzewa. Zaledwie jednak wierny przestąpi próg świątyni i z czołem ku ziemi schylonem modli się szczerze, gorąco, martwy posąg przeistacza się w Bramę, Allaha lub Jezusa, gdyż każda istota kochana jest poniekąd bóstwem.

Więcej niż ktokolwiek inny, pani de Burne czuła się powołana do roli fetysza, do posłannictwa nadanego kobietom przez naturę: do odbierania czci bałwochwalczej i triumfowania nad mężczyznami urodą, wdziękiem i zalotnością.

W istocie była to dumna, wyniosła i wymagająca bogini, którą miłosny kult mężczyzn wprawia w dumę i przebóstwia mocą kadzideł.

Nie tała się jednak ze swą sympatją dla Mariolle'a, jawnie okazując mu swą życzliwość i nie troszcząc się o podejrzenia ludzkie; być może zresztą, że w głębi serca pragnęła rozdrażnić i podniecić innych wielbicieli. O każdej prawie porze dnia zastawano go u niej siedzącego w dużym fotelu, który Lamarthe nazywał: „stallą asystenta“; z prawdziwą też przyjemnością spę-

działa z nim sam na sam długie wieczory na rozmowie lub słuchaniu jego słów.

Powoli nabierała zamiłowania do bliskiego obcowania z tym człowiekiem przyjemnym, rozumnym, wykształconym, który do niej należał, który był jej własnością, podobnie jak cacka rozrzucone na stole. W poufnych zwierzeniach zaczynała dzielić z nim swe myśli tajemne, odkrywać głąb swej istoty w zwierzeniach równie miłych dla zwierzającego się jak dla słuchającego. Czuli się z nim szczerzą, swobodniejszą niż z innymi i więcej go też kochała.

Po raz pierwszy w życiu doznawała tak miłego kobietom wrażenia, że w istocie odpłaca czemśkolwiek za przywiązanie, że oddaje wszystko czem rozporządzać może, czego dotąd nigdy nie czyniła.

Z jej strony znaczyło to wiele — jemu było jednak za mało. Nie tracąc nadziei, oczekiwał wciąż stanowczego przełomu, chwili, w której odda mu całą duszę w upojeniu miłosnem.

Jej natomiast upojenia te wydawały się dodatkiem zbytecznym, kłopotliwym, przykrym nawet. Poddawała się jego pieścizotom, lecz szybko nużyła się niemi, a znużenie to musiało bezwątpienia rodzić w niej nudę.

Najlżejsza nawet pieścizota męczyła ją i drażniła. Gdy podczas rozmowy podnosił do ust jej rękę i całując jeden po drugim końce delikatnych paluszków, obejmował je wargami, jak

cukierki, mimowoli pragnęła wycofać rękę, a on czuł ten jej odruch tajemny.

Gdy w chwili pożegnania składał na jej szyji tajemny długi pocałunek, pragnąc upoić się rozkoszną wonią tkaniny bezpośrednio przylegającej do ciała, zawsze odrzucała w tył głowę, a skóra jej zdawała się wymykać z pod jego ust.

Spostrzeżenia te niewypowiedzianym bólem ścisnęły mu serce, a rany te krwawiły w osamotnieniu. Dlaczegoż przez czas krótki przynajmniej nie widział w niej tej namiętności, która u wszystkich prawie kobiet przejawia się po dobrowolnym i bezinteresownym oddaniu się kochankowi?

Okres taki bywa krótki, szybko następuje po nim znużenie, a potem niesmak. Ale jakże rzadko się zdarza, by nie trwał chociażby dnia a bodaj godziny! Tymczasem ta kobieta zrobiła z niego nie kochanka, ale inteligentnego towarzysza życia.

Czemu się więc uskarża? Kobiety oddające się całkowicie, nie zawsze ofiarowują tyle, co ona.

On się nie uskarżał, ale się lękał. Lękał się, że ona jutro lub pojutrze spotkać może jakiegoś salonowca, oficera, artystę, kabotyna, słowem pierwszego lepszego przybłędę, który stworzony do podobania się kobietom, i jej się także spodoba, bez innej przyczyny nad tę, że będzie

tym, który rozbudzi w niej po raz pierwszy nieprzeparte pożądanie pieszczot i uścisków.

Stawał się już zazdrosnym o przyszłość, podobnie jak chwilami bywał zazdrosnym o przeszłość, której nie znał; podobnie jak inni wielbiciel młodą kobietę zaczynali być zazdrosnymi o niego. Napomykali już o tem między sobą, a nawet wobec niej oględnie i dyskretnie wyrażali swe domysły. Jedni twierdzili, że Mariolle jest jej kochankiem; inni podzielając zdanie Lamarthe'a, utrzymywali, że ona bawi się nim tylko po to, aby ich podrażnić. Nawet ojciec zaniepokojony, kilkakrotnie czynił jej uwagi, które przyjmowała z wyniosłą obojętnością. Zdawałoby się, że wbrew wszelkiej przezorności, której dotychczas bacznie przestrzegała, tem jawniej okazywała Andrzejowi swę przywiązanie, im więcej o tem szemrano.

On jednak lękał się tych głuchych podejrzeń. Wreszcie wyraził jej swe obawy.

— Co mnie to obchodzi — odparła.

— Ach! gdybyś przynajmniej kochała mnie prawdziwie!

— Alboż cię nie kocham, mój drogi przyjacielu?

— Tak i nie; kochasz mnie u siebie, a nie kochasz gdzieindziej. Przez wzgląd na siebie, a nawet i na ciebie po części, wolałbym, aby było przeciwnie.

— Każdy czyni co może — szeptała z uśmiechem.

— Ach! gdybyś wiedziała ile mnie kosztują bezskuteczne usiłowania rozniecenia w tobie namiętności. Chwilami wydaje mi się, że tulę do serca bryłę lodu, która, topniejąc, mnie chłodem przejmuje.

Nie odpowiadała, nie lubiąc tego tematu, i spoglądając na niego z takim roztargnieniem, jak nieraz w Auteuil.

Nie śmiał nalegać. Wpatrywał się w nią z takim zachwytem, z jakim miłośnik sztuki, zwiedzając muzeum, przygląda się drogocennym przedmiotom, walcząc z pokusą zabrania ich dla siebie.

Dnie i noce stały się dlań teraz ustawiczną męczarnią; ani na chwilę bowiem nie opuszczała go myśl — uporczywa, a raczej uczucie, że oddała mu się nie całkowicie, że zwyciężona, pozostała jednak niezwyciężoną. Żył przy niej, będąc zdala od niej i kochał ją całą siłą niczem nienasyconych pożądań ciała swego i duszy. Podobnie, jak w pierwszych tygodniach ich stosunku, zaczął znów do niej pisywać. Raz już przy pomocy atramentu odniósł zwycięstwo nad jej cnotą; może i teraz uda mu się przełamać opór ostatni... Przychodził rzadziej niż przedtem; natomiast w listach codziennie niemal pisywanych, malował jej bezskuteczność swoich usiłowań miłosnych. Ona odpowiadała mu tylko czasem, na listy,

tchnące rozpaczą lub namiętne uczuciem. Listy jej pisane rzekomo o późnej nocnej godzinie, bywały zawsze dobrze obmyślane, pełne oddania i otuchy, a zarazem do rozpacz doprowadzające. Rozumowała w nich logicznie, dowcipnie, a nawet wykazywała fantazję. Ale Mariolle na próżno je odczytywał, na próżno powtarzał sobie, że są to listy rozumne, zręczne, zadawalniające jego miłość własną: nie zadawalniały jego serca, dawały mu równie mało jak pocałunki w Auteuil.

Szukał przyczyny. I ucząc się listów jej na pamięć, wnikając w znaczenie każdego wyrazu, wszystko wreszcie zrozumiał; list bowiem najlepiej odsłania charakter piszącego. Słowo olśniewa i w błąd wprowadza, gdyż słuchając, patrzymy na mówiącą osobę, której usta podobają nam się, a oczy czarują. Ale czarne litery na białym papierze odsłaniają nam duszę w całej jej nagości.

Mężczyzna, wyćwiczony w retoryce, przez obowiązki zawodowe przyzwyczajony do zataiwania piórem wszelkich spraw, może zataić niekiedy swój charakter w prozie utilitarnej, literackiej, pozbawionej indywidualności. Kobieta zaś pisze po to jedynie, aby mówić o sobie i w każdy wyraz przelewa cząstkę swej duszy. Nie znając wybiegów stylowych, naiwnością wyrażen bezustannie się zdradza. Przypominał sobie wszystkie korespondencje i pamiętniki zna-

komitych kobiet; wszystkie nosiły cechę indywidualności autorek, inteligentek, amantek.

W listach pani de Burne uderzało go najwięcej to, że nigdy nie było w nich cienia uczuciowości. Ta kobieta myślała, nie czuła. Przypominał sobie inne listy, jakie kiedykolwiek otrzymał od kobiet. Przed paru laty młoda mieszcanka, którą poznał był w wagonie, a która kochała go przez trzy miesiące, pisywała do niego listki niewypowiedzianie cudne, serdeczne i rozrzewniające. Dziwił się nieraz, skąd ona posiadać mogła taką łatwość pióra, barwność i subtelność stylu. Czemu to przypisać? Jedyne jej wrażliwości. Kobieta nie układa pracowicie zdań, nie szpera po słownikach, lecz pisze, ulegając wrażeniu chwili. Jeżeli odczuwa silnie i gorąco, wyraża się trafnie i naturalnie, ze zmienną szczerością swej natury.

Tej właśnie szczerości Mariolle szukał nadaremnie w jej listach. Każde jej zdanie miłym było i zręcznym, ale czyż nie mogła dlań znaleźć nic innego? Wszak on znajdował dla niej słowa tak namiętne — palące!

Ilekroć lokaj przynosił do pokoju listy i gazety, Mariolle szukał oczyma koperty, zaadresowanej tak dobrze znanem mu pismem, a ujrawszy ją, drżał mimowoli, a serce tłukło mu się w piersiach. Brał list do ręki, raz jeszcze spoglądał na adres, wreszcie rozrywał kopertę. Co ona mu powie?... Czy znajdzie tu wyraz

„kocham“? Nigdy go nie wypowiedziała i nie napisała, bez dodatku „bardzo“. Więc „kocham cię bardzo“, lub: „Alboż cię nie kocham bardzo?“ Mariolle znał z doświadczenia te formułki, które tracą wszelkie znaczenie, właśnie przez owe określenie. Czy miłość da się mierzyć taką lub inną miarą? Czy można kochać bardzo lub niebardzo? Jakże nieudolnie kocha ten, kto kocha *bardzo*! Kochając, niepodobna kochać ani mniej, ani więcej. Niepodobna nic więcej wyrazić, ani wyobrazić sobie, ani powiedzieć, prócz „kocham“. Słowo krótkie, ale zawierające wszystko. Staje się ono duszą, ciałem, treścią życia, całą naszą istotą. Czujemy je jak ciepło własnej krwi, nosimy je w sobie jak zdolność myślenia, gdyż ono staje się myślą jedyną. Nie jest to słowo, ale stan ducha, wyrażony kilku literami. Kochając, musimy postępować, patrzeć, odczuwać, cierpieć inaczej, niż przedtem. Padłszy ofiarą krótkiego tego słowa, Mariolle przebiegał oczyma jej listy, szukając w nich odbicia uczuć własnych. Niestety! powtarzając niejednokrotnie: „Ona mnie *bardzo* kocha“ nie znajdował nigdy nic, coby mu pozwoliło powiedzieć: „Ona mnie kocha“. Korespondencja ta stanowiła dalszy ciąg miłego i poetycznego romansu, zawiązanego na górze św. Michała. Była to literatura miłosna, nie miłość.

Zmęczony wreszcie czytaniem i odczytywaniem tych drogich a jednak do rozpacz doprowadza-

jących listów, chował je do biurka i siadał w fotelu.

Spędził w nim już wiele ciężkich godzin.

Po jakimś czasie zaczęła odpisywać coraz rzadziej, znudzona zapewne układaniem zdań i koniecznością powtarzania ich w kółko. Zresztą pochłaniały ją teraz odowiazki damy światowej, co Andrzeja przejmowało smutkiem bezmiernym, jakim lada fakt niemiły napełnia serca zgnębione.

Z nadejściem zimy, Paryż cały utonął w wirze zabaw. Dorożki, powozy i karety mknęły nieustannie ulicami, uwożąc białe postacie w jasnych toaletach. Bawiono się, rozmawiano tylko o balach, teatrach, koncertach, porankach artystycznych. Zaraza ta ogarnęła wszystkie warstwy społeczne i pani de Burne również jej uległa.

Szereg jej triumfów rozpoczął się zwycięstwem na balu ambasady austriackiej. Hrabia von Bernhaus zapoznał ją z żoną ambasadora, księżną von Malten, którą pani de Burne wkrótce zdołała oczarować. Pozyskawszy w krótkim czasie przyjaźń księżnej, zdobyła liczne stosunki w świecie dyplomatycznym i arystokratycznym. Jej uroda, dowcip, inteligencja uczyniły ją modną, ogólnie znaną i wszystkie najbardziej utytułowane damy ubiegały się o zaszczyt złożenia jej wizyty.

Każdego poniedziałku długi szereg powozów z mitrami i hrabiowskimi koronami stawał przed bramą domu, przy ulicy General-Foy, a lokaje

tracili głowy, mieszając tytuły margrabin, hrabin lub baronowych.

Była upojona. Komplimenta, hołdy, zaproszenia, poczucie dumy, że stała się jedną z tych istot wybranych, które Paryż sławi, uwielbia i otacza, dopóki chwilowy zapał nie przeminie, wywoływały w jej duszy gwałtowny przełom snobizmu.

Stali jej wielbicielę zawarli tajne przymierze w celu odwrócenia grożącego niebezpieczeństwa i pojednali się między sobą. Fresnel nawet został przez nich przyjętym i stał się jednym z członków ligi, na czele której postawiono Mariolle'a, wiedząc, że on największy wpływ na nią wywiera, obdarzony szczególniejszemi względami.

On jednak widząc ją w wirze zabaw, odurzoną kadzidłami, patrzył na nią, jak dziecko spogląda za czerwonym balonikiem, który wypuściło z ręki.

Zdawało mu się, że ona ucieka w ten różnobarwny, strojny i rozbawiony tłum, że ucieka coraz dalej i dalej od szczęścia, o którym marzył; i czuł zazdrość do całego świata, mężczyzn, kobiet, wszystkiego. Z nienawiścią myślał o życiu, jakie ona prowadziła, o ludziach, których widywała, o balach, koncertach, teatrach, o wszystkim co pochłaniało jej dnie i wieczory: czuł, że ją traci z dniem każdym, bo teraz rzadko tylko miewała dlań chwile wolne. Cierpienia te podkopywały jego zdrowie i tak wyraźnie od-

biły się na twarzy, że pani de Burne spytała nareszcie:

— Co ci jest? Od jakiegoś czasu zmizerniałeś i zmieniłeś się ogromnie.

— Zanadto cię kocham — odrzekł.

— Nie można nigdy kochać zanadto — odparła, spoglądając na niego z wdzięcznością.

— I ty mi to powiadasz?

— Naturalnie.

— Czyż nie widzisz, że umieram z miłości nieodwzajemnionej?

— Po pierwsze, nie kochasz mnie bez wzajemności. Po drugie nikt jeszcze z tego nie umarł. Po trzecie wreszcie, wszyscy moi przyjaciele są o ciebie zazdrośni, co dowodzi, że nie najgorzej się z tobą obchodzę.

— Nie rozumiesz mnie! zawołał, ujmując jej rękę.

— Przeciwnie, rozumiem cię doskonale.

— Czyż nie słyszysz, z jaką rozpaczą odwołuję się do twego serca?

— I owszem, słyszę, ale...

— Ale?

— Sprawia mi przykrość, bo cię bardzo kocham.

— A zatem?

— A zatem, ty ciągle wołasz: „Bądź taką jak ja, myśl, czuj, wyrażaj się jak ja“. Ależ ja nie mogę, mój drogi przyjacielu. Jestem jaką jestem. Musisz mnie wziąć taką, jaką Bóg mnie stwo-

rzył, jaką ci się oddałam. Ja niczego nie żałuję i nie mam zamiaru się wycofać, bo kocham cię najwięcej ze wszystkich na świecie.

— Nie kochasz mnie!

— Kocham cię całą siłą uczucia, na jaką mnie stać. Jeżeli nie jest zbyt wielką, mojaż w tem wina?

— Gdybym mógł w to uwierzyć, byłbym może zadowolony.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Sądzę, że byłabyś zdolną kochać inaczej, ale że ja nie potrafię już wzbudzić w twem sercu miłości prawdziwej.

— Mylisz się, mój przyjacielu. Nikt nie był mi dotąd równie drogim jak ty i nikt równie drogim nie będzie... tak przynajmniej sądzą. W stosunku z tobą mam tę wielką zasługę, że nie kłamię, nie udaję, gdy bardzo wiele kobiet zachowałyby się inaczej. Bądź mi zatem wdzięcznym, nie trwóż się, nie dręcz napróżno, ale uwierz wreszcie w moje szczere i prawdziwe przywiązanie.

— Ach! cóż za dziwny sposób pojmowania miłości i mówienia o niej! — szepnął, widząc, że nic nie zdoła zapełnić dzielącej ich przepaści. Lubisz od czasu do czasu dość często nawet moje towarzystwo, ale nie pojmujesz, że ty dla mnie jesteś światem całym, że nikogo prócz ciebie nie znam i nie widzę, nikogo prócz ciebie nie pragnę.

Ona, uśmiechnąwszy się życzliwie, odrzekła:

— Wiem o tem, odgaduję i rozumię to nawet. Pragnę, abys mnie zawsze kochał równie gorąco, jeżeli to jest możliwem, bo mnie to uszczęśliwia, ale zarazem nie zmuszaj mnie do odgrywania komedji, któraby mi przykrość sprawiała i byłaby niegodną nas obojga. Od pewnego czasu przeczuwałam już ten przełom. Boli mnie to, ponieważ szczerze się do ciebie przywiązałam, ale nie mogę przełamać swej natury i uczynić się twem odbiciem. Bierz mnie taką jaką jestem.

Nagle Mariolle zapytał:

— Czy kiedykolwiek chociażby przez dzień jeden, chociażby przez godzinę pomyślałaś, iż mogłabyś mnie kochać inaczej?

Zakłopotana tem pytaniem milczała.

On z niepokojem oczekując odpowiedzi, podjął znowu:

— Widzisz więc, że sama marzyłaś także o czemś innem.

— Mogłam łudzić się chwilowo co do siebie samej.

— Ach! ileż tu finezji i psychologji! — zawołał. — W porywach serca człowiek nie rozumuje!

Ona umilkła znowu, zaciekawiona własną myślą, tym zwrotem w głąb siebie samej, wreszcie odrzekła:

— Być może, że zanim pokochałam cię jak kocham cię teraz... mogłam na chwilę przypu-

szczać, że w uczuciu mojem byłoby więcej zapachu, ale w takim razie kto wie, czy później nie stałabym się mniej szczerą i otwartą.

— Dlaczego mniej szczerą?

— Dlatego, że według ciebie miłość zawiera się w formule: „wszystko albo nic”; według mnie zaś formułka ta znaczy: „wszystko z początku, nic — później”. Z chwilą, w której następuje ta druga faza, kobieta zaczyna kłamać.

Mocno rozdrażniony odparł:

— Czy jednak nie pojmujesz, jaką męczarnią jest dla mnie myśl, że mogłabyś kochać mnie inaczej? Skoro sama to czułaś, prędzej lub później pokochasz tak kogoś innego.

— Nie sędzę — odparła bez namysłu.

— Dlaczego? — Skoro przeczuciem odgadłaś miłość, skoro wkradła ci się do serca ta nigdy nieurzeczywistniona a dręcząca nadzieja zjednoczenia życia swego, duszy i ciała z życiem, duszą i ciałem innego człowieka, skoro pojęłaś możliwość takiego uczucia, doznasz go niezawodnie wcześniej czy później.

— Nie. To wyobraźnia w błąd mnie wprowadziła, myląc się co do mej natury. Oddałam ci wszystko, czem rozporządzać mogę. Nieraz zastanawiałam się nad tem, odkąd zostałam twoją kochanką. Widzisz, że nie lękam się niczego... nawet wyrazów. W istocie jestem głęboko przekonana, że nie potrafiłabym kochać silniej ani lepiej niż ciebie Kocham. Mówię ci to

całkiem szczerze, jakbym mówiła do siebie. Czy-
nię to dlatego, że jesteś bardzo inteligentny, że
wszystko rozumiesz i odgadniesz, że zupełna
szczerść wobec ciebie wydaje mi się najlepszym,
jedynym nawet środkiem zacieśnienia i utrwale-
nia łączących nas węzłów. Chciałabym przynaj-
mniej w to uwierzyć, mój drogi przyjacielu.

Słuchał jej słów z taką chciwością, z jaką
człowiek konający z pragnienia wychyla szklanke
ożywczego napoju. Padł wreszcie na kolana,
i oparłszy czoło na drobnych jej rączkach, po-
wtarzał:

— Dziękuję ci! dziękuję!

— Gdy podniósł głowę, by na nią spojrzeć,
dostrzegł w jej oczach dwie duże łzy; potem
zarzuciła mu ręce na szyję, przytuliła się doń
i ucałowała go w powieki.

— Usiądź — rzekła łagodnie — popełniasz
nieostrożność, klęcząc tutaj u mych stóp.

Usiadł. Przez chwilę milczeli oboje, patrząc
na siebie. Ona pierwsza podjęła rozmowę py-
tając, czy nie zechciałby któregoś dnia za-
prowadzić ją na wystawę rzeźbiarza Prédole'a,
którego prace wzbudzały zachwyt ogólny. Po-
siadając w swym buduarze jedną z jego rzeźb,
przepysznego Amorka, który wlewał wodę do
wanny, pragnęła poznać inne prace tego artysty,
który od tygodnia stał się głośnym w Paryżu.

Naznaczywszy dzień i godzinę, Mariolle po-
żegnał ją wreszcie.

— Czy nie zechciałbyś przyjść jutro do Auteuil? — cichutko spytała.

— Ach! naturalnie!

Odszedł upojony radością... a jednak nie mógł odegnać z myśli tego „może“, nie zamierającego nigdy w sercach zakochanych.

VI.

Powóz pani de Burne mknął szybko przez ulicę de Grenelle. Ostatnia śnieżycą kwietniową uderzała z łoskotem o spuszczone szyby powozu i zaścielała ulice warstwą białych kulek. Przechodnie przyspieszali kroku, zasłaniając się parasolami i podnosząc kołnierze od paltotów. Po dwóch tygodniach prawdziwie wiosennej pogody, chwyciły znów przymrozki — ostatni pocisk zimy.

Oparłszy nogi na kamionce z wodą gorącą, otuliwszy się miękkim, delikatnym futrem, grzejącą ją poprzez suknie i pieszcząc jej skórę unikającą brutalnego dotknięcia, młoda kobieta myślała z przykrością, że za godzinę najdalej będzie musiała dorożką jechać do Auteuil.

W pierwszej chwili ogarnęła ją pokusa zawiadomienia go listownie, że przybyć nie może, ale od dwóch miesięcy przeszło przyrzekła sobie czynić to jak najrzadziej, starając się ze wszech sił pokochać go tak, jak on ją kochał.

Wzruszona widokiem jego cierpienia, współ-

czuciem zdjęta, starała się walczyć z własnem sercem i przez czas jakiś od chwili, gdy pocałowała go w oczy w przystępie rozrzewnienia, przywiązanie jej stało się naprawdę gorętsze.

Dziwiąc się mimowolnej swej oziębłości, zadawała sobie pytanie, dlaczego nie kocha go tak jak inne kobiety kochają swych kochanków, skoro przywiązała się do niego prawdziwie, skoro żaden mężczyzna nie podobał się jej więcej od niego.

Podobna opieszłość uczucia pochodzić mogła tylko z lenistwa serca, które siłą woli pokonać należało jak inne formy lenistwa.

Zaczęła się przełamywać. Próbowwała się podniecać myśląc o nim; rozmyślnie wprawiała się w stan wzruszenia, jadąc na schadzkę.

Udawało jej się to niekiedy taksamo, jak nam się udaje wprawić w strach, gdy w nocy myśleć zaczniemy o duchach lub upiorach.

Stopniowo, wzywając się w tę komedję namiętności, starała się być czulszą, pieśczośliwszą. Mariolle odchodził od zmysłów z nadmiaru szczęścia.

Sama uwierzyła wreszcie, że serce jej pała tą gorączką, która od tak dawna trawiła jego. Nadzieja miłości, która wydawała jej się możliwą do urzeczywistnienia owej nocy, gdy oddała mu się po raz pierwszy, nad zatoką św. Michała, odżyła znów w jej sercu, mniej ponętna, niespo- wita w mgłę poezji i ideału, ale wyrazietsza,

bardziej ludzka, wolna od złudzeń, skutkiem nabytego doświadczenia.

Napróżno wyczekiwała jednak tego uniesienia, tego wybuchu namiętności, który jak powiadają rodzi się w chwilach, gdy ciała splatają się uściskiem i łączą dusze; uniesienie to pozostało jej nieznanem.

Pomimo to wytrwale udawała namiętność, domagała się coraz częstszych schadzek, powtarzała mu: „Czuję, że kocham cię coraz bardziej“. Ogarniało ją jednak nieprzewyciężone znużenie, czuła, że nie potrafi nadal jego i samą siebie oszukiwać. Nie była obojętną na jego pocałunki a przecież ze zdziwieniem spostrzegła, że zaczynają ją nużyć. Nieokreślone jakieś uczucie niezadowolenia ogarniało ją stale, ilekroć nadszedł dzień schadzki w Auteuil. Dlaczegoż nie uczuwała podniecenia, dreszczu rozkoszy, jakim oczekiwanie uścisków kochanka przejmuje ciała innych kobiet? Ona poddawała się tym pieściztom, odpowiadała nawet na nie, z początku bierna, następnie zwyciężona i brutalną siłą pokonana, ale nigdy nie upojona. Czyżby delikatne, wypieszczone jej ciało, tak wyjątkowo wyrafinowane, zachowało dotąd wstydlivość, której nowoczesna jej dusza nie znała — wstydlivość zwierzęcia wyższego, uświęconego?

Mariolle stopniowo zrozumiał. Widział jak gąśnie sztuczny zapach, rozumiał, co ją skłoniło do

tej próby i głęboki śmiertelny smutek wpelznął mu w duszę.

Teraz i ona równie dobrze jak on wiedziała, że po nieudanej próbie wszelka nadzieja stracona. I dzisiaj oto, gdy otulona futrem, oparłszy nogi na gorącej flaszce, patrzyła na kulki gradu odbijające się od szyb powozu, nie czuła już w sobie odwagi podążenia w zimnej dorożce ku nieszczęśliwemu kochankowi.

Ani na chwilę nie przyszło jej na myśl, aby z nim zerwać lub wzbronić mu pieścizot i pocałunków. Wiedziała dobrze, że chcąc zdobyć całkowicie serce mężczyzny zakochanego, zachować go dla siebie, należy oddać mu się, przykuć łańcuchem miłości cielesnej. Fatalna to konieczność, ale logiczna i nieunikniona. Nawet uczciwość wymagała takiego postępowania, ona zaś chciała pozostać prawą, uczciwą kochanką. Będzie mu się więc nadal oddawać; poco jednak tak często? Czyż dla niego nawet schadzki te nie nabrałyby więcej uroku i powabu nowości, gdyby stały się rzadsze, stanowiąc szczęście najwyższe, którem szafować nie należało?

Ilekroć jechała do Auteuil, zdawało jej się, że składa mu w ofierze dar najcenniejszy, nieoszacowany. Kobieta, oddająca się z takim uczuciem, mniema zawsze, iż spełnia pewne poświęcenie: nie jest to upojenie niewolnicy, ale radość z uszczęśliwienia ukochanego i duma z poczucia swej wspaniałomyślności.

Przyszła nawet do przekonania, że miłość Andrzeja byłaby także trwalszą, bo post podnieca uczucie głodu, a żądza zmysłowa jest równie głodem. Doszedłszy do tego wniosku postanowiła pojechać wprawdzie do Auteuil, ale udawać cierpiącą. I nagle, pomimo zimna i wiatru, z zadowoleniem myśleć zaczęła o wycieczce. Nagła ta przemiana wytłomaczyła jej wymownie, dlaczego rzecz tak normalna, była jej tak przykrą. Wzdrygała się przed chwilą, przechodząc myślą tysiące przykrych a nieuniknionych szczegółów schadzki. Kłuła się szpilkami, z którymi nie umiała się obchodzić; nie mogła odnaleźć drobiazgów, rzuconych beładnie przy szybkim rozbieraniu się, z góry już rozdrażniona przymusem ubierania się bez panny służącej.

Zatrzymała się dłużej nad tą myślą, która po raz pierwszy zwróciła jej uwagę. Czyż takie uniesienie miłosne o stałej godzinie, naznaczone jak porada u lekarza lub interes, dzień lub dwa dni przedtem, nie było przykrem a nawet wstrętnem poniekąd? Nic naturalniejszego nad to, że kochankowie, spotkawszy się niespodzianie, po długiej, upajającej rozmowie, łączą namiętym pocałunkiem usta, pociągane, wabione urokiem wyznań czułych i gorących. Jakże odmiennymi były jednak te pocałunki, wpierw zapowiedziane, jak kiemi ją obsypywał raz na tydzień o ściśle określonej godzinie! Musiało tak być w istocie, bo nieraz w nieobecności Andrzeja, ogarniało ją

nieokreślone pragnienie ujrzenia go — pragnienie, którego nie czuła nigdy w dniu, gdy dążyła do Auteuil ukradkiem, jak złodziej, w brudnej drodze, roztargniona tysiącem drobnostek.

Ach! ta godzina schadzki! ileż to razy śledziła okiem ruch wskazówek na zegarach u wszystkich swoich znajomych: u pani de Frémines, u margrabiny de Bratiane, u pięknej pani Le Prieur, do których jeździła, nie chcąc spędzać poobiedzia w domu z obawy, aby niespodziana wizyta nie przeszkodziła jej stawić się o oznaczonej porze!

Nagle powiedziała sobie: „Dzisiaj urządzam bezrobocie — pojedę bardzo późno, aby go nie drażnić napróżno“. Pochyliwszy się nieco, otworzyła maleńką szafkę, zasłoniętą czarnym jedwabiem i umieszczoną na przodzie powozu, który sprawiał wrażenie buduaru kobiecego. Tylną ścianę tej szafki stanowiło zwierciadło na zawiasach. Za lustrem, w przedziałkach, wysłanych jedwabiem, stały różne przybory toaletowe: srebrna puszka do pudru, ołówek do ust, dwa flakoniki perfum, kałamarz, pióro, nożyczki, nożyk do przecinania papieru, wreszcie ostatnia powieść — lektura na drogę. Wiszący na bocznej ścianie zegareczek, wielkości i kształtu włoskiego orzecha, wskazywał godzinę czwartą.

— „Mam jeszcze godzinę czasu“ — pomyślała pani de Burne i przyłożywszy usta do tuby, rozkazała lokajowi, siedzącemu obok furmana:

— Do pałacu ambasady austriackiej!

Następnie spojrzała w lustro. Przeglądała się długo z takim zadowoleniem, jakiego doznajemy, spoglądając na najdroższą nam osobę, potem rozchyliła nieco futro, aby raz jeszcze ocenić piękność stanika. Nosiła tualetę zastosowaną do pory roku. Kołnierzyk z delikatnego białego puszku okalał jej szyję i spadając na ramiona przybierał szarawy odcień jak skrzydło ptaka. Kibić jej okalał także pasek z piór, nadający jej dziwny wygląd dzikiego ptaka. Na kapeluszu śmiało strzelała w górę egretka z piór, a cała jej piękna postać tak wyglądała, jakby wzlecieć miała ku niebu, zaciągniętemu ołowianemi chmurami.

Przeglądała się jeszcze w zwierciadle, gdy powóz stanął nagle przed wspaniałą bramą pałacu ambasady. Zapięła futro, zamknęła szafkę toaletową i gdy lokaj otworzył drzwiczki powozu, oświadczyła stangretowi:

— Wracaj do domu, nie jesteś mi potrzebnym.

Potem, zwracając się do kamerdynera stojącego przed bramą:

— Czy księżna w domu? — spytała.

— Tak, proszę pani.

Weszła w bramę, lekkim krokiem wbiegła na schody i udała się wprost do małego saloniku, w którym księżna de Malten pisała list.

Ujrawszy przyjaciółkę, ambasadorowa podniosła się z wyrazem radości w oczach, z uśmiechem na ustach. Ucałowały się serdecznie w po-

liczki i usta, poczem usiadły przed kominkiem, na dwóch niskich fotelikach. Kochały się bardzo, szukały nawzajem swego towarzystwa, rozumiały się doskonale, należąc do tego samego typu kobiet, wyrosłe w tej samej atmosferze, doznawały tych samych wrażeń, pomimo, że księżna de Malten była szwedką, zamężną za austriakiem. Czuły ku sobie dziwny a tajemniczy jakiś pociąg, dzięki czemu znajdowały prawdziwe zadowolenie w swem towarzystwie. Dniami całemi prowadziły nieraz z sobą blahe rozmowy, które jednak wydawały im się interesującemi, gdyż ujawniały im tożsamość upodobań i gustów.

— Widzisz, jak cię kocham! — mówiła pani de Burne. — Nie mogłam oprzeć się pokusie wstąpienia tutaj, chociaż wiedziałam, że przyjedziesz dziś do mnie na obiad.

— Odplacam ci się wzajemnością, moja droga — z uśmiechem odparła księżna.

Skutkiem nabytego przyzwyczajenia, starały się przypodobać sobie nawzajem, walczyły zwykłą bronią kokieterji — inną jednak niżeli wobec mężczyzn. Każda z nich widziała w drugiej nie przeciwnika, lecz współzawodniczkę.

Tak gawędząc, pani de Burne spoglądała co chwila na zegar. Wybiła piąta. On tam czeka od godziny. — „To dosyć“ — pomyślała, podnosząc się z fotelu.

— Już? — spytała księżna.

— Tak — szybko odrzekła pani de Burne —

spieszę się bardzo. Czekają na mnie i muszę się stawić, chociaż wolałabym zostać z tobą.

Uściskały się znowu, poczem pani de Burne kazała sprowadzić dorożkę i odjechała.

Zmęczony koń potykał się co chwila, z widocznym wysiłkiem ciągnąc stary powóz. Pani de Burne odczuwała takie samo zmęczenie; i jej droga ta wydawała się długą i ciężką do przebycia. Chwilami pocieszała się myślą zobaczenia Andrzeja, chwilami dręczył ją niepokój, czy zdoła uniknąć czekającej ją przykrości.

Stał w ogrodzie, skostniały z zimna. Wicher świszcział przeraźliwie, gnąc ku ziemi gałęzie. Kulki gradu dzwoniły o parasol. Nogi grzęzły w błocie, gdy podążali do pawilonu.

Ogród wydawał się martwy, ponury i niewypowiedzianie smutny. Andrzej był blady, wyraz cierpienia malował się na jego twarzy.

Gdy weszli wreszcie do niego, zawołała:

— Boże! jak tu zimno!

Ogień palił się wprawdzie w obu pokojach na kominkach, nie zdołał jednak rozgrzać murów przesiąkniętych wilgocią.

— Nie mam ochoty zdjąć futra — dodała. Osunęła je tylko z ramion, ukazując stanik przystrojony w pióra, a czyniący ją podobną do ptaków wędrownych, nie mogących wytrwać na jednym miejscu.

Mariolle usiadł przy niej.

— Będziemy się dziś bawić przy obiedzie —
rzekła. — Zawczasu się już cieszę.

— Kogóż się spodziewasz?

— Przedewszystkiem... ciebie; następnie pana
Prédolé, którego mam ochotę poznać.

— Doprawdy? Prédolé będzie?

— Tak, Lamarthe obiecał go przyprowadzić.

— Nie jest to towarzystwo odpowiednie dla
ciebie. Rzeźbiarze wogóle nie posiadają daru po-
dobania się ładnym kobietom, a Prédolé mniej
niż inni.

— Mylisz się, mój drogi. Zachwycam się nim.

Od wystawienia swych prac w galeryi Varinū,
Prédolé stał się bożyszczem całego Paryża. Uwiel-
biano go, podziwiano, mówiono o nim: „Two-
rzy cudne posąжки“. A gdy artyści i znawcy
sztuki wydali sąd pochlebny o pracach młodego
rzeźbiarza, uwielbienie to przeszło w zachwyty
bezgraniczny.

W twórczości tej było tyle oryginalnego, świe-
żego wdzięku, taki dar interpretowania czaru
i elegancji, że patrząc na te posąжки doznawało
się wrażenia, jakoby się z nich wyłaniały nowe
zupełnie formy piękna.

Jego tancerki przedewszystkiem — figurynki
na wpół tylko osłonięte, gestem i pozą, niezrów-
naną harmonją ruchów ujawniały najskrytszy
i najsubtelniejszy urok ciała kobiecego.

Od miesiąca przeszło pani de Burne starała
się wszelkimi sposobami sprowadzić go do sie-

bie. Ale artysta był odludkiem, trochę nieokrzesanym nawet jak mówiono. Wreszcie dzięki pośrednictwu Lamarthe'a, który z zapalem go reklamował i na wszystkie strony głosił jego sławę, artysta zgodził się wreszcie.

— Kogo jeszcze prosiłaś? — zapytał Mariolle,
— Księżnę de Malten.

Skrzywił się niezadowolony. Nie lubił ambasadorowej.

— I kogo więcej?

— Massivala, Bernhausa i Jerzego de Maltry. Nikogo więcej... najbliższe tylko kółko znajomych. Czy znasz Prédolého?

— Trochę.

— Jak ci się podoba?

— Lubię go bardzo. Jest to człowiek prawdziwie rozmiłowany w sztuce i mówiący o niej ogromnie zajmująco.

— Ach! to będzie przyjemnie! — odrzekła z zadowoleniem pani de Burne.

Mariolle ujął jej rękę pod futrem i przycisnął do ust. Nagle przyszło jej na myśl, że zapomniała uprzedzić go o swem niezdrociu i szukając innej wymówki, szepnęła po raz drugi:

— Boże, jakże tu zimno!

— Doprawdy?

— Ziębłam do szpiku kości.

Mariolle podniósł się, spojrzął na termometr i przekonawszy się, że rtęć w istocie stała dość nisko, usiadł znów przy niej.

Ona powtórzyła: „Boże, jakże tu zimno!“ Zrozumiał wszystko. Od trzech tygodni już podczas każdej schadzki spostrzegał, że sztuczne jej podniecenie zaczyna się wyczerpywać. Odgadywał, że znudzona tą komedją nie miała siły odgrywać jej dłużej; sam zaś, rozpaczony swą bezsiłą, dręczony daremnie a wzmagającym się wciąż pożądaniem tej kobiety, myślał nieraz w chwilach samotności i rozpaczy: „Wolałbym zerwać, niż pędzić nadal takie życie“.

Chcąc przeniknąć do głębi jej myśl, zapytał:

— Nie zdejmiesz nawet futra?

— O nie! — odrzekła — kaszlę dziś trochę od samego rana. Boję się zapalenia gardła w tę słotę.

Po chwili milczenia dodała:

— Nie byłabym przyjechała, gdyby nie to, że chciałam koniecznie cię zobaczyć,

A gdy on, szalony bólem i cierpieniem, nic nie odpowiadał, podjęła znowu:

— Takie nagłe słoty po ślicznej pogodzie bywają bardzo zdradliwe.

Patrzyła w ogród, gdzie pod białym szronem drzewa były niemal zielone.

On przyglądał się jej myśląc: „Oto jak mnie kocha!“ Po raz pierwszy uczuł do niej rodzaj nienawiści; nienawiść zawiedzionego samca czuł do tej twarzy, do tego nieuchwytnego serca, tego ciała tak gorąco pożadanego a wiecznie wzbraniającego się pieszczotom.

— Powiada, że jej zimno! — mówił sam do siebie, — Skarzy się na chłód dlatego tylko, że ja jestem przy niej. Gdyby chodziło o jakąkolwiek z niedorzecznych zachcianek, które stanowią treść życia tych próżnych i lekkomyślnych istot, nie wahałaby się narazić życia. Ilez to razy w największe mrozy wyjeżdżała odkrytym powozem po to tylko, aby pokazać kosztowną toaletę! Ach! one wszystkie teraz jednakowe!

Siedziała naprzeciw niego spokojna, uśmiechnięta. A on, patrząc na nią, wiedział, że w ślicznej tej główce trzepoce teraz jedyne pragnienie: zakończenie tego sam na sam, które stawało się coraz przykrzejsze.

Czyż możliwe, aby kiedykolwiek istniały kobiety, które cierpią, płaczą, oddają się w namiętnem uniesieniu; kobiety, które kochają ciałem zarówno jak duszą, usty, spojrzeniem oczu, biciem serca, pieścizotliwym ręki dotknięciem: kobiety, gotowe wyzwać do walki cały świat, idące śmiało dniem i nocą na spotkanie ukochanego i omdlewające ze szczęścia w jego objęciach?

Ach! jakże okropna miłość go skuwiała! Miłość bez wyjścia, bez końca, bez radości i triumfu, bez słodyczy i upojenia, przywodząca do rozpacz, nie dająca nigdy rozkoszy pieścizoty dzielanych, a tylko świadomość, że żadna siła nie zdoła skłonić do namiętnego pocałunku ust

tych zimnych i martwych, jak liście wiatrem jesiennym zwarzone.

Patrzył na nią, uwięzioną w tej pierzastej sukni. Czyż owe suknie, zazdrosne strażniczki, załotne a cenne zapory, broniące przed nim ciała kochanki, nie były trudniejsze do zwalczenia od niej samej?

— Prześliczną masz dziś suknię! — rzekł, nie chcąc wyjawiać dręczących go myśli.

— Zobaczysz, jak się ubiorę wieczorem — odrzekła z uśmiechem, potem zakaszawszy kilka razy, dodała: — Dostanę tu kataru. Nie zatrzymuj mnie dłużej, mój przyjacielu. Słońce wnet wróci, a ja z niem.

Mariolle nie nalegał, zniechęcony, rozumiejąc, że niczem nie zdoła zdobyć teraz istoty tej bezwładnej, że napróżno, napróżno oczekiwać serdeczniejszego słowa z tych ust spokojnych lub gorętszego oczu spojrzenia. I nagle zrodziło się w nim postanowienie niezłomne wyzwolenia się z tych więzów hańbiących. Przybiła go do krzyża, gdzie krew upływała z wszystkich jego członków, gdy ona nie pojmując jego cierpienia, z pewnem zadowoleniem patrzyła na jego konanie. Ale on oderwie się od tego słupa, zostawiając na nim strzępy ciała swego i serce rozdarte! — Ratować się będzie ucieczką, jak zwierzę przez myśliwych ranione, w samotnem schronieniu za- bliźni rany, po których nie pozostanie może in-

nego śladu prócz głuchego bólu, jaki od czasu do czasu przenika chore ciało kaleki.

— Więc żegnam cię! — rzekł cicho.

Zdziwiona smutnem brzmieniem jego głosu, odparła:

— Do wieczora mój przyjacielu.

— Do wieczora! powtórzył jak echo.

Potem odprowadziwszy ją do furtki ogrodu, powrócił i usiadł sam przed kominkiem.

Sam!... W istocie, jakże tu było zimno!... i jak smutno!.. Wszystko skończone! Jakież to straszne! Skończyły się wszystkie nadzieje, oczekiwania, tęsknota za nią z tym żarem w sercu, który pozwala nam chwilami żyć na tym ponurym świecie nakształt ogni weselnych, rozjaśniających nocne ciemności! Skończyły się już noce samotnych wzruszeń, gdy do rana prawie chodził po pokoju, myśląc o niej! Skończyły się poranki, gdy otworzywszy oczy, wołał z radością: „Zobaczę ją dziś w naszym domu!...“

Jak on ją kochał szalenie! Jak trudno mu będzie wyleczyć się z tej miłości!... Odeszła od niego, bo jej było zimno!... Przed chwilą jeszcze siedziała tutaj, czarując go spojrzeniem, aby lepiej jeszcze pchnąć go w serce!... Jakże głęboko mu je przeszła!... Czuł ranę, która dawniej już zadana, chwilowo przez nią zagojona, stała się teraz nieuleczalną, gdy następnie zatopiła w niej nóż śmiertelnej obojętności. Zdawało mu się, że krew brocząca z serca rozlewa się po ciele ca-

tem, dochodzi do gardła i dusi go, dławi. Wtedy oburącz zakrywszy oczy, jak gdyby przed samym sobą wstydział się tej słabości, — płakać zaczął. Odeszła, bo jej zimno. On brnąłby w śniegu po kolana, poszedłby bosy na drugi koniec świata, gdyby wiedział, że ją tam spotka! Bez chwili wahania zeskoczyłby z dachu, aby paść do jej stóp!... Nagle przyszła mu na myśl legenda, którą słyszał niegdyś w okolicach Rouen. Młoda dziewczyna, ulegając kaprynowi okrutnego ojca, który nie pozwalał jej zostać żoną ukochanego, jeżeli go nie wniesie na wierzchołek stromej góry, czołgała się na rękach i na kolanach dźwigając drogi ciężar, ale stanąwszy na szczycie, skonała. Więc miłość stała się legendą, służącą tylko za temat do poezji lub opowieści?

Zresztą, czyż własna jego kochanka podczas jednej z pierwszych schadzek nie powiedziała mu słów, których nigdy nie mógł wymazać z pamięci. „Mężczyźni nie kochają dziś kobiet tak, aby miłość sprawiała im cierpienie, Wierzaj mi, znam jednych i drugie“. Omyliła się w sądzie o nim, lecz nie o sobie, dodała bowiem: „Bądź co bądź, uprzedzam cię, że nie potrafiłabym w nikim zakochać się szalenie“.

Czy to prawda? Wiedział już, że w *nim* szalenie się nie kochała, ale czy kto inny nie wzbuodziłby w niej takiego uczucia?

Nie. Ona kochać go nie mogła!... Dlaczego?

Wówczas uczucie, że wszystko w życiu go zawiodło, — uczucie oddawna kiełkujące w jego sercu, wprawiło go w stan niewypowiedzianego przygnębienia i unicestwienia. Niczego nie dokonał, nic mu się nie udało, nic nie uzyskał, nie zdobył. Rozmiłowany w sztuce, nie znalazł w sobie dość odwagi, aby poświęcić się całkowicie jednej z jej gałęzi, ani dość cierpliwości, aby wytrwać na raz obranej drodze. Powodzenie nigdy nie sprawiało mu radości, miłość piękna nie uszlachetniła, nie podniosła mu serca. Jedyne wysiłki, na jakie się zdobył, wysiłki podjęte w celu zawładnięcia sercem tej kobiety, zakończył się także porażką.

Plakał długo, przyciskając ręce do oczu. Grube łzy toczyły mu się po twarzy, spływając na wąsy i słoną wilgocią zwilżając usta.

Gorzki ich smak potęgował jego rozpacz...

Gdy podniósł wreszcie głowę, ciemno już było w pokoju. Zerwał się z miejsca i pobiegł do domu, aby przebrać się na obiad u niej.

VII.

Wszedłszy do salonu, nie zastał jeszcze nikogo. Usiadł i przyglądać się zaczął ścianom tym, obiciom, meblom, kosztownym gracikom, które były mu drogiemi, bo należały do niej; całemu temu mieszkaniu, gdzie ją poznał, widywał, pokochał, gdzie odkrył w sobie to uczucie, które z dniem

każdym wzrastało, aż do chwili jałowego zwycięstwa. Z jakimże upragnieniem oczekiwał ją niegdyś w uroczem tem mieszkaniu, stanowiącem tak harmonijną całość z zalotną, wybredną właścicielką. Jak dobrze znał tę woń perfum napelniających salonik dystyngowanym, a skromnym i delikatnym zapachem bzu. W miejscu tem zaznawał gorączkowych, najmilszych nadziei, niepokojów, najsilniejszych wzruszeń, by najsroższą zakończyć niedolą! Niby dłoń przyjaciela, którego na zawsze żegnamy, ścisnął poręczę fotelu, w którym tyle razy siadywał zasłuchany w melodię jej głosu, zapatrzony w jej oczy i uśmiech. Ogarnęło go teraz pragnienie, aby tu nie przyszła, aby nikt nie przyszedł, aby tu mógł zostać całą noc, jak człowiek czuwający przy zwłokach ukochanych. A potem z nadzieją dnia odejdzie na długo — może na zawsze.

Drzwi otwarły się nagle. Ona weszła, uśmiechnięta, wyciągając doń rękę. Opanował się, i z niczem się nie zdradził. To nie była kobieta, lecz żywy, niezrównanej piękności bukiet kwiatów.

Kibić jej otaczał w pasie wieniec gwoździków, które po sukni aż do stóp jej spływały kaskadą. Wokoło obnażonych rąk i ramion wiła się girlanda z niezapominajek i konwalji; trzy wspinające storczyki muskały jej różowe łono, płonące purpurowemi kwiatami. Z jasnoblond włosów przysypanych djamentowym pudrem wy-

chylały się emaljowe fiołki. Drżące na złotych szpilkach brylanty, lśniły jak krople rosy wśród kwiecia zdobiącego stanik.

— Czuję, że nie minie mnie dziś migrena — rzekła.

Od całej jej postaci bił zapach, jaki na wiosnę unosi się w ogrodach; świeższą była niż zdobiące ją girlandy. Andrzej patrzył na nią olśniony, myśląc, że pochwycenie jej teraz w objęcia byłoby takim samym barbarzyństwem, jak zdeptanie grządki pełnej kwiecia. Ciało jej było li przedmiotem do ozdoby, nie do miłości. Podobne one wszystkie do kwiatów, ptaków, do wszystkiego raczej niż do kobiet. Matki ich, przedstawicielki przeszłych pokoleń, widząc w zalotności środek podniesienia swej urody, przede wszystkim jednak starały się podobać naturalną pięknnością ciała, wrodzonym wdziękiem, tym nieprzepartym czarem, jaki kształty kobiece wywierają zawsze na mężczyznę. Dziś kokieterja stała się wszystkim, sztuka stanowi zarówno środek jak cel, gdyż kobieta posługuje się nią raczej dla upokorzenia współzawodniczek i podniecenia ich zazdrości, niżeli dla zdobycia serca mężczyzny.

Poco ona włożyła tę toaletę? Dla przypodobania się jemu, kochankowi, czy też dla upokorzenia księżnej de Malten?

Lokaj oznajmił przybycie księżnej de Malten. Pani de Burne podbiegła ku drzwiom i nie za-

pominając o storczykach, uściskała przyjaciółkę, która odwzajemniła się równie serdecznym pocałunkiem.

Ból ścisnął serce Mariolle'a. Ani raz nie wybiegła tak radośnie na jego spotkanie, ani raz nie ścisnęła go tak serdecznie. Podobne kobiety nie są dla nas stworzone — rzekł do siebie, podejmując wątek dawnych myśli.

W tej chwili wszedł Massival, po nim pan de Pradon, hrabia von Bernhaus i Jerzy de Maltry, ubrany z całym szykiem angielskim.

Oczekiwano już tylko Lamarthe'a i Prédolé'a. Rozmawiano o rzeźbiarzu, jednogłośnie piejąc na jego cześć hymny.

„Wskrzesał dawny dźwięk... nawiązał do tradycji renesansu, dodając do nich szczerą nowoczesną“. Podług Jerzego de Maltry, Prédolé pierwszy odkrył niezrównaną giętkość ciała ludzkiego... — Podobne zdania od dwóch miesięcy obiegały wszystkie salony, krążąc z ust do ust.

Nareszcie się ukazał, wywołując ogólne zdziwienie. Był to tęgą mężczyzna, o nieokreślonym wieku, szpakowaty nieco, z szerokimi ramionami wieśniaka, z dużą głową o bardzo wydatnych rysach, okrytych siwiejącym zarostem, potężnym nosie i wargach grubych. Na twarzy widniał wyraz zakłopotania. Szedł niezgrabnie przez salon, trzymając łokcie szeroko rozstawione. Ręce miał szerokie o palcach porośniętych włosami.

sem — jak ręce Herkulesa lub rzeźnika — nie zgrabne, nie dające się ukryć. Oczy tylko, jasne, szare, przenikliwe, rzucające bystre spojrzenia, zdawały się żyć w tym ociążałym człowieku. Zwracały się na wszystkie strony, badały, zdradzając ciekawem swem wejrzeniem niepospolitą inteligencję.

Pani de Burne, nieco zawiedziona, uprzejmie wskazała gościowi miejsce. Rzeźbiarz usiadł zmieszany, zakłopotany, że tu przybył.

Lamarthe, chcąc przełamać pierwsze lody, zbliżył się do niego.

— Mój drogi — rzekł — muszę ci pokazać, gdzie jesteś. Widziałeś już boską panią tego domu, przyjrzyj się teraz jej otoczeniu.

To mówiąc, wskazał stojące na kominku popiersie Hudona, potem na biurku dwie tancerki Clodiona, wreszcie na półeczce cztery cudne posążki Tanagry.

Twarz Prédolého rozjaśnił nagle wyraz takiej radości, jak gdyby wśród pustyni odnalazł swoje dzieci. Wstał, podszedł ku czterem posążkom z terrakoty i dwie naraz chwycił w olbrzymie swe ręce. Pani de Burne zadrżała z obawy o całość swych skarbów. Ale zaledwie dotknął posążków, zaczął je pieścić, obracać na wszystkie strony, poruszając grubemi palcami ze zręcznością, godną kuglarza. Zachwyty malujący się na jego twarzy świadczył wymownie, że ciężki ten

człowiek żywił w sercu jedyne, idealne uczucie dla wszystkich wytwornych cacek.

— Podobają ci się? — spytał Lamarthe.

Rzeźbiarz począł wychwalać piękność posążków, wspominając o znanych sobie arcydziełach nieco stłumionym, lecz spokojnym, pewnym głosem człowieka, który myśli jasno i zna wartość wyrażeń.

Prowadzony przez powieściopisarza, przyglądał się kolejno różnym cackom, które pani de Burne zebrała, dzięki wskazówkom swych przyjaciół. Oceniał ich wartość, wyrażał radość i zdziwienie, że je znajduje w tym salonie, za każdym razem biorąc je w ręce i delikatnie obracając na wszystkie strony, jak gdyby zapoznając się z nimi zapomocą dotyku. Ujrzawszy stojący w rogu pokoju posąg z brązu, ciężki jak kula armatnia, ujął go jedną ręką, przyniósł do lampy, przyglądał mu się długo i odniósł napowrót bez żadnego wysiłku fizycznego.

— Nieprawdaż, że przyroda stworzyła go po to, aby mógł iść w zapasy z kamieniem i marmurem? — zauważył Lamarthe.

Wszyscy przyglądali mu się z życzliwością.

W tej chwili lokaj oznajmił:

— Proszę pani, waza na stole!

Pani domu podała rękę rzeźbiarzowi, przeszła z nim do sali jadalnej, a posadziwszy go obok siebie, ozwała się takim tonem, jak gdyby spad-

kobiercę znakomitego nazwiska pytała o jego genealogję:

— Zdaje mi się, że rzeźba jest najstarożytniejszą gałęzią sztuk pięknych?

Spokojnym swym głosem odparł:

— Pasterze biblijni grywali już na flecie, prawdopodobnie zatem muzyka powstała wcześniej, jakkolwiek muzyka nam przystępna datuje się od niedawna. Ale i pierwsze początki rzeźby sięgają czasów bardzo odległych.

— Pan lubi muzykę? — spytała znowu.

— Lubię wszystkie sztuki — odparł tonem poważnego przeświadczenia.

— Kogo uważa historia za wynalazcę rzeźby?

Prédolé zamyślił się chwilę, poczem z rozrzwinięciem w głosie, jak gdyby opowiadał wzruszające jakieś zdarzenie, odparł:

— Według podania helleńskiego wynalazcą rzeźby jest ateńczyk Dedales — odrzekł. — Najpiękniejsze jednak podanie, przypisuje ten zaszczyt pewnemu garncarzowi z miasta Sicyone, imieniem Dibutades. Gdy córka jego Kora wyrysowała profil narzeczonego, którego cień padał na ziemię, Dibutades wypełnił tę sylwetkę gliną i wymodelował. Takim był początek mojej sztuki.

— Cudowne! — szepnął Lamarthe, a po chwili milczenia dodał: — Ach! gdybyś chciał powiedzieć nam coś więcej, Prédolé!

A zwracając się do pani de Burne dodał: — Nie potrafi pani sobie wyobrazić, jak zajmująco

ten człowiek mówi o sztuce, jak on ją kocha, rozumie i umie innych przejąć swym zachwytem.

Ale rzeźbiarz nie był widocznie usposobionym do rozprawiania. Założywszy serwetę pod brodę, aby nie splamić tużurka, jadł rosół z pewnem namaszczeniem, z jakim wieśniacy zwykle spożywają zupę.

Następnie wychylił duszkiem kieliszek wina i wyprostował się; widocznie czuł się swobodniejszym, zaczynał się aklimatyzować. Od czasu do czasu usiłował odwrócić się, widział bowiem w lustrze odbicie jakiejś grupy, stojącej poza nim na kominku. Nie znał tej rzeźby i nie był pewnym jej autora.

Wreszcie nie mogąc dłużej pohamować ciekawości spytał:

— Czy de Falguiérs'a?

Pani de Burne roześmiała się.

— De Falguiéres'a — potwierdziła. — Jakże pan mógł poznać rzeźbę z odbicia w lustrze?

On uśmiechnął się także.

— Nic dziwnego — odrzekł. — Jeden rzut oka wystarczy mi, aby poznać rzeźbę ludzi zajmujących się także malarstwem, lub też malowidło ludzi, uprawiających także rzeźbiarstwo. Taka robota różni się ogromnie od dzieł człowieka, poświęcającego się wyłącznie jednej tylko sztuce.

Pragnąc wykazać zalety swego przyjaciela,

Lamarthe zadał mu kilka pytań, na które Prédolé wnet odpowiedział.

Uniesiony zapałem, kreślił charakterystykę malowideł rzeźbiarzy i rzeźb malarzy w sposób tak nowy, jasny i oryginalny, że wszyscy słuchali go wzrokiem zarówno jak uchem. W krótkich słowach przebiegając historję sztuki, przytaczając przykłady z rozlicznych epok, cofnął się aż do najpierwszych mistrzów włoskich, będących malarzami i rzeźbiarzami zarazem, do Mikołaja i Jana z Pizy, do Donatela i Wawrzyńca Ghiberthi. Przytoczywszy ciekawe sądy Diderota, wspomniał na zakończenie o drzwiach w kościele św. Jana we Florencji, arcydzieła Ghibertiego. Płaskorzeźby pokrywające te drzwi są tak żywe i dramatyczne, że na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie malowidła.

Ciężkiemi rękoma, które z nieporównaną giętkością zdawały się modelować glinę w powietrzu, odtwarzał z takim zapałem wspomniane przez siebie dzieła sztuki, że wszyscy śledzili ciekawie każdy ruch jego palców, a różne rzeźby i posągi wyłaniały się im z poza szklanek i talerzy, wyczarowane jego słowem.

Wreszcie, gdy podano najulubieńsze jego przysmaki, umilkł i zaczął jeść.

Do końca obiadu nie odzywał się już prawie, słuchając z roztargnieniem rozmowy, która przesuwała się od polityki do nowości teatralnych, od balów do projektowanych małżeństw, od ar-

tykułów z *Révue des Deux Mondes* do wystaw i wyścigów. Jadł i pił dużo, ale stare wytrawne wino nie wpływało na jego myśl jasną, zdrową, niezamaconą dobrem winem.

Gdy towarzystwo wróciło do salonu, Lamartine, niezadowolony, że rzeźbiarz nie odpowiedział wszystkim jego nadziejom, zaprowadził go do biurka i pokazał mu przedmiot niepospolitej wartości, zaliczany do najwspanialszych klasycznych zabytków sztuki: srebrny kałamarz cyzelowany przez Benwenuta Celliniego.

Prédolé był odurzony, przyglądał się temu arcydziełu z takim zachwytem, z jakim kochanek tonie w twarzy kochanki; niewypowiedzianem rozrzewnieniem przejęty, wygłosił o twórczości Celliniego poglądy równie wzniosłe i subtelne jak dzieła niedoścignionego mistrza; następnie widząc, że go słuchają, siadł we fotelu i ustawicznie oglądając arcydzieło, malował swe wrażenia na widok poszczególnych przedmiotów sztuki, zdradzając upojenie, jakie przez oczy przenikało mu do serca na widok pięknych kształtów. W przeciągu lat dziesięciu przebiegł cały świat, nie patrząc na nic, jak tylko na genialne rzeźby z drzewa, kamienia, brązu i marmuru, lub też na złoto, srebro, miedź i kość słoniową, przeistoczoną w arcydzieła ręką rzeźbiarzy. On sam rzeźbił w tej chwili czarującą płaskorzeźbę plastycznego słowa.

Skupieni wkoło niego, mężczyźni słuchali z żywym zajęciem; obie kobiety, siedząc przy kominku, znudzone nieco tą długą rozprawą, od czasu do czasu szeptem zamieniały uwagę, zdradzającą zdziwienie, iż same tylko kontury przedmiotów mogły wprawiać w taki zachwyt.

Gdy Prédolé umilkł, Lamarthe podziękował mu serdecznym uściskiem dłoni, stwierdzającym wspólne zamiłowania.

— Doprawdy, muszę cię uściskać. Obecnie jesteś jedynym artystą, jedynym znakomitym mężem, jedynym człowiekiem, który ukochał swój zawód, szczęście w nim znajdując, nie znając zmęczenia ani zniechęcenia. Umiesz wcielać sztukę wiekuistą w najczystsze, najprostsze, najwznioślejsze i najnieдоступniejsze kształty. Jednym zgięciem linii stwarzasz piękno i o nic się więcej nie troszczysz. Wnoszę toast na twoje zdrowie!

Rozmowa stała się znów ogólną, rwała się jednak co chwila, stłumiona nowymi pojęciami, które z innego świata wtargnęły niespodzianie do tego salonu, pełnego tylu rzadkich dzieł sztuki.

Prédolé wyszedł wcześniej, tłumacząc się, że codzień o świcie zabiera się już do pracy.

Po jego wyjściu Lamarthe, rozentuzjasmowany, zapytał panią de Burne:

— No, jakże się pani podobał?

— Dostyc oryginalny, ale nieokrzesany ~~czło-~~

wiek — odrzekła trochę niezadowolona i rozczarowana.

Powieściopisarz uśmiechnął się myśląc: „Nic dziwnego, nie wyraził zachwyty nad twoim strojem; ze wszystkich arcydzieł ty byłaś jedynem cackiem, o którym zapomniał“.

Powiedziawszy parę grzecznych słówek, oddalił się i usiadł obok księżnej de Malten. Hrabia Bernhaus zbliżył się do pani domu i przysunawszy niski taburecik, usiadł prawie u jej stóp. Mariolle, Massival, Maltry i pan de Pradon rozmawiali o rzeźbiarzu, który wywarł na nich silne wrażenie. Jerzy de Maltry porównywał go do starożytnych mistrzów, których całe życie przenikała i upiększała jedyna i wyłączna miłość piękna, filozofując na ten temat, bardzo subtelnie, lecz nużąco.

Massival, znudzony tak długim rozprawianiem o sztuce, której sam nie uprawiał, zbliżył się do księżnej de Malten. Lamarthe, ustępując mu miejsca, powrócił do grona mężczyzn.

— Może już pójdziemy? — rzekł do Mariolle'a.

— I owszem, bardzo chętnie.

Powieściopisarz lubił mówić wieczorami, odprowadzając znajomych. Ostry, przenikliwy, ucinkowy głos jego zdawał się czepiać murów i pełzać po nich. Podczas tych nocnych przechadzek czuł się wymownym, dowcipnym, jasnowidzącym, to też właściwie mówiąc, monologował raczej,

niż rozmawiał. Zadowolony takim powodzeniem, pewien był dobrego snu po zmęczeniu nóg i płuc.

Mariolle czuł się zupełnie wyczerpanym. Gorącz, żal, rozpacz, zniechęcenie, wrzały w jego sercu, odkąd przestąpił próg tego domu.

Nie mógł i nie chciał cierpieć dłużej. Postanowił wyjechać na zawsze. Pani de Burne żegnała go roztargniona.

Obaj mężczyźni wyszli na ulicę. Wiatr ucichł, powietrze ciepłe było i ciche jak zwykle na wiosnę po chwilowej wichurze. Niebo gwiazdami usiane, iskrzyło nad ich głowami, jak gdyby ciepły podmuch potęgował migotanie gwiazd. Na chodnikach sucho było zupełnie, tylko na bruku kałuże wody srebrzyły się gdzieś przy świetle gazu.

— Co za szczęśliwy człowiek, ten Prédolé — zaczął Lamarthe. — Nie kocha nic, prócz sztuki, o niej tylko myśli, dla niej żyje, w niej znajduje radość, szczęście i cel życia... Doprawdy, wielki to artysta, należący do dawnego pokolenia! Ach! on wcale nie dba o kobiety, o nasze kobiety, przystrojone w koronki i tysiące świecideł. Widziałeś, że nie zwrócił wcale uwagi na obie nasze piękne panie, chociaż wyglądały czarująco? I nic dziwnego! Taki człowiek zachwyca się tylko plastyką naturalną, nie zaś sztuczną. Jestem pewien, że boska pani de Burne nazywa go w duchu nieznośnym głupcem. Dla niej popiersie Houdona,

posążki Tanagry lub kałamarz Benwenuta Celliniego, to tylko wspaniałe ramy arcydzieła sztuki, które się zwie *Ona...* ona i jej suknie, bo to dwie nieodłączne części jej samej. Obrazy lub rzeźby mają o tyle wartości, o ile dodają nowego czaru ich właścicielce. Cóż to za marna i egoistyczna istota, taka kobieta!

Staął na chwilę i uderzał laseczką po trotuarze. Po chwili podjął:

— Znają one i rozumieją wartość tego, co ich blask podnosi, tj. kosztownych sukien i klejnotów, wychodzących z mody co lat dziesięć — ale nie pojmują wartości trwałych, świadczących o wzniosłej duszy artysty, nie umieją ćwiczyć swych zmysłów z czysto estetycznych, bezinteresownych pobudek. Zresztą kobieta ma zmysły bardzo pierwotne, nieudoskonalone, chwytające tylko to, co pozostaje w bezpośrednim związku z kobiecym egotyzmem, który pochłania i absorbuje całą ich istotę. Spryt ich przypomina spryt indjanina, obmyślającego coraz to nowe zasadzki. Nie są nawet zdolne do odczuwania uciech czysto materialnych, wymagających wyższego rozwoju fizycznego i wydoskonalenia pewnego organu. Wyjątkowo zdarza się niekiedy, że kobieta lubi dobrą kuchnię, nigdy jednak nie wzniesie się do tego, aby rozumiała wartość dobrego wina, które przemawia tylko do podniebienia mężczyzn, bo wino ma przecież swoją wymowę.

Znów uderzył laseczką po bruku, jak gdyby skandując ostatnie wyrazy; poczem podjął:

— Zresztą, nie można od nich wiele wymagać. Zupełny ten brak gustu, który je czyni niezdolnemi do pojmwania rzeczy wzniosłych, zaślepia je stokroć więcej, gdy chodzi o nas. Na nic się dziś nie zda posiadać gorącą duszę, wielki rozum, wyjątkowe zasługi i przymioty; niegdyś, to niewiasta ceniła nadewszystko w mężczyźnie wartość moralną i odwagę. Dzisiejsze kobiety to kabotynki, kabotynki miłości, powtarzające dla szyku tradycyjne uczucie, w które nie wierzą. Potrzebują też kabotynów, umiejących równie dobrze grać tą samą komedję.

Przez jakiś czas szli obok siebie w milczeniu. Rozpaczliwie smutne słowa powieściopisarza dźwięczały echem prawdy w sercu Mariolle'a. Wiedział on, że jakiś awanturnik, przybyły z Włoch do Paryża, ksiązę Epilati, który elegancją swą i zręcznością podbijał serca pań *high-life'u* i dystygowanych kokotek — był obecnie przedmiotem zalotów baronowej de Frémines.

Gdy Lamarthe zamilkł, Mariolle rzekł:

— To nasza wina. Dlaczegoż tak zły wybór czynimy?... Istnieją przecież inne kobiety..

— Tak — odrzekł powieściopisarz — ale wśród magazynierek lub ubogich sentymentalnych mieszczanek, nieszczęśliwych w małżeństwie. One tylko potrafią przywiązywać się szczerze. Nieraz pocieszałem zbolale ich serca. Zalewają wprost

miłością, ale miłością tak pospolitą, że przyjmując ich uczucie, doznajesz wrażeń, jak gdybyś dawał jałmużnę. To też twierdzę, że dzisiaj, gdy młode a bogate kobiety do niczego nie dążą, niczego nie pragną prócz rozrywki, nie grożącej żadnem niebezpieczeństwem, mężczyźni zaś uregulowali przyjemności swoje podobnie jak pracę, — musiała zniknąć dawna piękna a potężna siła naturalnego pociągu, która stanowiła ongi o stosunkach obu płci.

— Masz słuszność — szepnął Mariolle.

Z każdą chwilą wzrastało w jego sercu pragnienie ucieczki od tych ludzi, którzy dla zabicia czasu odgrywali komedję miłości, niezdolni od czuć jej sercem.

— Dobranoc! — rzekł po chwili — idę spać.

Wróciwszy do domu, siadł przy biurku i napisał: „Zegnam cię, pani! Czy pamiętasz pierwszy mój list? I wtedy cię zegnałem, lecz nie wyjechałem. Jakże ciężko za to pokutuję! Gdy czytać będziesz te słowa, mnie już nie będzie w Paryżu. Zbytecznem byłoby tłumaczyć, eo mnie do tego skłania. Mężczyźni, tacy jak ja, nie powinni by nigdy spotykać kobiet, tobie podobnych. Gdybym był artystą, gdybym w wyrażeniu mych uczuć mógł znaleźć ulgę, stałabyś się może dla mnie źródłem natchnienia, ale niestety! jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem, któremu miłość ku tobie przyniosła srogie, nieznośne cierpienie. Poznawszy cię, nie przypuszczałem, abym potra-

fił czuć i cierpieć tak żywo. Inna kobieta na two-
jem miejscu, natchnęłaby mi serce boską rado-
ścią. Ty zadałaś mu tylko katusze. Nie twoja
w tem wina; nie czynię ci wyrzutów i nie mam
żalu do ciebie. Nie mam nawet prawa pisać w ten
sposób. Wybacz pani. Wiem, że nie możesz czuć
tak, jak czuję, że nie możesz nawet odgadnąć, co
się dzieje w mem sercu, gdy patrzę na ciebie
i słucham twego głosu. Nie stawiasz mi oporu,
przyzwalasz, pragnęłabyś nawet obdarzyć mnie
cichem, spokojnem szczęściem, za które przez
całe życie na klęczkach dziękowaćbym ci powi-
nien. Ale ja nie mogę. Ach! jakże okropną jest
miłość nieustannie żebrząca o gorące słowo, o na-
miętą pieszczotę a nigdy jej nie otrzymująca.
Serce moje pustem jest teraz, jak żołądek nę-
dzarza, który z wyciągniętą ręką biegł za tobą
na ulicy. Rzuciłaś mu piękne rzeczy, ale nie da-
łaś chleba. Ja także łaknę chleba!... miłości!
Odchodzę nieszczęśliwy, ubogi, głodny, głodny
kruszyny twojej miłości, która mnie mogła nakar-
mić... Nie pozostało mi już nic, prócz rozpaczli-
wej myśli, którą należy zabić. Będę też usiłował
to uczynić. Żegnaj cię pani i dziękuję. Przebacz
mi, dzięki i przebacz! Dziś jeszcze kocham cię
całą duszą. Żegnaj!

Andrzej Mariolle.

CZEŚĆ III.

I.

Śliczny poranek zajaśniał nad miastem. Mariolle wsiadł do czekającego przed bramą powozu, do którego włożono ręczny kuferek i dwie małe walizki. W nocy kazał lokajowi przygotować ubranie, bieliznę i różne drobiazgi, potrzebne na czas dłuższej podróży, zostawiając tymczasowy adres: „Fontainebleau, poste-restante”. Nie zabierał z sobą nikogo, nie chcąc widzieć żadnej twarzy, któraby mu przypominała Paryż, ani też słyszeć żadnego z głosów, które słyszał był tutaj, myśląc o pewnych rzeczach.

Rzucił woźnicy: dworzec Lyon! i dorożka ruszyła.

Jadąc na dworzec, myślał o swej wycieczce, odbytej zeszłej wiosny, na górę św. Michała. Następnie chcąc odpędzić te wspomnienia, zaczął rozglądać się po ulicy.

Powóz wjechał w aleję Pól Elizejskich, skąpaną w blaskach wiosennego słońca. Liście, wyzwolone z pęt zimy, niepowstrzymane w swym rozwoju dwudniową slotą rozwijały się coraz szyb-

ciej, napełniając powietrze wonią świeżej zieleni i soków, krążących szybko w młodziutkich pędach.

Był to jeden z tych poranków, kiedy kasztany na skwerach i w ogrodach publicznych Paryża rozkwitnąć mają lada chwila. Na ziemi rodziło się życie na jedno lato, a nawet ulica pod ciężką warstwą bruku drżała głucho pod naporem korzeni.

Mariolle myślał: „Zaznam wreszcie trochę spokoju. Będę przyglądał się narodzinom wiosny wśród pustego lasu“.

Droga wydała mu się bardzo długą. Po kilku godzinach ciężkiego rozpamiętywania nad sobą, czuł się tak zmęczonym, jak gdyby dziesięć nocy spędził bezsennie przy umierającym. Przybywszy do Fontainebleau udał się do notariusza z zapytaniem, czy nie ma gdzieś w lesie do wynajęcia niewielkiej umeblowanej willi. Podano mu fotografie kilkunastu domków. Najwięcej pociągał go domek w wiosce Montigny sur-Loing, gdzie przez zimę mieszkała jakaś młoda para. Notariusz, niemłody już, poważny człowiek, uśmiechnął się znacząco i podejrzewając zapewne miłosną jakąś intrygę, zapytał:

— Pan sam?

— Sam.

— Bez służby nawet?

— Bez służby. Zostawiłem ich w Paryżu. Mam nadzieję dostać tu kogoś do usługi. Pragnę zupełnej samotności, by móc pracować.

— O! teraz niema obawy, aby ktokolwiek panu przeszkodził.

W parę minut potem otwarty powozik unosił Mariolle'a i jego walizy ku wiosce Montigny.

Las budził się do życia. U stóp ogromnych drzew, których korony pokrywał już delikatny cień zieleni, gromadziły się coraz gęstsze krzewiny. Wiotkie brzozy o srebrzystych gałęziach najwcześniej przybrały letnią szatę, gdy na olbrzymich dębach gdzieniegdzie zaledwie ukazywała się przejrzysta, jasno zielona plamka. Buki rozwijając szybko młode swe pęki, zrzucały ostatnie zeschnięte liście poprzedniego roku.

Trawa nieosłonięta jeszcze sklepieniem rozłożystych wierzchołków, nęciła oko świeżością i pełnią soków młodości. Mariolle poprzednio już na Polach Elizejskich oczarowany tym zapachem zmartwychwstającej przyrody, napawał się teraz widokiem życia roślinnego, kielkującego pod działaniem pierwszych promieni słońca. Rozparłszy się wygodnie w powozie, opuścił ramiona po dwóch stronach powozu, oddychając pełną pierśią z takim uczuciem, jakiego doznawać musi więzień wypuszczony na swobodę i uwolniony z pęt.

Jakże rozkosznie oddychać wonnem wiosennem powietrzem!... ale jakże długo musi się napawać tą rozkoszą, by przestać cierpieć, by świeży powiew, przenikając przez płuca, dotarł do śmiertelnej rany serca i zabliznić ją zaczął!

Minał Marlotte, gdzie woźnica wskazał mu nowy zajazd, którego oryginalność sławiono w okolicy. Potem ruszyli drogą z obu stron drzewami obrzeżoną, na której widnokregu rysowały się lasem porośnięte pagórki. Nareszcie powóz wjechał w białą wiejską uliczkę, między dwoma szeregami domków pokrytych dachówką. Gdzieś olbrzymi bukiet rozkwitłego bzu strzelał z poza muru.

Równolegle z drogą ciągnęła się wąska dolina przetrnięta strumykiem. Widok ten wprawił Mariolle'a w stan zachwyty. Rzeczulka płynąc wartko po dnie, drobnym żwirem usypanem, z jednej strony podmywała fundamenty domów i mury ogrodów, z drugiej zaś oblewała łąki, na których drzewa zaledwie się okrywały młodziutkiem listowiem.

Mariolle znalazł z łatwością wskazany domek, którym był oczarowany. Był to stary budynek, odnowiony przez jakiegoś malarza, który spędziwszy tu pięć lat, znudził się wreszcie i odnajął swą posiadłość. Przed domkiem był śliczny ogródek, przetrnięty rzeczka, a zakończony długą aleją lip. Z drugiej strony domu okna wychodziły na łąki.

— Tu się wyleczę — pomyślał Mariolle. Oddawszy woźnicy list do notariusza z zawiadomieniem, że domek odpowiada wszystkim jego wymaganiom, zajął się urządzeniem nowej siedziby. Niebawem było wszystko gotowe, gdyż

sekretarz merostwa przysłał mu dwie kobiety, z których jedna miała się zająć kuchnią, druga zaś utrzymywaniem porządku w mieszkaniu i bielizną.

Na parterze znajdował się salon, jadalny pokój, kuchnia i dwa mniejsze pokoiki; na piętrze — jeden duży pokój i gabinet, przeobrażony przez byłego właściciela na pracownię. Mieszkanie całe, urządzone z miłością, świadczące, że właściciel lubił swe otoczenie, było teraz nieco zaniedbane, i opuszczone, jak zwykle domy przez czas jakiś stojące pustką.

A jednak czuć było, że domek ten był niedawno zamieszkanym. W pokojach unosił się jeszcze słodki zapach werwenu. (Werwena, zwykła perfuma). Kobieta, która tu mieszkała, nie była chyba naturą skomplikowaną — pomyślał Mariolle. — Szczęśliwy człowiek, który z nią mieszkał!

Na rozpakowaniu i urządzeniu upłynął mu cały dzień. Wieczorem usiadł przy otwartym oknie i przyglądając się promieniom zachodzącego słońca, które słało coraz to dłuższe cienie na zielonych łąkach, chłonał wilgotną i słodką woń zieleni.

Służące przyrządzając obiad, gawędziły z sobą, przez okno dochodziły ryki krów, szczenie psów i nawoływanie i rozmowy pastuchów, pędzących bydło z paszy.

Cała przyroda tchnęła ciszą i spokojem. Po

raz tysięczny może Mariolle zadawał sobie pytanie: „Co ona pomyślała, otrzymawszy mój list?... Co uczyni?”

Następnie: „Co ona robi w tej chwili?” Spojrzał na zegarek: wpół do siódmej. — „Wróciła do domu i przyjmuje gości”.

Oczyrna wyobraźni widział dobrze znany salonik i młodą kobietę rozmawiającą z księżną de Malten, z panią de Frémines, z Massivalem i z hrabią von Bernhaus.

Głuchy gniew zawrzał nagle w jego sercu. Zapragnął tam być. Była to godzina, o której codziennie prawie do niej przychodził. Uczuł rodzaj niezadowolenia, nie żalu, gdyż wola jego pozostała niezachwiana — rodzaj fizycznego cierpienia, jakiego doznaje chory, gdy lekarz nie pozwala mu zastrzyknąć morfiny, do której się przyzwyczaił.

Nie widział już ani łąk, ani słońca niknącego za wzgórzami; nie widział nic prócz niej, otoczonej gronem wielbicieli, zaprzątniętej sprawami światowemi, które mu ją wydarły. „Nie myślmy o tem!”, rzekł wreszcie.

Zerwał się z miejsca i wyszedł na taras w ogrodzie. Chłód wiejący od rzeczki, mroząc serce jego i tak już smutne, skłonił go do powrotu. Zastawszy w jadalnym pokoju stół nakryty, zjadł prędko obiad, poczem nie mając nic do czynienia i czując wciąż wzmagające się cierpienie, położył się, zamknął oczy i próbował zasnąć.

Napróżno! Ani na chwilę nie mógł odegnąć z myśli obrazu tej kobiety!

Komuż się odda teraz? Hrabiemu von Bernhaus zapewne!... Elegant, bywalec, najlepiej odpowiada wymaganiom tej kobiety nadewszystko ceniącej blichtr... Dawniej się jej już podobał, skoro będąc kochanką innego, używała wszelkich sposobów, aby go zdobyć...

Pomimo dręczących go myśli, popadał przecież w stan odrętwienia, błąkał się w nawpółsennych marzeniach, w których dwie te postacie ukazywały się nieustannie: ten człowiek i ona. Znikały na chwilę, ale zaledwie sen kleić mu zaczął powieki, znów się wyłaniały, przywracając mu świadomość ostrym spazmem zazdrości.

Wschodzące słońce, rzucając jasne blaski na nagie jeszcze czoła dębów, padało na ziemię okrytą kobiercem suchych liści, to znów krzakami zwarzonymi ostrym podmuchem zimy. Żółte motylki pląsały w powietrzu, niby błędne ogniki.

Po prawej stronie drożyny wznosił się wysoki pagórek porosły jodłami. Mariolle powoli wchodził na wierzchołek, a dosięgnąwszy go, usiadł na kamieniu, bo brakło mu tchu w piersiach. Nogi chwiały się pod nim, we wszystkich członkach czuł ból nieznośny.

Nie łudził się; wiedział, że bezwładność tę przypisać należy nie zmęczeniu, ale jej, tej miłości, pod której brzmieniem się ugiął. „O, nę-

dzo!“ szepnął z westchnieniem. „Dlaczegoż mnie tak usidliła, mnie, który z życia brałem tylko tyle, by nie dotrzeć do jego goryczy?“ I podniecony obawą cierpienia, które zwalczał z takim trudem, zstąpił myślą do najgłębszych tajników serca starając się poznać, zrozumieć i własnym oczom odsłonić przyczynę tej niewytłomaczonej wybujałości uczucia.

„Nigdy nie dałem się porwać uczuciu. Nie jestem egzaltowanym ani namiętym, rządę się raczej rozsądkiem niż instynktem, posiadam więcej ciekawości i fantazji, niż pożądań i wytrwałości. W gruncie rzeczy jestem tylko wybrednym, inteligentnym, subtelnym epikurejczykiem. Kochałem w życiu dużo rzeczy, nie przywiązując się nadmiernie, z doświadczeniem człowieka, który kosztuje, używa, lecz się nie upaja. Zastanawiam się nad wszystkim, analizuję, zanadto dobrze znam swe upodobania, bym mógł na ślepo im ulegać. Jest to nawet największa moja wada, jedyna przyczyna mojej słabości... Aż oto ta kobieta narzuciła mi się wbrew mojej woli, mimo że ją znałem i się jej obawiałem; owładnęła mną tak niepodzielnie, jak gdybym ujrzał w niej uosobienie wszystkich mych pragnień i tęsknot. A może w tem właśnie tkwi przyczyna. Rozpraszałem swoje dążenia, skierowując je ku rzeczom bezcielesnym, kochając przyrodę, która mnie czaruje i rozrzewnia, muzykę, która jest rodzajem pieśczęoty idealnej, myśl ludzką, która

jest łakomstwem umysłu...; kochałem wszystko, co na ziemi pięknem jest i miłem.

Wreszcie spotkałem kobietę, która potrafiła zwrócić ku sobie wszystkie moje zmienne i chwiejne upodobania i przeistoczyć je w miłość. Piękna i elegancka — podobała się mym oczom: dowcipna, przebiegła, wykształcona — podobała się memu sercu mocą tajemniczego uroku, którym tchnie jej obecność, mocą nieprzepartego jakiegoś powabu, wylaniającego się z całej jej postaci i odurzającego jak zapach niektórych kwiatów... Stała się dla mnie wszystkim, bo niczego już nie pragnę, niczego nie pożądam, do niczego nie dążę i o nic się nie troszczę.

Niegdyś, z jakąż rozkoszą patrzyłem na ten bór budzący się ze snu zimowego? Dziś nic nie widzę, nic nie czuję, jestem ciągle przy tej kobiecie, której kochać nie chcę...

Nie, tak być nie może! Trzeba zmęczeniem zabić te myśli, inaczej nie ulecę się nigdy!"

Zbiegł ze wzgórza i szybszym krokiem znów rozpoczął przechadzkę. Ale myśli uporczywe wszędzie biegły za nim, rozpalając krew w żyłach.

Szedł dalej, wciąż przyśpieszając kroku. Chwilami tylko, na widok zielonej polanki skąpanej w blaskach słonecznych lub pod wpływem aromatycznej woni żywicy, doznawał wrażenia ulgi, podobnego do przeczucia bliskiego wyzdrowienia. Wreszcie przystanął. — „To nie przechadzka“ — pomyślał, — „to ucieczka!“ — W istocie

biegł bez celu, przed siebie... uciekał ścigany bólem tej bezpamiętnej miłości.

Zwolnił nieco kroku. Las stał się teraz piękniejszym i cienistszym; wchodził bowiem w najcichsze ustronie, gdzie rosły majestatyczne buki. W miejscu tem nie było już ani śladu zimy. Wiosna jaśniała w całym blasku młodości swej i krasy, jakby zrodzona ostatniej dopiero nocy.

Wszedłszy w gęstwinię drzew, które zdawały się niebios dosięgać, Mariolle szedł przed siebie godzinę, dwie godziny, rozchylając gałęzie pokryte mnóstwem listeczków drobnych, połyskujących, pełnych soków. Wierzchołki drzew tworzyły sklepienie, oparte na wysokich filarach prostych lub pochyłych, białawych lub pokrytych ciemną warstwą mchu, przyczepionego do kory. Filary te ciągnęły się długimi szeregami, wznosząc się nad młode krzewy u ich stóp i osłaniając je gęstą chmurą, przez którą wpływały jednak promienie słońca. Smuga ognia obejmowała całą tę masę liści, zdających się teraz nie lasem, lecz olśniewającym zielonym oparem prześwieconym żółtymi promieniami.

Mariolle stanął, niewypowiedzianem zdziwieniem zdjęty. „Gdzież jestem?“ pomyślał. „W lesie czy na dnie morza? morza pełnego liści i światła, oceanu wyzłoczonego o przejrzystej zieleni?“

Poczuł się zdrowszym, spokojniejszym, dalszym od swego nieszczęścia i z uczuciem ulgi

położył się na kobiercu suchych liści, które drzewa strząsają z siebie wtedy dopiero, gdy przywdziać mają nową szatę.

Pod wpływem orzeźwiającego powietrza oraz piękności przyrody, ogarnęło go nieokreślone z początku, a potem coraz wyraźniejsze pragnienie podzielenia się temi pragnieniami. „Ach! gdyby ona była ze mną!” rzekł do siebie.

I nagle stanęło mu w myśli wspomnienie wycieczki na górę św. Michała. Jak inną była tam, niżli w Paryżu, w obliczu dalekich przestrzeni, podczas przechadzki po jasno-żółtych piaskach wybrzeża, kiedy kochała go trochę przez kilka godzin. Tak! na tej drodze, gdy uciekali przed szybko napływającą falą — w tym klasztorze, gdy szepcąc: „Andrzeju!” zdawała się mówić: „Jestem twoją!” na drodze Szaleńców, gdy unosił ją prawie ponad przepaścią — tam tylko serce jej zapalało jedynym porywem, który się już nie powtórzył, odkąd zalotną stopą stanęła na bruku paryskim.

Gdyby się jednak znalazła tu w pośród tej zielonej topieli, czy w sercu jej nie ocknęłoby się znowu owo przelotne, a tak słodkie uczucie, zaznane na wybrzeżu normandzkim?

Mariolle długo leżał na wznak, snując bolesne myśli, błędząc okiem po przesłonecznionej fali gałęzi, aż wreszcie ruch gałęzi do snu go ukłótył. Przebudziwszy się, spostrzegł, że jest druga popołudniu. Wstał szybko i nagle uczuł się mniej

smutnym, zbolałym. Wyszedł wreszcie z gęstwiny lasu i stanął na polance, z której rozchodziło się promienisto sześć dróg, niknących na szmaragdowo zielonem tle lasu. Napis na słupie przydrożnym wskazywał, że polanka ta nosiła nazwę „Bukietu królewskiego“. W istocie była to polanka królewskiej krainy buków.

W tej chwili przejeżdżał drogą wózek włościański. Mariolle kazał się zawieść do Marlotte, skąd mógł pieszo ruszyć do Montigny, posiliwszy się wpierw w oberży.

Poprzedniego dnia widział już ów świeżo zbudowany zajazd ochrzczonej: hotel Borot. Była to garkuchnia, wzorowana na lokalu Chat-Noir w Paryżu. Wszedł do obszernej izby, w której staroświeckie stoły i nader niewygodne ławy zdawały się oczekiwać na gości z przeszłego stulecia. W głębi izby młoda jakaś dziewczyna stała na drabince, ustawiając na półkach staroświeckich talerze, których inaczej dosięgnąć nie mogła. Jedną ręką oparłszy się o ścianę, w drugiej trzymając talerz, wspinała się na palcach. Gibka była i zwinna w ruchach, o falującej kibici, przybierającej coraz to inne linje za każdym jej ruchem. Odwrócona plecami do drzwi, nie widziała wchodzącego Mariolle'a, który stanąwszy na progu, przyglądał się jej z zajęciem. W tej chwili przypomniał mu się Prédolé: „Jaka ona gibka“ — pomyślał.

Odkaszlnął głośno, chcąc zwrócić jej uwagę.

Wzdrygnęła się i zachwiała; natychmiast jednak odzyskała równowagę i zeskoczywszy z drabiny z wdziękiem linoskoczki, z uśmiechem podeszła do gościa.

— Czem mogę panu służyć? — zapytała.

— Proszę o śniadanie.

— O obiad raczej — zauważyła — bo już wpół do czwartej.

— Niech będzie obiad. Zabłąkałem się w lesie.

Wysłuchawszy listy potraw, które w zajeździe dostać było można, Mariolle zadysponował obiad i usiadł. Ona wybiegła na chwilę do kuchni, poczem wróciła i zaczęła nakrywać.

Przyglądał się z przyjemnością wesołej, zwinnej i schludnie ubranej dziewczynie. Skromną miała sukienkę, podwinięte rękawy, obnażoną szyję; gustowny gorsecik obciskał jej kibić, z której musiała być dumna.

Twarz jej trochę zarumieniona, nazbyt może pyzata, posiadała świeżość kwiatu zaledwie rozkwitłego; duże piwne oczy rzucały jasne blaski; w szeroko roztwierających się ustach błyszcząły dwa rzędy białych zębów, a bogactwo ciemno-kasztanowatych włosów świadczyło o niespożytych zasobie sił żywotnych w tem młodem i zdrowem ciele.

Postawiła na stole masło i rzodkiewki, które począł zajadać, nie patrząc już na nią. Chcąc się zagłuszyć, kazał sobie podać butelkę szampana, po obiedzie wypił przy kawie dwa kie-

liszki likieru, a że dotąd był prawie na czczo — bo przed wyjściem z domu zjadł tylko kawałek chleba i mięsa — zapadł teraz w stan odrętwienia tak silnego, że zdawało się równać niepamięci. Wszystkie myśli, smutki, niepokoje utonęły w szumiącym winie, dzięki czemu udręczone jego serce stało się nagle jakoby martwem.

Wolnym krokiem powrócił do Montigny senny, znużony i o zmroku rzuciwszy się na łóżko, usnął natychmiast.

Ale w nocy się obudził dręczony jakby zmorą, która odpędzona na kilka godzin, znów powróciła, by mu przerwać sen. Pani de Burne stanęła znów przed nim, a obok niej hrabia von Bernhaus. „Zaczynam być zazdrosnym“, pomyślał Mariolle.

„Dlaczego“ ?

Dlaczego był zazdrosnym? Szybko zrozumiał. Dopóki była jego kochanką, pomimo obaw wszelkich i niepokojów wiedział przecież, że mu jest wierną, bez uniesień, bez porywów, lecz wierną. Teraz on sam zerwał te więzy, zwrócił jej wolność, teraz wszystko się skończyło... Czy długo pozostanie wolną? Przez czas jakiś, a potem?... Czy nawet ta wierność, której mu dochowała, a o której wątpić nie ma prawa, nie wynikała z przecucia, że zerwany ten stosunek prędzej czy później, po dłuższej lub krótszej przerwie nawiązać musi z innym mężczyzną, powodowana nie miłością, lecz obawą samotności?

Alboż kobieta nie pozostaje nieraz wierną niemiłemu kochankowi, li z obawy przed następnym. Będąc światową filozofką, nie zaś skromną mieszczanką, pani de Burne nie lękała się stosunku osłoniętego tajemnicą, ale obojętne jej ciało wzdrygało się na myśl o kolejnej zmianie kochanków.

Zwrócił jej wolność, a teraz?... Teraz weźmie innego kochanka! Niewątpliwie hrabiego von Bernhaus... Był tego pewnym i na samą myśl Mariolle cierpiał niewysłowione katusze.

Dlaczegoż więc zerwał z tak wierną, wzruszającą, przyjazną mu kochanką? Dlatego jedynie, że był bydlęciem, nie rozumiejącem miłości bez porywów zmysłowych.

Czy tak było istotnie? Tak... Ale jeszcze co innego. Przedewszystkiem obawa cierpienia. Uciekł przed cierpieniem, czując, że nie jest kochanym, jak sam kocha... uciekł od oziębłych pocałunków, które odpowiadała na namiętne jego uściski... uciekł od cierpienia, z którego serce jego nigdy się już może nie uleczy. Lękał się nadmiaru cierpienia tego i niepokoju, który od tak dawna przewidywany, rozwijać się zaczął podczas ostatnich kilku tygodni. Cofnął się teraz przed tem cierpieniem wskutek swej słabości, podobnie jak w ciągu całego życia cofał się przed każdym większym wysiłkiem.

Czyż więc nigdy nie zdoła w niezem wytrwać?... oddać się uczuciu całkowicie, jak po-

winien był poświęcić się nauce lub sztuce? Bo może być, że niepodobna kochać kochanki, nie cierpiąc głęboko...

Do rana przeżuwał te same myśli, kaszące go jak psy rozwścieczone, a o świcie zerwał się i wybiegł nad brzeg rzeczki.

Jakiś rybak zarzucał sieć a ilekroć wyciągał ją z wody, małe rybki trzepotały się w okach niby żywe srebro. Świeżość porannego powietrza uspokoiła go nieco, a szybko mknący potok zdawał się unosić z sobą jego smutek. „Dobrze uczyniłem! — rzekł do siebie — pozostając przy niej, byłbym zanadto nieszczęśliwym!”

Powrócił do domu, zabrał hamak, powiesił go między dwiema topolami i położywszy się, śledził okiem prąd wody, starając się nie myśleć o niczem.

W rozkosznem odrętwieniu zarówno ciała jak ducha pozostał przez kilka godzin. Wróciwszy na śniadanie, jadł bardzo wolno, chcąc skrócić długi dzień. Wkrótce jednak zaczęło go znów ogarniać rozdrażnienie... Napisał do Fontainebleau i zadeszował do Paryża, aby mu tutaj odsyłano listy. Dotąd nic z poczty nie otrzymał i zaczęło go ogarniać przygnębiające uczucie osamotnienia. Dlaczego? Wszak nie mógł się spodziewać żadnej miłej ani pocieszającej wieści... Wiedział, że mała czarna skrzyneczka listonosza nie zawiera nic, prócz konwencjonalnych jakichś zaproszeń i banalnych wiadomości. Dlaczegoż

więc oczekiwał tak gorączkowo tych listów, jak gdyby zbawienie duszy od nich zawisło?

Czy może w głębi serca żywił nadzieję, że ona do niego pisze?

— O której godzinie przychodzi poczta? — zwrócił się z zapytaniem do służącej.

— O dwunastej, proszę pana — brzmiała odpowiedź.

Spojrzał na zegarek. Dwunasta dochodziła. Z wzrastającym niepokojem wsłuchiwać się zaczął w szmery dolatujące od strony gościńca. Usłyszawszy stukanie do drzwi, zerwał się z miejsca. Niestety! listonosz przyniósł tylko parę gazet i trzy listy obojętnej treści. Mariolle przerzucił dzienniki raz i drugi i znudzony wyszedł z domu.

Co począć? Poszedł nad brzeg rzeki i położył się w hamaku. Ale w pół godziny niespełna oparowała go nieprzeparta chęć zmiany miejsca. Może do lasu? Zapewne, las był cudowny, ale uczucie osamotnienia ciążyło tam stokroć więcej niż w domu i we wsi, gdzie słyszał przynajmniej dolatujące odgłosy życia. Spokój i niczem niezmacona cisza w pośród drzew i liści budziła w nim żal i tęsknotę, wzmagając melancholię. Przechodził myślą szczegóły wczorajszej swojej przechadzki a przypomniawszy sobie dziewczynę, usługującą w zajeździe, rzekł do siebie: „Pójdę tam na obiad“. Postanowienie to sprawiło mu ulgę; zadowolony ze znalezienia sposobu zabicia kilku godzin czasu, natychmiast ruszył w drogę.

Po obu stronach długiej wiejskiej uliczki ciągnęły się szeregi białych, niskich, dachówkami pokrytych domków. Niektóre stały tuż przy drodze, inne w głębi podwórza, po którym przechadzały się kury, grzebiąc w dymiącej jeszcze gnojówce. Tu i ówdzie wieśniacy siedzieli na przyzbach, zajęci zwykłą pracą. Naprzeciw Mariolle'ą szła drogą staruszka jakaś zgarbiona. Włosy jej miały siwawy odcień, bo włosy wieśniaków nigdy prawie nie są prawdziwie siwe. Miała na sobie podarty kaftan, z pod krótkiej spódnicy widać było chude i żylaste nogi. Szła wolno, patrząc przed siebie bezmyślnymi oczyma, które nie przywykły widzieć nic, prócz przedmiotów, niezbędnych do podtrzymania biednego jej żywota.

Inna jakaś młodsza wieśniaczka rozwieszała chusty na płocie. Z pod zakasanej, kolan zaledwie sięgającej spódnicy, wychylały się nogi w niebieskich pończochach i grube, kościste łydki; pierś jej płaska, niby pierś mężczyzny, świadczyła o potwornej bezkształtności ciała.

„Kobiety! I to są kobiety!“ pomyślał Mariolle. Nagle stanęła mu przed oczyma wykwintna postać pani de Burne, klejnot ciała ludzkiego, tak nieprzepartym urokiem nęcącego spojrzenia mężczyzn. Serce ścisnęło mu się uczuciem straty niepowetowanej.

Przyspieszył kroku, chcąc zagłuszyć myśl i serce.

Gdy wszedł do zajazdu, dziewczyna poznała go natychmiast i poufalszym niż wczoraj tonem rzekła:

- Dzień dobry panu.
- Dzień dobry panience.
- Może podać coś do picia?
- Tak; a potem obiad.

Rozpoczęli naradę nad wyborem potraw. Mariolle zasięgał jej zdania, chcąc ją wciągnąć w rozmowę, wyrażała się bowiem dobrze z akcentem właściwym mieszkańcom Paryża, zarówno wdzięczna w mowie, jak w ruchach.

Słuchając jej, pomyślał: „Miła dziewczyna!... Nie wygląda wcale na kokotkę“.

— Czy panienka pochodzi z Paryża? — zapytał.

- Tak, proszę pana.
- A odkąd panienka bawi w tych stronach?
- Od dwóch tygodni.
- Jakże się tutaj panience podoba?
- Niebardzo, ale się przyzwyczaję. Zresztą, zmęczona już byłam powietrzem paryskim a tutaj wróciłam trochę do sił; to mnie głównie skłoniło do wyjazdu... Biegnę przynieść panu kieliszek wermutu.

— Dobrze. A proszę powiedzieć kucharce, żeby starannie przyrządziła obiad!

— O! niech pan będzie o to spokojnym!

Wybiegła, zostawiając go samego.

Mariolle wyszedł do ogrodu i usiadł w altance,

gdzie podano mu obiad. Przesiedział tu do wieczora, przysłuchując się gwizdaniu kosa, zamkniętego w klatce i od czasu do czasu spoglądając na usługującą dziewczynę, która uśmiechała się zalotnie do pana, odgadując, że mu się podoba.

Wyszedł z zajazdu, wypiwszy podobnie jak poprzedniego dnia butelkę szampana. Ale chłód nocny i ciemność wytrzeźwiły go prędko i znów bezgraniczny smutek wpełznął mu w serce. „Co ja pocznę? — myślał. — „Mamże tu pozostać i wlec nadal to jednostajne, samotne życie?“ Usnął bardzo późno.

Nazajutrz poszedł znów nad brzeg rzeki i położył się w hamaku. Na widok rybaka, zarzucającego sieć, przyszła mu nagle ochota rozerwać się rybołówstwem. Sklepikarz, sprzedający wędkę, udzielił mu potrzebnych wskazówek i przyrzekł kierować pierwszemi jego próbami. Przyjąwszy propozycję, Mariolle siedział z wędką od dziesiątej do dwunastej i przy nateżonej uwadze złowił wreszcie trzy małe rybki.

Po śniadaniu poszedł do Marlotte. W jakim celu? Po to jedynie, by zabić czas.

Zobaczywszy go, dziewczyna uśmiechnęła się przyjaźnie. On uśmiechnął się również i rozpoczął z nią rozmowę.

Ośmielona już trochę, zaczęła swobodniej opowiadać o sobie. Nazywała się Elżbieta Ledru. Przed rokiem straciła matkę, która szyciem na

maszynie utrzymywała nietylko ją i siebie, ale i ojca urzędnika, który skutkiem pijaństwa nie miał żadnego zajęcia. Po śmierci matki ojciec znikł bez śladu, gdyż ona nie mogła szcieniem wyżywić siebie i jego. Przyjęła więc miejsce w jednej z garkuchni paryskich, gdzie rok blisko przebyła. Stąd dostała się do Marlotte na całe lato, a dwie jej koleżanki mają tu też przybyć na parę tygodni.

Zajęty tem opowiadaniem, Mariolle zręcznymi pytaniami dowiedział się wielu ciekawych szczegółów o smutnem życiu rodziny, zniszczonej przez pijaka. Biedna dziewczyna, pozbawiona opieki i dachu nad głową, ale wesoła dzięki swej młodości, czując, że nieznajomy słucha jej z zajęciem i uwagą, mówiła z zupełnem zaufaniem, ze szczerością, której nie potrafiłaby opanować, podobnie jak żywości swych ruchów.

Gdy umilkła wreszcie, zapytał:

— I... całe życie będziesz służyć?

— Nie wiem, proszę pana. Któż może odgadnąć, co go jutro spotka?

— Każdy powinien jednak myśleć o przyszłości.

Przelotna zaduma przemknęła po jej twarzy, wnet jednak odparła:

— Eh! jakoś tam będzie!

Pożegnali się życzliwie.

Mariolle powrócił tu po upływie kilku dni, potem zaczął przychodzić coraz częściej, bo nai-

wna gawęda osieroconej dziewczyny rozpraszała powoli ciężkie jego troski.

Ale wieczorem powracając pieszo do Montigny, myślał o pani de Burne i szalona rozpacz ponownie go ogarniała. Dzień rozpraszał trochę jego smutek, ale z nocą wracała męka i namiętne wybuchy zazdrości. Od wyjazdu z Paryża nie pisał do nikogo i żadnego nie otrzymał listu. Nie wiedział nic, ale wśród ciemności nocy zawsze stawał mu przed oczyma przewidywany stosunek dawnej jego kochanki z hrabią von Bernhaus. Myśl ta powracała coraz uporczywiej. „Hrabia uczyni zadość wszystkim jej wymaganiom“, myślał. „Będzie kochankiem dystyngowanym, nie stawiającym żadnych żądań, zadowolonym i dumnym z łask tej czarującej, subtelnej kokietki“.

Mimowoli czynił w myśli porównanie między nim a sobą. Bezwątpienia hrabia nie będzie ją męczył, rozdrażniał, niepokoił, nie będzie się od niej domagał namiętnych porywów — przyczyn ich zerwania. Zręczny, dyskretny, znający świat, nie zdawał się należeć do ludzi namiętnych.

Pewnego dnia, Andrzej przyszedłszy do Marlotte, zastał w altance dwóch młodych ludzi w beretkach, palących fajki. Oberżysta, niski, otyły mężczyzna, podszedł do niego natychmiast, czując niebezinteresowną sympatię do gościa, który codzień prawie przychodził teraz na obiady.

— Mam od wczoraj dwóch nowych stołowni-
ków, malarzy.

— Tamci panowie?

— Znani malarze. Jeden z nich dostał nawet
medal w przeszłym roku.

I opowiedziawszy wszystko, czego się dowie-
dzieć zdołał o początkujących artystach, zapytał:

— Czem mogę panu dziś służyć?

— Proszę o kieliszek wermutu, jak zawsze.

Po odejściu oberżysty, nadbiegła Elżbieta, nio-
sąc kieliszek i butelkę. W tej chwili jeden z ma-
larzy zapytał:

— Hej! panienko, ciągle jeszcze obrażona?

Nic nie odpowiedziała, ale Mariolle zauważył,
że miała oczy czerwone.

— Płakałaś? — zapytał.

— Tak, trochę — odparła.

— Cóż się stało?

— Ci panowie obeszlę się ze mną niegrzecznie.

— Co ci zrobili?

— Wzięli mnie za jakąś tam...

— Dlaczegoż nie poskarżysz się przed twoim
panem?

Wzruszyła ramionami.

— Ach! mój pan!... mój pan!... znam ja go
teraz dobrze!

Wzruszony i rozdrażniony nieco, Mariolle rzekł:

— Opowiedz mi wszystko.

Z zupełną szczerością opowiedziała, że ci dwaj
panowie, przyjechawszy wczoraj, zaczęli obcho-

dzić się z nią poufale i brutalnie. Wreszcie wybuchnęła płaczem, co pocznie teraz w obcych stronach, nie mając ani pieniędzy, ani żadnej znikąd pomocy.

— Czy chciałabyś służyć u mnie? — zaproponował nagle Mariolle. — Będzie ci dobrze, a gdy powrócę do Paryża, zrobisz co zechcesz.

Spojrzała mu w oczy badawczo, poczem odrzekła:

— I owszem.

— Jaką masz pensję tutaj?

— Sześćdziesiąt franków miesięcznie.

Z pewnym niepokojem dodała:

— I trochę napiwków od gości. Wszystkiego razem będzie ze siedemdziesiąt franków.

— Ja ci dam sto.

— Sto franków miesięcznie? — powtórzyła zdumiona.

— Tak. Czy przystajesz na to?

— Naturalnie!

— Będiesz mnie tylko obsługiwać i utrzymywać w porządku bieliznę i sprzątać mój pokój.

— Dobrze, proszę pana.

— Kiedyż przyjdiesz?

— Jutro, jeżeli pan chce. Pójdę na skargę do mera i zostanę zwolniona z umowy.

— Masz zadatek! — rzekł Mariolle, wyjmując z kieszeni dwa luidory.

— Będę u pana jutro przed południem — oświadczyła dziewczyna rozpromieniona.

II.

Nazajutrz przybyła Elżbieta do Montigny z wieśniakiem, który przywiózł jej kuferek na taczkach. Mariolle odprawił jedną ze starych służ, hojnie ją obdarzywszy, a następczyni jej zajęła małą izdebkę na drugim piętrze, koło kuchni.

Wydała mu się teraz trochę inną, niż w Marlotte, pokorniejszą, mniej poufałą. Rozumiała, że jest służącą pana, z którym niemal po przyjacielsku rozmawiała w zajeździe.

Mariolle wyliczył w krótkich słowach co ma do czynienia. Wysłuchała uważnie i natychmiast stanęła do roboty.

Tydzień cały upłynął, nie przynosząc znaczniejszej zmiany w usposobieniu Mariolle'a. Rzadziej tylko wychodził z domu, nie mając pretekstu urządzania spacerów do Marlotte, przytem samotność mniej mu jakoś ciążyła. Rozpacz miotająca jego sercem uspokajała się powoli, jak wszystko się z czasem uspakaja: natomiast oparowała go głęboka niezwalczona melancholja, podobna do chronicznych, wolno rozwijających się chorób, które częstokroć kończą się śmiercią. Dawna ruchliwość i żywość umysłu, interesowanie się mnóstwem spraw, wszystko co go dotychczas nęciło i zaciekawiało, przestało dlań istnieć, ustępując miejsca bezgranicznemu zniechęceniu, pod wpływem którego nie miał nawet sił powstać z miejsca i wyjść na przechadzkę.

Całe dni wysiadywał w saloniku lub spędzał w hamaku. Jedyne jego zajęciem było przyglądanie się rybakom zarzucającym sieci.

Po pierwszych kilku dniach, Elżbieta ośmielała się stopniowo i prawdziwie kobiecym instynktem odgadując moralne zgnębienie swego pana, zapypywała go niekiedy:

— Pan się nudzi zapewne?

— Nudzę się — odpowiadał Mariolle z rezygnacją.

— Dlaczego pan nie wyjdzie z domu?

— Bo i to mnie nie bawi.

Na każdym kroku okazywała mu serdeczne staranie. Wchodząc rano do salonu, Mariolle zastawał zawsze mnóstwo kwiatów, przeobrażających jego salon w istną cieplarnię. Najwidoczniej Elżbieta puściła w ruch całą gromadę chłopców wiejskich, którzy znosili jej z lasu pierwiosnki, fiołki i złocenie, przytem posiłkowała się też ogródkami wieśniaczek. W apatji swej i osamotnieniu wdzięczny jej był za te wzruszające dowody ciągłych i delikatnych starań.

Zdawało mu się także, że z każdym dniem staje się ładniejszą, że twarz jej straciła dawne rumieńce i niejako wyszlachetniała. Pewnego nawet dnia, gdy podawała mu herbatę, ujrzał ze zdziwieniem, że nie miała już rąk pokojówki, lecz bardzo czysto utrzymane, ze starannie obciętemi paznogciami, ręce damy. Innym razem znów zauważył, że nosiła teraz zgrabne trzewi-

czki. Pewnego znów popołudnia stojąc w sieni, zobaczył ją schodzącą ze schodów w skromnej, ale bardzo gustownej popielatej sukience.

— Jaka ty się stajesz elegancka, Elżbietko! — zawołał.

— Ja?... O nie! proszę pana — broniła się zarumieniona dziewczyna. — Ubieram się trochę lepiej, bo mam więcej pieniędzy.

— Gdzie kupiłaś tę suknię?

— Sama ją uszyłam.

— Sama? Kiedy? Widzę, że przez cały dzień jesteś zajęta.

— Szyłam wieczorami.

— Ale skąd wzięłaś materiał? Kto ci przykroił?

Opowiedziała mu, że miejscowy sklepikarz przywiózł jej z Fointainebleau materiał, za który zapłaciła pieniędzmi otrzymanymi od niego jako zadatek. Skrojenie i uszycie sukni nie sprawiało jej trudności, gdyż przez cztery lata szyła wraz z matką dla magazynu. Mariolle nie mógł się powstrzymać od powiedzenia:

— Bardzo ci ładnie w tej sukience!

Zarumieniła się znów po same uszy.

„Czyżby się we mnie zakochała?“ — pomyślał Mariolle. Zastanawiał się nad tem, wahał, wątpił, wreszcie doszedł do wniosku, że przypuszczenie to było poniekąd prawdopodobnem. Zaopiekował się nią przecież, okazał jej życzliwość, współczucie, niemal przyjaźń. Cóż więc

dziwnego, że młoda dziewczyna przywiązała się do człowieka, który tyle dla niej uczynił?... Przypuszczenie to nie sprawiało mu przykrości, bo dziewczyna była istotnie bardzo ładna i wcale nie robiła wrażenia służącej. Jego miłość własna tak srodze zadraśnięta przez tamtą kobietę, uczuła pewną ulgę, jakoby zadośćuczynienie. Zadośćuczynienie coprawda drobne, ale zawsze sprawiające pewną radość, bo bez względu na to, kto nas obdarza miłością, doznajemy radości w przeświadczeniu, że zdołaliśmy wzbudzić uczucie. Cieszył się tem także z pobudek bezwiednie egoistycznych. Obserwowanie żywszego bicia jej serduszka mogło go zająć trochę i rozerwać. Nie pomyślał o tem, że należałoby ją może oddalić od siebie i ustrzedz od cierpienia, którego sam padł ofiarą — nie pomyślał o tem, bo zwycięzca nie ma nigdy współczucia dla zwyciężonych.

Zaczął ją uważniej obserwować i przekonał się wkrótce, że się nie pomylił. Tysiące drobiazgów co dnia ją zdradzało. Pewnego dnia, gdy podawała mu herbatę, uczył wiejący z jej sukni zapach perfum, zwyczajnych wprawdzie, zapewne kupionych w aptece lub również dostarczonych przez sklepikarza. Ofiarował jej więc butelkę wody toaletowej, której miał znaczny zapas, używając jej zwykle do mycia. Następnie dał jej kilka mydełek, pudełko pudru i proszku do zębów. Nieznacznie pomagał jej więc w tej trans-

formacji, która z dniem każdym stawała się widoczniejszą, a którą on śledził z zajęciem i pewną dumą.

Pozostając wierną i oddaną służącą, przekształcała się stopniowo w zakochaną kobietę, u której wszystkie instynkta kokieterji rozwijały się całkiem bezwiednie.

On również coraz więcej przywiązywał się do niej. Bawiło go to i wzruszało. Bawił się kielkującym tem uczuciem, jak w chwilach smutku bawimy się wszystkim, co nam może dać zapomnienie. Nie czuł do niej żadnego innego pożągu, prócz tego nieokreślonego pożądania, jakiego doznaje każdy mężczyzna na widok ładnej kobiety, chociażby służącej lub wieśniaczki, o posągowych kształtach sielankowej Wenery. Głównie jednak nęcił go teraz urok jej kobiecości. Tamta, którą kochał szalenie, zrodziła w nim ową nieprzepartą a tajemniczą potrzebę obecności kobiety, potrzebę napawania się owym subtelnym, idealnym, lub też zmysłowym zapachem, który owiewa każdą kobietę — zarówno damę światową jak dziewczę ludu, zmysłową kobietę Wschodu o wielkich czarnych oczach, jak niebieskooką córę północy — a tak potężnie oddziaływa na każdego mężczyznę, który nie stał się jeszcze obojętnym na nieśmiertelny urok kobiecości.

Jej przywiązanie ciche, serdeczne, niewinne, raezej dające się odczuć niż dostrzedz, było jakby

watą, osłaniającą rany jego serca. Wystarczało, by jedna z nich zaczęła krwawić a dawne cierpienia wracały i znów go pogrążały w rozpacz. Największą męczarnią był mu teraz brak wiadomości, wynikający stąd, że przyjaciele, którym nie zostawił adresu, szanowali dobrowolne jego odosobnienie. Od czasu do czasu spotykał w dziennikach nazwiska Lamarthe'a lub Massivala, jako uczestników zabaw lub proszonych obiadów. Raz nawet ujrzał wzmiankę o pani de Burne, jako o jednej z najpiękniejszych i najgustowniej ubranych na balu w ambasadzie austriackiej. Dreszcz przebiegł go od stóp do głowy. O parę wierszy dalej wyczytał nazwisko hrabiego von Bernhaus. Stłumiona chwilowo zazdrość zawrzała znów w jego sercu. Teraz nie wątpił już prawie o zawiązaniu się stosunku miłosnego między tych dwojgiem. Zmyślane takie urojenia dokuczliwszemi bywają od przeświadczenia, gdyż niepodobna ich się pozbyć ani z nich wyleczyć.

Nie mogąc dłużej pozostawać w nieświadomości, postanowił napisać do Lamarthe'a, który znając go dostatecznie, domyślał się zapewne jego męki i udzieli mu może odpowiedzi na pytanie niewypowiedziane.

Pewnego wieczoru napisał długi list, owiany smutkiem, pełen niedomówionych zapytań i lirycznych zachwyty nad pięknnością wiosny na wsi.

W cztery dni potem spostrzegł między listami

kopertę, zaadresowaną wyraźnym, dużym pismem powieściopisarza. List ten zawierał tysiące wiadomości błahych a jednak bardzo ważnych dla niego. Wspominając o wszystkich znajomych, Larmarthe nie przytaczał o pani de Burne lub panu von Bernhaus więcej szczegółów niż o innych, wysuwał jednak te postacie na pierwszy plan, zapomocą właściwych mu sztuk stylowych, którymi nie zdradzając wyraźnie swego zamiaru, zwracał uwagę czytelnika tam, gdzie właśnie zamierzał.

Krótko mówiąc, z listu tego wynikało jasno, że obawy Mariolle'a były poniekąd uzasadnione i że dziś lub jutro podejrzenia jego staną się rzeczywistością.

Dawna jego kochanka wiodła takie samo życie jak wpierrw, bawiła się, stroiła, królowała. O nim mówiono przez jakiś czas z obojętną ciekawością, jak zwykle mówimy o nieobecnych. Sądzone, że wyjechał bardzo daleko, zmęczony Paryżem.

Otrzymawszy ten list, Mariolle leżał do wieczora w hamaku; następnie nie mógł jeść obiadu, nie mógł usnąć, a w nocy miał gorączkę. Nazajutrz czuł się tak zmęczonym, zniechęconym i znudzonym tem jednostajnym życiem, wśród gęstego, milczącego lasu, mrocznego teraz od masy zieleni, że został w łóżku.

Usłyszawszy dzwonek, Elżbieta wbiegła do po-

koju. Widząc go leżącego, stanęła zdziwiona na progu i, poblądłszy nagle, spytała:

— Czy pan chory?

— Tak, trochę.

— Możeby posłać po doktora?

— Nie trzeba. To przejdzie.

— Co by panu przyrzadzić?

Ale około pierwszej po południu ogarnęło go takie znudzenie, że nie chciał znów wstać z łóżka. Elżbieta wzywana nieustannie wskutek pewnego rodzaju manji nerwowej, przybiegała co chwila, smutna, niespokojna i nie wiedząc już czemby mu przynieść ulgę, spytała nieśmiało, czyby mu nie mogła czytać głośno.

— Czy ładnie czytasz? — zapytał.

— Zdaje mi się. W szkole dostałam raz nagrodę za głośne czytanie, a matce przeczytałam tyle powieści, że nawet tytułów wszystkich nie pamiętam.

Zaciekawiony, kazał jej wyjąć z szafki najulubieńszy utwór: „Manon Lescaut“.

Spełniwszy polecenie, Elżbieta pomogła mu usiąść, podłożyła dwie poduszki pod plecy, przysunęła krzesło i zaczęła czytać. W istocie czytała bardzo ładnie, mając bardzo dobrą wymowę i wrodzony dar modulacji głosu. Powieść ta tak żywo ją zajęła i wzruszyła, że Mariolle od czasu do czasu przerywał czytanie, wszczynając z nią rozmowę.

Przez okno otwarte słyhać było na wszyst-

kich drzewach i krzakach trele słowików, które śpiewem swym przypodobać się chciały samiczkom w tej porze, gdy wszystko co żyje, pożąda miłości.

Andrzej patrzył na młodą dziewczynę, również zmieszaną i z palącą ciekawością śledzącą wątek opowieści. Na zadawane przez niego pytania odpowiadała intuicyjnie, choć trochę niejasno, odgadując wszystko, co dotyczyło uczucia i namiętności. Patrzając na nią myślał: „Ta dziewczyna mogłaby być bardzo inteligentną i dowcipną, gdyby się kto zajął jej wykształceniem“.

Ten czar kobiecy przeczuwany w niej już dawniej, dziwnie się kojarzył w jego umyśle z tajemniczym, a tak nieprzepartym urokiem owej Manon, wyczarowanej potęgą sztuki.

Ukołyszany głosem Elżbiety, wzruszony treścią dobrze znanego, a przecież nowego zawsze opowiadania, marzył o takiej kochance, jaką była Manon: zmiennej, a jednak stałej, pełnej powabu, pomimo ohydnych swych błędów, umiejscawiającej w sercu mężczyzny wszystkie struny gniewu i uczucia, namiętności i przywiązania, zazdrości i pożądania.

Ach! gdyby w żyłach kochanki, którą porzucił, było choć trochę miłosnej i zmysłowej przewrotności tej kurtyzany, może nie byłby nigdy odjechał? Manon oszukiwała, ale kochała, kłamała, ale oddawała się całym swym jestestwem.

Po dniu całym beczynnym spędzonym, Ma-

riolle usnął nad wieczorem, ale we śnie przesuwiał mu się cały kształt postaci kobiecych.

Cały dzień spędziwszy beczynn timer, bez ruchu nawet, spał lekko; nie dziw więc, że niezwykle szmer w domu obudził go nagle.

Nieraz mu się już zdawało w nocy, że słyszy szelest jakiś w izdebkach przyległych do kuchni, a przeznaczonych na pralnię i łazienkę. Nigdy dotąd nie zwracał uwagi, dziś jednak zmęczony całodziennem leżeniem i nie mogąc usnąć, zaczął nadśłuchiwać i całkiem wyraźnie usłyszał plusk wody. Zaciekawiony, zapalił świecę i spoj rzał na zegarek: dopiero dziesiąta. Ubrał się, wsunął rewolwer do kieszeni i cichaczem skradał się ku kuchni.

Jakież było jego zdziwienie, gdy spostrzegł ogień na kominie. W kuchni nie zastał nikogo, ale odgłosy szmeru dochodziły wyraźnie z łazienki.

Zbliżył się na palcach, cichutko obrócił klucz w zamku i otworzywszy nagle drzwi, ujrzał falujące ramiona i czarowne łono — najpiękniejsze ciało kobiece, jakie kiedykolwiek widział.

Krzyknęła przerażona, nie mogąc uciec.

On ukląkł przy wannie, pozerając ją namier tnym spojrzeniem i zbliżając do niej usta.

Elżbieta zrozumiała i... wyciągnąwszy mokre ramiona, zarzuciła mu je na szyję.

III

Gdy stanęła przed nim nazajutrz, wnosząc herbatę, drżała jak listek i tacy w ręku utrzymać nie mogła.

Mariolle podbiegł do niej, postawił tacę na stole i całując ją w oczy, rzekł:

— Spojrz na mnie.

Podniosła oczy pełne łez.

— Nie chcę byś płakała.

Tulił ją do siebie, czując, że drży od stóp do głowy, szepcząc: „Boże! mój Boże!“. Zrozumiał, że nie wstyd, żal lub smutek wyrywa jej z ust ten okrzyk, ale szczęście, szczęście prawdziwe! I w tej chwili doznał dziwnego, fizycznego raczej niż moralnego zadowolenia, tuląc w objęciach istotę, przez którą czuł się wreszcie kochanym. Dziękował jej za to tak, jak chory leżący na drodze dziękuje kobiecie, która opatrzyła jego rany: dziękował z głębi zbolełego serca, zawiedzionego w tylu daremnych porywach, spragnionego uczucia skutkiem obojętności tamtej; lecz równocześnie litował się nad nią trochę. Widząc ją tak bladą, łzami zalaną, z oczyma płonącymi miłością, pomyślał: „Jakaż ona piękna! Kobieta zmienia się nie do poznania i staje taką, jaką być powinna, gdy ulegnie losowi serca, lub potrzebie natury“.

— Usiądź przy mnie — rzekł po chwili.

Usiadła, a on ujął obie jej ręce, biedne, spra-

cowane ręce, które dla niego stały się teraz białymi i delikatnymi i zręcznie, łagodnie tłumaczyć jej zaczął, jaki odtąd będzie ich wzajemny stosunek. Nie chcąc dawać we wsi powodu do plotek, będzie przez jakiś czas uchodzić za służącą... zacznie jednak czytywać mu głośno i po pewnym czasie stanie się lektorką i razem z nim będzie siadała do stołu.

— Nie, panie; będę nadal służącą jak dotychczas. Nie chcę, aby ktokolwiek dowiedział się o tem, co zaszło...

Pomimo jego nalegań, nie chciała od tego odstąpić i po śniadaniu wyszła z tacą do kuchni, a on śledził każdy jej ruch wzrokiem pełnym miłości.

Zostawszy sam, pomyślał: „Jest kobieta. Wszystkie kobiety stają się sobie równe, skoro podobać się umieją. Ze służącej zrobiłem kochankę. Teraz jest śliczną, a może się stać czarującą. W każdym razie młodsza i świeższa od wszystkich kokotek i dam światowych. Zresztą, czyż to fakt wyjątkowy? Ileż to córek stróżowskich zostało sławnymi aktorkami! Bywają w najpierwszych salonach, uchodzą za bohaterki romansów i odbierają hołdy od książąt. Czemuż to przypisać? Czy talentowi ich, częstokroć bardzo miernemu, czy też urodzie, częstokroć bardzo wątpliwej? Nie. Kobieta jednak zajmuje zawsze takie stanowisko, jakie sobie zdobędzie,

umiejąc natchnąć nas takim lub innym złudzeniem“.

Odbył dnia tego długi spacer, a chociaż nogi ciążyły mu jak wpierw, jakby podcięte zgryzotą, i nie mógł się pozbyć dawnego cierpienia, to jednak w głębi serca odzywał się głos radosny, jak świegot ptaka. Czuł się mniej samotnym, mniej opuszczonym; las wydawał mu się mniej milczącym i bezludnym. Powrócił do domu, ciesząc się, że Elżbieta powita go uśmiechem i czułym spojrzeniem.

Przez miesiąc blisko trwała ta idyla nad brzegiem rzeki. Elżbieta kochała go ślepo, jak matka kocha dziecko, lub pies myśliwski swego pana. Mariolle był dla niej wszystkiem: niebem i ziemią, radością i szczęściem. Pocałunki jego ziszczwały najgorętsze jej pragnienia, dawały rozkosz najwyższą. Stał się treścią jej ciała, duszy i serca: czuła się upojoną, jak młodzieniec, który po raz pierwszy w życiu zakosztuje wina. Usypiała go w swych objęciach, budziła pieśczołami, tuliła się do niego z zapamiętaniem, zapominając o całym świecie. Zdziwiony, oczarowany, rozkoszował się tą niepodzielną ofiarą, czując, że pije pełnemi ustami ze źródła miłości.

A jednak czuł się wciąż smutnym i zniechęconym. Nowa kochanka mu się podobała, lecz zapomnieć o tamtej nie mógł. I nieraz przechadzając się po łąkach nad brzegiem Loing, zadawał sobie pytanie: Czemu nie mogę się pozbyć

tej troski? Na wspomnienie Paryża, czuł się tak rozdrażnionym, że jak najprędzej powracał do domu, by nie być sam.

Godzinami wtedy leżał w hamaku, a Elżbieta, siedząc na składanem krzeselku, czytała głośno. Słuchając jej głosu i patrząc na nią, przypominał sobie rozmowy z panią de Burne, gdy we dwoje spędzali wieczór w saloniku. Łzy cisnęły mu się do oczu, a serce szarpał tak silny ból, iż ogarniało go nieprzeparte pragnienie powrotu do Paryża, lub wyjazdu na zawsze.

Widząc go tak smutnym i melancholijnym, Elżbieta pytała:

— Co panu jest? Czuję, że pan ma łzy w oczach.

— Pocałuj mnie, Elżbietko — odpowiadał Mariolle — i tak byś nie zrozumiała.

Obsypywała go pocałunkami, niespokojna, przeczuwając jakiś niezrozumiały dla niej dramat. On zaś dzięki jej pieścizotom chwilowo się uspakajał, myśląc:

— Jakże uroczą byłaby kobieta, posiadająca serce tej dziewczyny i wdzięk tamtej! Dlaczegoż nie można spotkać istoty będącej uosobieniem naszych marzeń, lecz zawsze tylko coś połowicznego?

Ukołyszany monotonnym dźwiękiem głosu, którego nie słuchał, myślał o wszystkim, co go pociągało i czarowało w opuszczonej kochance.

Wspomnienie jej ścigało go jak widziadło, ustawicznie, nieubłagane.

„Czyż zawsze cierpieć będę jak potępieniec i nigdy się od niej nie uwolnię?“ — myślał z rozpaczą.

Zaczął znów odbywać dalekie przechadzki, błąkał się po lesie z głuchą nadzieją, że zgubi swe cierpienie w głębi jaru lub w drzew gęstwini — podobny do człowieka, który pragnąc pozbyć się ulubionego zwierzęcia, a nie chcąc go zabić, wyprowadza go daleko od domu i tam porzuca.

Pewnego dnia podczas takiej przechadzki, stanął na polance, zwanej Bukietem Królewskim. Teraz las stał się prawie czarnym, bo promienie słońca przebić nie mogły sklepienia liści. Mariolle szedł długo, wspominając z tęsknotą ów półcień rozkoszny, jaki rzucały dawniej młodziutkie listeczki, gdy nagle, skręciwszy na boczną ścieżynę stanął zdumiony przed dwoma drzewami, które jakby w uścisku spletały swe konary.

Zaden obraz miłości nie zdołałby przejąć go silniejszym wzruszeniem, niżli ten widok olbrzymiego buka, obejmującego pieśczośliwie młodą brzozę.

Niby odtrącony i rozpaczą przejęty kochanek, o potężnym, a udręczonym torsie, buk dwoma potężnymi ramionami schwycił młodą drzewinę i przykuł do siebie. Brzoza uwieziona w tym

uścisku, wystrzeliła wysoko w górę, ponad czoło napastnika, prosta, gładka, wysmukła, jakby wzgardliwa. Ale mimo tej ucieczki ku wyżynom, w łonie jej pozostały dwie głębokie, oddawna zabliznione szramy, które w korze jej wyryły gałęzie buku. Spojone w jedno temi zabliznionemi ranami, drzewa rosły razem, jednemi żywiąc się sokami i krew zwycięzcy wpłynąć musiała do żył zwyciężonej.

Mariolle usiadł na trawie i długo im się przyglądał. Chore jego serce nadawało symboliczne, pełne grozy znaczenie dwom tym nieruchomym zapaśnikom, opowiadającym przechodniom wieczne dzieje swej miłości.

Smutny, znękany, ruszył dalej w drogę, idąc zwolna, z oczyma spuszczonemi ku ziemi, gdy nagle spostrzegł w trawie arkusik papieru, zbryzgany błotem, zgubiony lub rzucony przez jakiegoś przechodnia. Zatrzymał się. Jakże radosną, czy bolesną wieść zawierał ten papier, leżący teraz w błocie u jego stóp.

Nie mógł się oprzeć pokusie podniesienia go, a rozwinawszy, wyczytał tylko: „przyjdź! czwarta... czekam“. Pozostałe wyrazy zatarły się skutkiem wilgoci.

W mgnieniu oka ogarnęły go smutne i rozkoszne zarazem wspomnienia... Przyszły mu na myśl wszystkie otrzymane od niej bileciki, w których naznaczała mu schadzkę, lub też zawiadamiała, że o umówionej godzinie przybyć nie

może. Nigdy w życiu nie zaznał silniejszych wzruszeń, nic nie wprawiało go w taki niepokój, jak widok tych wysłanek, przynoszących szczęście upajające, lub rozpacz. I umierał prawie na myśl, że nigdy już nie otrzyma podobnych wieści.

I znów zadawał sobie pytanie, co się z nią działo od czasu jego wyjazdu z Paryża. Czy cierpiała, czy tęskniła za przyjacielem, którego obojętnością swą skazała na wygnanie. Czy też dotknięta tylko w miłości własnej pogodziła się szybko ze zmianą sytuacji?

Gwałtowne dowiedzenie się prawdy stało się tak niepohamowane, że zrodziło w nim pomysł dziki, dziwaczny. Nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, udał się do Fontainebleau i wszedł do biura telegraficznego. Wszedł, gnany jakąś tajemniczą a nieprzepartą siłą.

Drżącą ręką wziął ze stołu blankiet i napisawszy nazwisko oraz adres pani de Burne, nakreślił:

„Tak bardzo pragnę wiedzieć, co pani o mnie myśli. Ja zapomnieć nie mogę.

Andrzej Mariolle“.

Następnie wsiadł do dorożki i powrócił do Montigny, żalując już swego postępku.

Obliczył, że jeżeli raczy mu odpisać, za dwa dni najwcześniej otrzyma jej list. Mimo to na jutro nie wychodził z domu, mimowoli żywiąc nadzieję odebrania telegramu.

Około trzeciej po południu leżał w hamaku,

gdy Elżbieta przybiegła, donosząc, że jakaś pani pragnie się z nim widzieć.

Ogarnęło go tak niewymowne zdziwienie, że dech zamarł mu w piersiach i nogi uginały się pod nim, gdy zmierzał ku domowi. Nie śmiał się jednak spodziewać, by to była ona.

Gdy otworzył drzwi od salonu, pani de Burne podniosła się z kanapy i z wymuszonym nieco uśmiechem wyciągnęła doń rękę, mówiąc:

— Przyjechałam tu dowiedzieć się o panu czegoś bliższego, bo telegram nie udzielił mi dostatecznych objaśnień.

Zbladł tak gwałtownie, że w oczach jej zapłonął błysk radości; oniemiały ze wzruszenia nie był zdolnym słowa przemówić i tylko przyciskał do ust podaną sobie rękę.

— Ach! jakąż pani dobra — rzekł wreszcie.

— To nie, lecz nie zapominam nigdy o przyjaciółach i myślę o nich.

Patrzyła mu prosto w oczy badawczym wzrokiem kobiety, która od pierwszego spojrzenia umie wszystko odgadnąć, przeniknąć do głębi myśli i odsłonić nawet cień obłudy. Widocznie była zadowolona, bo znów rozpromieniła twarz.

— Zachwycam się pańską pustelnią — rzekła wreszcie. — Czy pan szczęśliwy?

— Nie, pani.

— Czy być może? W tej ślicznej okolicy, w tym pięknym lesie, nad brzegami ślicznej rze-

czułki? — Powinienby pan być zupełnie spokojny i zadowolony!

— A jednak tak nie jest.

— Dlaczego?

— Bo nie mogę zapomnieć.

— A pan musi zapomnieć, aby być szczęśliwym?

— Tak, pani.

— Czy wolno zapytać, jakie to wspomnienia?

— Wszak pani wie.

— I dlatego...

— Dlatego — przerwał Mariolle — jestem nieszczęśliwym.

— Domyślałam się tego, otrzymawszy pański telegram — odrzekła tonem współczucia — i dlatego przybyłam tutaj z postanowieniem odjechania natychmiast, gdyby moje domysły okazały się mylnymi.

Po chwili milczenia dodała:

— Ponieważ nie odjeżdżam zaraz, pozwoli mi pan zwiedzić swoją siedzibę? Widzę przez okno śliczną aleję topolową. Chodźmy tam, będzie nam chłodniej niż w salonie.

Wyszli razem. Nosiła suknię liljową, tworzącą tak harmonijną całość z zielenią drzew i niebios błękitem, że postać jej wydawała mu się teraz nowem jakimś, niewypowiedziane pięknem i czarującym zjawiskiem. Szczupła jej kibić, delikatna i świeża twarzyczka, jasno-blond włosy, wymykające się z pod dużego liljowego kapelu-

sza, z którego spływało ogromne strusie pióro, piękne ręce, niosące parasolkę, chód nieco sztywny i wyniosły, czyniły w tym skromnym ogródku wrażenie czegoś anormalnego i egzotycznego, fantastycznej jakiejś istoty z bajki, lub marzenia zrodzonego w wyobraźni poety lub malarza, obrazka à la Watteau, lub cudownej rzeźby, która ukazała się tu przez kaprys, by czarować swą pięknnością.

Przytłumiona na chwilę namiętność zawrzała znów w sercu Mariolle'a, który mimowoli zestawiał ją w myśli z wieśniaczkami, spotkanemi po drodze w Monitgny.

— Jaka to dziewczyna otworzyła mi drzwi?
— zagadnęła niespodzianie pani de Burne.

— Moja służąca.

— Nie wygląda na pokojówkę.

— W istocie, jest bardzo przystojna.

— Gdzie ją pan znalazł?

— W sąsiednim hotelu, gdzie jacyś malarze zagrażali jej cnocie...

— A pan ją obronił?

— Tak, pani — rumieniąc się odrzekł Mariolle.

— Dla własnej korzyści?

— Zapewne, bo wolę widzieć w koło siebie twarze ładne niż brzydkie.

— Tylko takie wzbudziła w panu uczucie?

— Może także niepohamowane pragnienie ujżenia pani, gdyż każda kobieta, która bodaj na

chwile przyciągnie mój wzrok, zawsze mi na myśl przywodzi panią.

— Bardzo zręcznie powiedziane... A ona, czy kocha swego obrońcę?

— Zarumienił się mocniej. I nagle z szybkością błyskawicy uświadamiając sobie, że wszelka zazdrość podnieca uczucie kobiety, postanowił nawpół tylko kłamać.

— Nie wiem — odrzekł po chwili wahania.

— Okazuje mi dużo życzliwości i jest bardzo o mnie troskliwą.

— A pan? — szepnęła pani de Burne, nie-mile dotknięta tą wiadomością.

Utkwił w jej twarzy palące spojrzenie i rzekł:

— Ja przy nikim nie potrafiłbym zapomnieć o pani!

I to było zręcznie rzuconem, lecz ona tego nie spostrzegła, przekonana, że Mariolle szczerze wypowiada swe myśli. Czyż kobieta podobna mogła o tem wątpić? Wcale też nie wątpiła i zadowolona z siebie nie zajmowała się już Elżbietą.

Usiedli oboje na ogrodowych krzeselkach w cieniu topoli.

— Co pani myślała o mnie? — zapytał Mariolle.

— Że pan był bardzo nieszczęśliwy.

— Czyja w tem wina? pani czy moja?

— Obojga. Widząc, że pan bardzo rozdrażniony, uznałam, że najrozsądniej będzie, gdy pan

odzyska spokój w samotności. I dlatego czekałam.

— Na co pani czekała?

— Na wiadomość od pana. Otrzymałam ją wreszcie i jestem. A teraz pomówimy jak ludzie rozsądni. Kocha mnie pan dotąd?... Pytam nie z kokieteryj, lecz jako przyjaciółka.

— Kocham panią jak przedtem.

— I czego pan pragnie?

— Alboż ja wiem? Los mój w rękach pani.

— O! ja powzięłam już postanowienie, ale go panu nie wyjawię, dopóki się nie dowiem co pan zamierza. Proszę mi powiedzieć szczerze, co się działo w pańskim sercu, od czasu ucieczki?

— Myślałem o pani... oto wszystko, co mam do powiedzenia.

— Tak, ale jak? Do jakiego wniosku pan doszedł?

Mariolle wyznał szczerze postanowienie zapomnienia o niej, ucieczkę z Paryża, przybycie do tego boru, gdzie dniami całymi ścigały go wspomnienia o niej, a w nocy zazdrość szarpała jego sercem — wyznał wszystko, prócz miłości swej dla Elżbietki.

Słuchała go, pewna że nie kłamie, raczej czerpiąc to przeświadczenie w poczuciu swej wszechwładzy nad nim, niż w szczerości jego głosu. Bądź co bądź bowiem kochała go po swojemu.

Uniesiony opowiadaniem swych rozmyślań i cierpień przebytych, tonem namiętnego liryzmu,

lecz bez gniewu, począł jej znów wyrzucać tę nieudolność kochania.

— Inne kobiety nie posiadają daru podobania się — powtarzał — pani nie posiada daru kochania.

— Ale przynajmniej posiadam dar stałości — przerwała z ozywieniem. — Czy byłby pan mniej nieszczęśliwy, gdybym uwielbiając pana przez dziesięć miesięcy, zakochała się teraz w kim innym?

— Alboż to niemożliwością, aby kobieta kochała jednego tylko mężczyznę?

— Niepodobna kochać wiecznie — żywo przerwała — można tylko pozostać wierną. Czy pan sądzi, że upojenie zmysłowe trwać może przez lata całe? O nie! Co się tyczy kobiet namiętnych, rządzących się dłużej lub krócej kaprysem, to starają się o to tylko, by życie ich było nieprzerwanym romanssem. Zmienia się bohater, zmieniają okoliczności, koleje i rozwiązanie. Nie dziwię się zresztą, że to bawi, gdyż za każdym razem początek, faza środkowa i zakończenie ten sam mają urok. Ale dla mężczyzny koniec jest końcem. Czy pan rozumie?

— Poniekąd prawdziwie. Nie pojmuję jednak, do czego pani zmierza?

— Natychmiast to panu wytłómaczę. Według mnie, żadna namiętność, uczucie brutalne, męczące, podobne temu, które pana męczy, nie może trwać długo. Jest to chwila przełomu.

Chwila, którą uczyniłam bardzo przykrą przez swą oziębłość i niezdolność do uniesień. Ale chwila ta wkrótce przeminie, nie mogąc trwać wiecznie.

Umilkła. On spojrział na nią z niepokojem.

— A zatem? — zapytał.

— A zatem sędzę, że pan może być bardzo miłym kochankiem dla kobiety tak rozsądnej i spokojnej, jak ja. Natomiast byłby pan nieznośnym mężem. Co prawda, dobrych mężów niema wcale.

Zdziwiony, a trochę też dotknięty, spytał:

— W jakim celu chce pani zachować kochanka, którego nie kocha wcale, albo którego kochać przestała.

— Kocham po swojemu, mój przyjacielu — odrzekła żywo. — Kocham spokojnie, ale kocham.

— A przede wszystkim pragnie pani, aby ciebie kochano i okazywano ci to uczucie — odparł z rezygnacją.

— To prawda; niemniej serce moje domaga się także szczerze przywiązania. Lubię, aby mi publicznie składano hołdy, co nie przeszkadza jednak, że potrafię być wierną i stałą i jednego wyłącznie mężczyznę obdarzać przywiązaniem i bezwzględną ufnością, a w zamian mieć prócz czułości kochanka, rzadkie i słodkie poczucie, że nie jestem całkiem samą na świecie. Nie jest

to miłość taka, jakiej pan pragnie, lecz i to ma swoją wartość.

Mariolle pochylił się nad nią i drżąc ze wzruszenia wymamrotał:

— Czy pani pozwoli mi być tym szczęśliwym człowiekiem?

— Dobrze, ale nie teraz jeszcze. Tymczasem pogódź się pan z myślą, że od czasu do czasu zadam ci trochę cierpienia. To minie. Teraz jednak, skoro już musisz cierpieć, czyż nie lepiej cierpieć przy mnie, aniżeli zdala?

Uśmiechem zdawała się mówić: „Zaufajże mi trochę!” a widząc, że on drży z namiętności, czuła się szczęśliwą, doznawała takiego zadowolenia, jakiego doznaje jastrząb, spuszczając się na bezbronną ofiarę.

— Kiedy pan wraca do Paryża? — spytała.

— Wracam... wracam jutro — odrzekł.

— Dobrze. Czekam z obiadem.

— Dziękuję.

— Ale ja już muszę odejść — dodała, spoglądając na zegarek, ukryty w puzderku parasola.

— Och! czemu tak prędko?

— Pociąg odchodzi o piątej. A zaprosiłam na obiad kilka osób: księżnę de Malten, Bernhauza, Lamarthe'a, Massivala, Maltry'ego i nową znakomitość, pana de Charlaine, podróżnika, który powrócił teraz z Cambogde. Całe miasto o nim mówi.

Mariolle doznał ściśnienia serca.

Każde z tych nazwisk sprawiało mu ból, niby ukłucie osy. W każdym z nich był jad trujący.

— Odprowadzę panią na kolej. Ale przedtem możebyśmy przejechali po się lesie?

— Dobrze. Przedewszystkiem jednak proszę mnie ugościć filiżanką herbaty.

Gdy wrócili do domu, niepodobna było nigdzie znaleźć Elżbietki.

Pani de Burne wcale się tem nie zaniepokoiła. W istocie, czyż mogła ją teraz niepokoić ta pokojówka?

Wsiedli potem do powozu czekającego przed domem, a Mariolle kazał jechać drogą dłuższą, prowadzącą przez las.

Gdy wjechali w ciemny bór, pełen kojącego cienia, pani de Burne, oczarowana pięknnością przyrody i śpiewem słowików, pod wpływem nieokreślonego, a tajemniczego piękna zawołała:

— Boże, jakże tu dobrze i pięknie!

Z głębokiem wzruszeniem grzesznika przyjmującego komunję, patrzyła przed się upojona, złożywszy rękę na rękę Andrzeja. On zaś myślał: Natura przejmuje ją znowu podobnem wzruszeniem, jak na górze św. Michała.

Odprowadził ją do wagonu.

Na pożegnanie powiedziała: Jutro o ósmej.

— Tak, jutro o ósmej.

Odjechała rozpromieniona, a on wsiadł do

powozu zadowolony, szczęśliwy, a jednak zmartwiony, bo cierpienia jego się nie skończyły.

Poco jednak walka? Nie miał już siły walczyć. Przykuwała go do siebie urokiem nieprzepartym, niepojętym. Ucieczka nie zerwała tych więzów, nie rozłączyła go z nią, przyniosła mu tylko mękę straszliwą; natomiast pogodziwszy się z położeniem, może przynajmniej coś uzyskać, gdyż kłamać nie umiała.

Powóz toczył się lasem, a on myślał, że podczas tych kilku godzin ani razu nie podała mu ust do pocałunku. Zawsze ta sama... Nie zmieniła się wcale, nie zmieni nigdy i on zawsze może cierpieć przez nią tak straszliwie. Wspomnienie chwil okrutnych niegdyś z nią spędzonych, wspomnienie owego oczekiwania połączonego z przeświadczeniem, że nic nie zdoła jej wzruszyć, ścisnęło mu serce przeczuciem i obawą walk czekających go w przyszłości. Gotów był jednak cierpieć, byle jej tylko nie utracić ponownie, gotów był dobrowolnie skazać się na to ciągle pożądanie, rozpalające mu krew w żyłach.

Szalona walka, którą tyle razy toczył sam z sobą, wracając z Auteuil, zawrzała znów w jego sercu, gdy nagle wspomnienie młodej i ładnej Elżbiety, czekającej na niego z miłosnym pocałunkiem, przyniosło mu pewną ulgę. Za chwilę porwie ją w objęcia i zamknąwszy oczy, łudząc samego siebie, jak się ludzi innych, posiadzie

kobietę, która kocha jego, myśląc o tej, którą kocha on.

Nawet w tej chwili czuł do niej pociąg, ów pociąg pełen instynktownego przywiązania, jakim poczucie podzielanych rozkoszy przejmuje zawsze zwierzę, tkwiące w człowieku. Ta uwiedziona dziewczyna nie będzie dlań źródłem rozkoszy, dodającym mu sił w suchej pustyni jego miłości trawiącej?

Wróciwszy do domu, nie zastał jej jeszcze.

Zaniepokojony, przerażony, zapytał drugiej służącej:

— Czy jesteś pewna, że wyszła?

— Tak, proszę pana.

Wyszedł natychmiast, w nadziei, że ją spotka.

Uczyniwszy kilka kroków, już miał skręcić na ścieżkę, prowadzącą w głąb doliny, gdy nagle ujrzał stary, niski kościółek, uwieńczony wieżyczką. Przeczucie jakieś skierowało go w tę stronę. Któż przeniknie dar jasnowidzenia kobiecego serca? Co ona pomyślała? Co zrozumiała? A jeżeli po części chociaż domyśliła się prawdy, to niezawodnie tu szuka teraz pociechy.

W kościele ciemno było, gdyż mrok już zapadł, tylko mała lampka zwieszająca się od sklepienia zdradzała obecność boskiego Pocieszyciela. Mariolle szedł lekkim krokiem wzdłuż ław, a zbliżywszy się do presbiterjum, ujrzał klęczącą kobietę, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Poznał ją i położył rękę na jej ramieniu. Byli sami.

Wzdrygnęła się, odwracając głowę. Płakała.

— Czemu płaczesz? — zapytał.

— Zrozumiałam wszystko — szepnęła. — Przyjechał pan tutaj, bo ona pana dręczyła. Teraz przyjechała po pana.

Wzruszony jej boleścią, mamrotał:

— Mylisz się, Elzbietko. W istocie wracam do Paryża, ale ciebie z sobą zabiorę.

— Nieprawda! nieprawda! — powtarzała z niedowierzaniem.

— Przysięgam.

— Kiedy jedziemy?

— Jutro!

— O Boże! O Boże! jęczała — wybuchając spazmatycznym płaczem.

Wtedy objął ją wpół, podniósł z klęczek i wyprowadził z kościoła. W milczeniu zeszli ze wzgórza osłoniętego już płaszczem nocy; stanawszy nad brzegiem rzeczki, usiedli oboje na trawie. Słyszał jak serce jej biło, zapierając dech, a dręczony wyrzutami sumienia, tulił ją do siebie i szeptał tysiące słów miłosnych, jakich nigdy z ust jego nie słyszała. Rozrzewniony, współczuciem i żądzą fizyczną przejęty, kłamał bezwiednie i dziwiąc się słowom swym i uczuciom, zadawał sobie pytanie, dlaczego, czując się niewolnikiem tamtej kobiety, doznaje jednak wzruszenia, kojąc smutki tej dziewczyny.

Przyrzekał, że będzie ją bardzo kochać — nie powiedział poprostu „kochać” — że w pobliżu swego domu urządzi dla niej gustowne mieszkanie i przyjmie jej pokojówkę.

Uspokajała się powoli, nie mogąc uwierzyć, aby ją łudził rozmyślnie i czując, że mówi szczerze. Przekonana nareszcie i olśniona, że zostanie panią, ona, biedna pokojówka z zajazdu, przyjaciółką człowieka dobrego i bogatego, prócz miłości, uczuła teraz dla niego wdzięczność, do której przyłączyło się jeszcze uczucie dumy.

Zarzuciła mu ręce na szyję i okrywając go pocałunkami, szepnęła:

— Ja cię tak kocham. Tyś dla mnie wszystkim na świecie!

A on wzruszony, oddając jej pocałunki, szeptał:

— Moje kochanie!

W tej chwili zapomniała zupełnie o istnieniu kobiety, która stała się dla niej powodem takiej boleści. Ale bezwiedny lęk odezwał się jeszcze w jej sercu i pieszczotliwym głosem spytała:

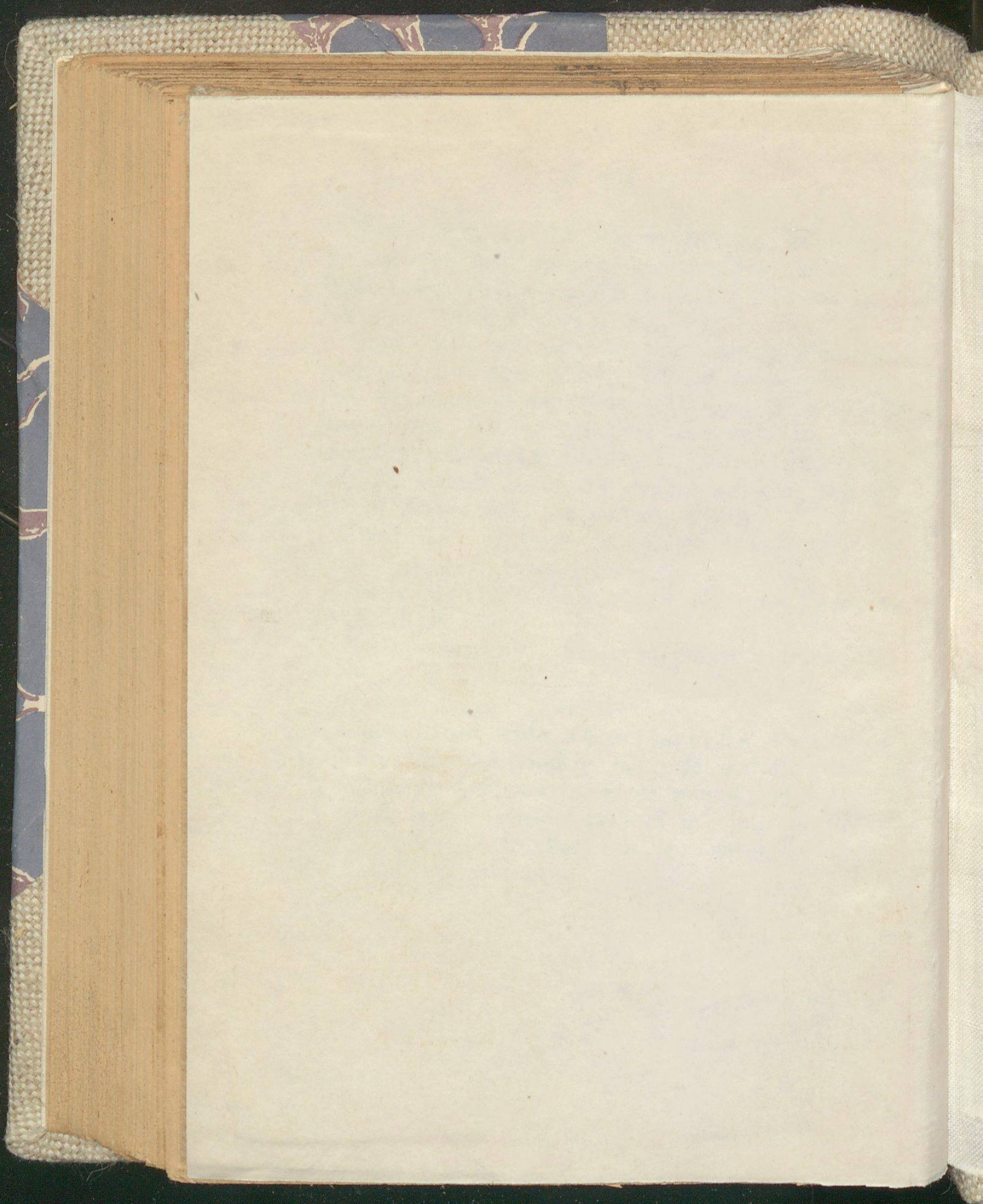
— A będziesz mnie kochał tak jak tutaj?

— Będę cię kochał tak jak tutaj — odpowiedział bez wahania.

KONIEC.



Antyken Moskva
W-wa 30. X. 81
- 48 J. -



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020808820



BN

BIBLIOTEKA
NARODOWA

1462969

BN

BN